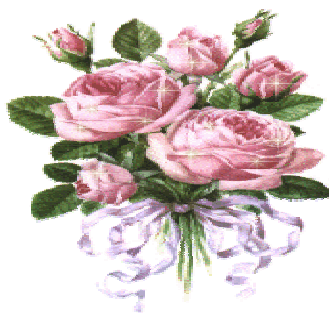




**JUDITH ARNOLD**

**NA SZLAKU MIŁOŚCI**



Tytuł oryginału On Love's Trail

## ROZDZIAŁ 1

Gretchen Sprague westchnęła i zdjęła plecak. Spozstrzegła krople wody na nieprzemakalnym czerwonym materiale. Oparła bagaż o jedną z ławek z surowego drewna, ustawionych pod wiatą. Otarła aluminiowy stelaż rękawem flanelowej koszuli, która była zresztą tak przemoczona, że jej gest nie miał sensu.

Parę razy uniosła ramiona i pokręciła głową, aby rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Wilgotne kasztanowe włosy opadły na plecy. Przeczesała je palcami. Deszcz padał dalej. Ulewa przechodziła w mżawkę.

Z trudem wydostała dziennik turystów, ukryty pod daszkiem wiaty. Przekartkowała zapisy.

Wtorek: Pada, leje... Delbertowie z Erie w stanie Pensylwania.

Wtorek po raz drugi: Precz z deszczem! Steve i Lou z Rapid City.

Sroda, 18 czerwca: Leje jak z cebra. Tom B. i Tom Q. z Bostonu.

- Na okrągło mowa o deszczu - mruknęła Gretchen, biorąc ołówek przymocowany łańcuszkiem do nie heblowanego stołu. Po chwili zastanowienia napisała:

Czwartek:

Czterdzieści dni i nocy padało, Ziemia zamieniła się w piekło. W arce był nasz ratunek, Dla reszty ludzi - frasunek...

G.S.

Przeczytała raz jeszcze swój wierszyk i pokiwała głową z zadowoleniem. Nigdy nie uważała się za poetkę, lecz uciążliwa podróż przez mokry las tak jej dopiekała, że ułożenie paru wersów podziałało, o dziwo, pocieszająco, a nawet relaksująco, a przecież po to właśnie przybyła do stanu Maine - aby się odświeżyć, uciec od przeszłości, zacząć coś nowego.

Napełniła manierkę wodą i osunęła się znużona na ławkę, obok plecaka. Zamknęła oczy i próbowała ocenić stopień

obolałości swoich ramion i karku. Bała się, że zeszywniały grzbiet każe jej skrócić trasę włóczęgi. Ale przywykła do bólu. Na tym zresztą polegał jej plan: iść i iść, aż zmęczenie znieczuli ją na ból.

Chociaż od ostatniej wyprawy Gretchen z plecakiem minęło kilka lat, wiedziała, że nogi ma wciąż mocne. Utrzymywała się w formie dzięki codziennemu bieganiu. Oparła plecy o podporę wiaty i wyciągnęła przed siebie nogi, gładkie i długie jak na jej wzrost - sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Naga skóra między mankietami szortów khaki a ściągaczami bawełnianych skarpet była pokryta plamkami brudu i śladami ukąszeń komarów. Żółtawe błoto oblepiało skórzane buty.

Przeniosła wzrok na mżący deszcz, tworzący przy wejściu do wiaty zasłonę z kropelek. Woda pokryła każdy liść, każdą gałąź, pień czy pochylony kwiat. Świat zdawał się skąpany w niesamowitej poświacie.

Gretchen miała wrażenie, że gdyby wędrowała odpowiednio długo, osiągnęłaby stan absolutnego zubożenia i na lejący od trzech dni deszcz i potworny ból karku, i, nieco mniej dokuczliwy, ból pleców, i pęcherze na palcach stóp. Przestałaby się również oburzać na okrutne ludzkie samolubstwo.

Wypiła haust ciepłej wody z manierki. Zamknęła oczy i westchnęła. Poza fizycznym, gnębił ją inny ból, wewnętrzny. To on właśnie sprawił, że znalazła się w dzikich okolicach parku narodowego Baxter. Tu chciała wylizać się z ran.

Jack z pewnością nie polubiłby włóczęgi z plecakiem, nawet gdyby jej spróbował. Jego pomysł na wakacje to pobyt w miejscu, gdzie wszystko miałyby zapewnione, podane na talerzu, a każda zachcianka byłaby spełniona w mgnieniu oka. Tak samo wyobrażał sobie swój związek z Gretchen.

Stukot ciężkich butów o deski podłogi wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła oczy. Pod wiatę wszedł nieznajomy turysta. W ciągu czterech dni wędrowki Gretchen widziała niewielu piechurów. Dwóch mężczyzn minęło ją poprzedniego

dnia. Sądząc z zapisu w dzienniku, byli to dwaj Tomowie z Bostonu. Kilka osób podążało w przeciwnym kierunku. Poza tym znajdowała się na szlaku całkiem sama. Tego właśnie pragnęła.

Dwukrotnie spotkała w przydrożnych wiatach odpoczywających wędrowców. Wymieniali uprzejmości i komentarze na temat paskudnej pogody, życzyli sobie powodzenia, po czym każdy ruszał w swoją stronę. Nagłe pojawienie się obcego mężczyzny Gretchen odczuła jak niemiły zgrzyt.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Miał grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Od masywnej sylwetki biło zdrowie i energia. Bujne złote włosy, przetykane spłowiałymi od słońca pasmami otaczały twarz o ostrych, zdecydowanych rysach, bystrych oczach, szerokim, prostym nosie i cienkich wargach, skorych do uśmiechu. Parodniowy zarost pokrywał mocną szczękę. Podwinięte rękawy białej bawełnianej koszuli odsłaniały muskularne ramiona, opalone, tak jak twarz, na ciemny brąz. Nosił długie spodnie khaki i zabłocone buty na grubej podeszwie. Zielony plecak rozpięty był na większym stelażu niż plecak Gretchen.

Nieznajomy popatrzył na zmęczoną młodą kobietę siedzącą na ławce, na jej mokre włosy odgarnięte z miłej owalnej twarzy, brązowe oczy w kształcie migdałów, delikatny nosek i pełne wargi. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując równe białe zęby.

- Ale potop, prawda? - zagadnął uprzejmie. Kolejny banał na temat deszczu. Gretchen jęknęła w duchu, lecz zdobyła się na nikły uśmiech.

- Jeszcze trochę popada, a będzie można płynąć wplaw aż do New Hampshire.

Rozpiął pasek plecaka i zsunął go z ramion na podłogę, z głuchym łoskotem. Podeszedł do dziennika turystów i przejrzał ostatnie zapisy. Gretchen zorientowała się, że obserwuje jego

postawną figurę i mięśnie, rysujące się wyraźnie pod przemoczoną koszulą. Miał długie nogi i wąskie biodra. Jack odznaczał się delikatną wiotką budową, zaś nieznanego wędrowca Gretchen określiłaby jako bardzo męskiego, pozbawionego wszelkiej subtelności. Nawet dłonie, trzymające dziennik, były duże i silne.

Wyprostował się i zerknął na Gretchen z nie skrywaną ciekawością.

- Ty jesteś G.S.? - zapytał.

Zaskoczona, przypomniała sobie zapis w dzienniku i skinęła głową.

Uśmiechnął się szeroko.

- To ty! Nareszcie! Idę za tobą aż od schroniska Katahdin. Dopiero teraz na ciebie trafiłem.

- Idziesz za mną?

Zaniepokojona Gretchen poczuła skurcz żołądka. Kim był ten człowiek? Czego od niej chciał?

- Zainteresowały mnie te wszystkie zgrabne wierszyki, które wpisujesz do dzienników po drodze - wyjaśnił, siadając na drugiej ławce i opierając łokcie na rozstawionych kolanach. - Jak brzmiał ostatni? „Błota głębia mnie przygnębia”. Wspaniały wiersz. - Roześmiał się i opadł na oparcie ławki, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. - Jak ci na imię?

Miała wciąż w uszach jego wcześniejsze słowa: „Idę za tobą aż od schroniska Katahdin”.

- Nie twoja sprawa - mruknęła.

Zrozumiał, że woli zachować dystans. Wzruszył ramionami.

- W porządku, G.S., niech będzie. Nie moja sprawa. Wtem Gretchen zdała sobie sprawę, że nie może oderwać wzroku od jego silnej szyi i torsu, widocznego zza rozpiętej koszuli. Nabrała niesmaku dla samej siebie. Śledził ją i mimo jego wiarygodnych wyjaśnień miała powody, aby traktować to podejrzliwie. Nieznajomy, samotny mężczyzna. Śledzi ją.

Kiedy obwieściła, że wybiera się sama z plecakiem na wędrowkę północnym odcinkiem szlaku appalaskiego, Ruth gorąco zaprotestowała.

- Możesz zostać zaatakowana! I to nie przez zwierzę, lecz przez ludzi! Coś ci się może przydarzyć. Co wtedy zrobisz? Jak wezwiesz pomoc?

Gretchen zaczęła bez przekonania argumentować, że straż parku kontroluje trasę, a piesza wędrowka jest korzystna dla zdrowia. Ruth skrzywiła tylko usta i wzruszyła ramionami.

Silny blondyn obrzucił uważnym spojrzeniem kształtną kobiecą sylwetkę. Echo ostrzegawczych słów Ruth zabrzmiało w uszach Gretchen.

Wiedziała, że gdyby mężczyzna ją zaatakował, nie miałyby większych szans. Był o głowę wyższy i z pewnością o dobre trzydzieści kilo cięższy. W dzikiej okolicy nie pojawiłby się żaden turysta, nie mówiąc o strażniku parkowym, gdyby głośno krzyczała.

Jeśli zaś próbował jedynie ją poderwać, potrafi mu to wyperswadować. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po plecak i założyła go na ramiona. Zapięła klamrę pasa, mocującego stelaż.

- Życzę miłej wędrowki - odezwała się energicznie, z nadzieją, że głos nie zdradzi jej zaniepokojenia.

Ruszyła do wyjścia. Nieznajomy wstał i dogonił ją jednym susem. Gretchen zamarła. Serce załomotało, kiedy męska dłoń chwyciła ją lekko za ramię.

- Poczekaj, pójdę z tobą.

- Wolę chodzić sama - oświadczyła ze ściśniętym gardłem.

Dotknięta przez mężczyznę skóra płonęła. Czy tylko ze strachu? Czy ze strachu jej palce stały się zimne jak lód, a w karku poczuła mrowienie?

Wpatrywał się w nią przez chwilę dłużącą się w nieskończoność. Cofnął rękę i uśmiechnął się smutno.

- W porządku, G.S., wędruj sobie sama. Powodzenia.

Omali się nie potknęła, kiedy ją puścił. Odwróciła się pospiesznie, czując, że się czerwieni. Wyszła spod wiaty i, ze wzrokiem wbitym w błotnistą ścieżkę, poszła dalej. Przez pół kilometra utrzymywała szybkie tempo. Puls odzyskał normalny rytm. Otrząsnęła się z czaru, jaki rzucił na nią nieznajomy. Podejrzliwie nasłuchiwała, czy przypadkiem nie podążył w ślad za nią, lecz słyhać było tylko plusk kropli i stłumiony szum strumienia, dobiegający z lasu z prawej strony.

Mężczyzna, podobnie jak ona, kierował się szlakiem na południe. Bez wątpienia mógł iść o wiele szybciej niż ona. Był wyższy, silniejszy i już raz ją dogonił. Gdzie więc podział się teraz? Dlaczego nie zrównał się z nią jeszcze, a następnie nie wyprzedził? Nie miałyby wreszcie uczucia, że ktoś depcze jej po piętach.

Pokręciła głową i podjęła marsz. Powiew wiatru zatrzęsał gałęziami. Spadające krople opryskiwały jej twarz. Z kieszeni szortów wyjęła chustkę i otała brwi. Po obu stronach szlaku las tworzył zielone ściany bujnego letniego listowia. Rosły tu drzewa, krzewy, bluszcz, bławatki, koniczyzna i mech. Z wilgotnej gleby wynurzały się kapelusze grzybów. Szare niebo zawisło nisko nad ziemią, która, pod wpływem wilgoci, wydzielala intensywną woń.

Gretchen powoli odpręzała się. Przyzwyczajała się do faktu, że nieznajomy idzie pewnie gdzieś z tyłu i albo ją dogoni i wyprzedzi, albo nie. Nic na to nie mogła poradzić.

Myślała o nim, o jego imponującej sylwetce, zachwycającej opaleniznie, złotych włosach i jasnych, niebieskich oczach. Doszła do wniosku, że musiał się tak opalić w Kalifornii. Uśmiechnęła się.

Jej pierwszy ukochany pochodził z południa Kalifornii. Też miał opaloną na brąz skórę i spłowiałe od letniego słońca włosy. Jak on się nazywał? Aha, Willie. „Surfujący Willie”. Kiedy Gretchen chodziła do pierwszej klasy liceum, on zaczął naukę w klasie maturalnej. Egzotyczny Kalifornijczyk wyróżniał się

wśród uczniów podmiejskiej szkoły w Wilmington, w stanie Delaware.

Zadurzyła się w nim bez pamięci. Sądziła, że chyba umrze, jeśli chłopak się do niej nie odezwie... Pewnego dnia stali obok siebie w kolejce do szkolnego baru. Willie podał jej hot doga, mówiąc: „Proszę, ten jest dla ciebie”. Po tym zdarzeniu nabrała pewności, że umrze, ponieważ ukochany przemówił do niej! " Pierwsza miłość. Prychnęła pogardliwie. Szczeniackie zadurzenie. „Surfujący Willie” był, jak to po latach zrozumiała, tępakiem, nie umiejącym skleić dwóch zdań. Stanowił przeciwieństwo mężczyzn, których obecnie uważała za atrakcyjnych: wykształconych, kulturalnych, błyskotliwych, inteligentnych. Mężczyzn takich jak Jack Martell. Westchnęła i z trudem przełknęła ślinę.

Byli ze sobą dwa i pół roku, z czego przez rok mieszkali razem w jego domu. Gretchen, z wykształcenia inżynier i doradca budowlany, poznała Jacka, utalentowanego architekta, dzięki kontaktom zawodowym. O dwanaście lat starszy, rozwiedziony, obyty w świecie, zawrócił w głowie dwudziestoczteroletniej dziewczynie. Był uosobieniem ideału z jej snów. Błyskawicznie zakochała się w uprzejmym, rycerskim, starannie wykształconym mężczyźnie. Kiedy przed rokiem poprosił, aby się do niego wprowadziła, wierzyła, że to preludium małżeństwa.

Przed paroma tygodniami Jack polecił jej ubrać się elegancko i zabrał ją do jednej z najwytworniejszych restauracji w mieście, aby porozmawiać o jakiejś ważnej sprawie. Gretchen przypuszczała, że się oświadczy. I rzeczywiście, oświadczył coś, lecz nie oświadczył się.

Powiedział: „Gretchen, jesteśmy razem od ponad dwóch lat. To długi okres, kochanie. Czuję, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy, tak bardzo, że sprawia mi to ból. Wiesz, że byłem raz żonaty. Małżeństwo to nie dla mnie. Kocham cię, naprawdę, ale duszę się w naszym związku. Zbliżyliśmy się bardziej, niż



zamierzałem. Chciałbym nadal się z tobą spotykać, ale sądzę, że powinniśmy zacząć spotykać się także z innymi ludźmi. W porządku?"

W porządku?! Gretchen zebrало się na mdłości. Tej nocy podjęła nieodwołalną decyzję. Obdzwoiła wszystkich znajomych w poszukiwaniu miejsca, do którego mogłaby się przeprowadzić. Wreszcie wynajęła domek w Woodmont, niedaleko swego miejsca pracy. W ciągu dwóch tygodni przeniosła rzeczy z komfortowego domu Jacka w Westville. A w miesiąc później postanowiła wyjechać na urlop do Maine, przewędrować pieszo szlak appalaski i raz na zawsze wyrzucić Jacka z pamięci.

Popołudniowa mgła gęstniała. Gretchen zdała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiała rozbić obozowisko. Początkowo planowała pokonywać codziennie piętnaście kilometrów, lecz z powodu deszczu i zachmurzenia musiała wcześniej przerywać marsz, aby wznawiać go nazajutrz jak najwcześniej, korzystając z porannego światła. Zerknęła na zegarek. Dochodziła szósta. Od świtu przeszła zaledwie jedenaście kilometrów. Wzruszyła ramionami. Nie stawiała sobie za cel bicia rekordów. Jedenaście to też dobry wynik.

Zboczyła ze szlaku i skierowała się tam, skąd dobiegał szum wody. Niecałe sto metrów od ścieżki znalazła tuż nad strumieniem polankę, porosłą mokrą koniczyną. Postawiła plecak na w miarę suchym kamieniu pod dębem i rozbiła namiot. Kołki bez trudu wchodziły w rozmiękłą ziemię. Linki naprężające płachtę namiotu przywiązała do gałęzi drzewa. Sprawdziła stabilność konstrukcji.

Zadowolona, otworzyła główną kieszeń plecaka i wyjęła butlę gazową, kuchenkę, naczynia i kilka opakowań dehydrowanej żywności. Zmarszczyła nos, czytając etykiety: płaty wołowiny, ziemniaki, jabłka. Wzięła do ust kawałek suszonego jabłka, odwinęty z celofanu, a resztę owoców schowała do plecaka.

Kuchenkę, jedzenie i naczynia zaniosiła na płaskie kamienie nad strumieniem.

Dehydrowana żywność smakowała jak podeszwa, lecz była łatwa do przyrządzenia i lekka. Gretchen uśmiechnęła się gorzko na wspomnienie Jacka, który uznawał tylko wykwintne, smakowite dania, zarówno w domu, jak i poza nim. Wyobraziła sobie jego minę, gdyby musiał jeść to paskudztwo z torebki. Zachichotała, wsypując starannie odmierzoną ilość ziemniaczanego proszku do garnka. Dołała wody, zamieszała. Rozstawiła trójnog kuchenki i zainstalowała butlę.

Wróciła do plecaka po zapalki, które trzymała w plastikowej torebce w bocznej kieszonce. Odkręciła zawór butli i otworzyła pudełko.

Przestraszył ją trzask łamanej gałęzi. Wyprostowała się. Stopy pośliznęły się na kamieniu. Próbując utrzymać równowagę, wypuściła z rąk zapalki. Wpadły do strumienia.

Blondyn, który wyskoczył nagle zza pleców Gretchen, omal nie zwałił jej z nóg. Zanurzył kilka razy rękę w wodzie, lecz udało mu się chwycić tylko jedną mokrą zapalkę.

Wyprostował się i ukazał zęby w uśmiechu, dosłownie hipnotyzując Gretchen jasnymi, błękitnymi oczami. Rychło ocknęła się i wpadła we wściekłość. Zdała sobie bowiem sprawę, że to trzask złamanej przez niego gałęzi był przyczyną jej nieuwagi, a w konsekwencji - utraty zapalek.

- Do diabła z tobą! - wrzasnęła, nie przejmując się, że górował nad nią wzrostem, wagą i siłą. - Cholera, musiałeś tak się za mną skradać?

Nie zrobił na nim wrażenia wybuch kobiecej złości. Pochylił się i zamknął zawór butli z paliwem.

- Na pewno masz zapasowe pudełko zapalek - zauważył.

- To właśnie było zapasowe. - Machnięciem ręki pokazała na strumień. - Pierwsze pudełko wpadło mi w błoto dwa dni temu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Czyżby rozbawiła go rozpacзлиwa sytuacja Gretchen? Czy sądził, że perspektywa

jedzenia zimnej dehidrowanej żywności przez resztę wędrowki była zabawna? Ogarnął ją jeszcze większy gniew. Napięła mięśnie, zaciskając dłonie w pięści. Mężczyzna rozpiął suwak kieszeni swego zielonego plecaka, który postawił obok jej bagażu. Wyjął zapalniczkę.

- Patrz, G.S., teraz używa się tego. Kiedy ostatni raz wędrowałaś z plecakiem?

Zacisnęła usta, zirytowana jego pewnością siebie.

- Nie przypuszczam, abyś miał zapasową zapalniczkę - mruknęła pod nosem.

- Faktycznie, nie mam - potwierdził wesoło. Podszedł do kuchenki, odkręcił zawór i zapalił gaz w jednym z palników, a potem zainteresował się zawartością garnka. - Co to, tłuczone ziemniaki?

- Tak - odparła z rozdrażnieniem. Zanim zdołała zaprotestować, mężczyzna zabrał garnek. - Zaraz, a cóż to za pomysły?

Znów uświadomiła sobie z lękiem, że jest bezbronna. Nieznajomy mógł równie dobrze zabrać żywność Gretchen, jak ją zgwałcić.

Z rezerwą przyglądała się, jak wyjął ze swojego plecaka torebkę proszku ziemniaczanego, wsypał do garnka i zamieszał. Nagle zniknął między drzewami. Po chwili pojawił się, niosąc kilka długich, wąskich liści.

- Co to? - spytała przez zaciśnięte zęby.

- Dziki szczypior.

Postawił garnek na kuchence. Rozerwał zieleninę na kawałeczki, wrzucił do ziemniaków i zamieszał. Zerknął na opakowanie suszonej wołowiny, uśmiechnął się i przyniósł z plecaka dodatkową torebkę mięsa.

Gretchen obserwowała bez słowa jego poczynania. Rozporządził jej obiadem! Przygotowywał podwójną porcję!

Promień późno-popołudniowego słońca przedarł się przez chmury i korony drzew. Padł na włosy mężczyzny, nadając im

złoty blask. Gretchen musiała się trzymać na baczności. Nie mogła odmówić urody nieznajomemu.

- Powiedziałaś ci już, że nie potrzebuję towarzystwa - odezwała się z wymuszonym spokojem.

- Powiedziałaś tylko, że chcesz wędrować sama - sprostował, nie przestając się uśmiechać. - Więc pozwoliłem, żebyś szła sama.

Odkręcił drugi palnik. Zapalił gaz zapalniczką i schował ją do plecaka. Wyjął szwajcarski szczyryk i marchewkę.

Marchewka! Na widok świeżego warzywa aż ślinka napłynęła Gretchen do ust. Tylko ktoś tak silny jak jej nieproszony towarzysz mógł sobie pozwolić na dźwiganie dodatkowego ciężaru. Westchnęła zazdrośnie.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy oskrobywał marchewkę. Zerknął na nią z żartobliwym uśmiechem. Przeżyła moment rozterki, zastanawiając się, czy nieznajomy na jej oczach zje całą marchewkę. Jakże bardzo chciała jej skosztować! Miała nadzieję, że nie okaże się samolubem. Zmieszała się, kiedy wyciągnął do niej rękę.

- Proszę, G.S., poczęstuj się.

Z błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami wzięła marchew.

- Dziękuję - szepnęła przejęta. Ugryzła chrupkie, soczyste warzywo i mruknęła z zadowoleniem: - Dziękuję bardzo.

Obserwował ją z ciekawością.

- Jesz z takim naturalnym apetytem jak ludzie pierwotni. Jeszcze chwila, a sam się rzucę na tę marchewkę! - ostrzegł.

Zaczerwieniła się i omal nie upuściła smakowitego warzywa. Roześmiał się głośno i wyjął z plecaka drugą marchewkę dla siebie. Patrzyła na niego z wdzięcznością i niechęcią zarazem, zmrożona jego zachowaniem i tym, że, jak się zdawało, demonstrował swoją wyższość. Czyżby sądził, że miała wobec niego dług wdzięczności za marchewkę? Zasłużyła na nią! Przecież przez niego straciła ostatnie pudełko zapalek.

Zapałki... Nagle zdała sobie sprawę ze straty. Jak przetrwa resztę wędrowki bez zapalek? Powinna ukraść tę przeklętą zapalniczkę, ot co! Kiedy jednak, zirytowana, żuła ostatni kęs marchewki, wiedziała już, że nie umiałaby niczego ukraść turyście podobnie jak ona wędrującemu z plecakiem, a tym bardziej człowiekowi, który dał jej świeżą marchewkę. Musiała pomyśleć o innym rozwiązaniu. Może spotka kogoś, kto odstąpi jej zapałki.

Przeniosła wzrok na mężczyznę, mieszającego zawartość obu garnków. Sprawnie podzielił ziemniaki i mięso na dwie porcje. Podał jej talerz. Usiadł na omszałym kamieniu naprzeciwko. Przez chwilę badawczo przypatrywała się jedzącemu. Słońce prześwitujące przez mgiełkę, unoszącą się nad strumieniem, oświetlało tylko część jego twarzy.

- Zamierzasz rozbić tu obóz? - spytała z wahaniem w głosie.

Zastanowił się i wzruszył ramionami.

- Przenocuję w twoim namiocie.

- O, nie!

- Nie ma tu miejsca na rozbięcie drugiego namiotu - stwierdził rezolutnie, mierząc spojrzeniem małą, pokrytą gęsto kamieniami polankę.

- A więc idź dalej - wypaliła Gretchen. - Najlepiej co najmniej dwa kilometry.

- Nie bądź złośliwa. - Zęby nieznajomego błysnęły w szerokim uśmiechu. - W twoim namiocie wystarczy miejsca dla dwóch osób, ja będę spał we własnym śpiworze. Spójrz prawdzie w oczy, G.S., jesteś skazana na moje towarzystwo. Nie masz zapalek.

- Nie zamierzam się z tobą zadawać - mruknęła.

- A jak będziesz gotować?

- Zadowolę się surowym jedzeniem - odparła i energicznie zajęła się swoją porcją. Zrozumiała, że może to być jej ostatni ciepły posiłek na następne trzy dni. Nabrała widelcem tłuczonych ziemniaków. Zielony szczypior nadał im nieco

pikantny, wspaniały smak. Gretchen przyznała w duchu, że gdyby zgodziła się na towarzystwo blondyna, jadłaby o wiele smaczniej niż dotychczas.

Ale cóż to za śmiałość! Wpraszać się do jej namiotu! Za kogo, do diabła, on się uważa?

Z trudem przełykała kolejne kęsy. Od czasu do czasu zerkała znad talerza. Nieznajomy oparł się wygodnie o pień drzewa i nie przestawał się uśmiechać. Wolałaby, żeby nie był tak przystojny, choć z drugiej strony nie potrafiła powiedzieć, dlaczego uważa go za atrakcyjnego.

Nie był w jej typie, a dokładniej - ostatnio nie gustowała w takim typie. Przypominał raczej „Surfującego Willie'ego”. Gdyby miała czternaście lat, pewnie by się nim zachwyciła, ale nie teraz, jako dojrzała kobieta o wyrafinowanym guście.

Zgarnął resztkę jedzenia i popił wodą z manierki. Gretchen przyłapała się na tym, że nie może oderwać wzroku od jego kształtnej szyi. Przez chwilę czuła się naprawdę jak czternastolatka...

- Posłuchaj no - zaczęła niewyraźnym tonem, usiłując opanować rozdygotane nerwy - dzięki za szczypior, dzięki za marchewkę, dzięki za zapalenie kuchenki. Nie będziesz jednak spał dziś w moim namiocie. Jasne?

Spuścił wzrok.

- Uspokój się, G.S., ja tylko szukam miłego towarzystwa, rozumiesz? - Jego zęby wydawały się olśniewająco białe w zapadającym zmroku. - Jestem nieszkodliwy. Dzieci i psy mnie lubią.

- To poszukaj sobie jakiegoś dzieciaka i psa, żeby dzielić z nimi namiot - odparowała, starając się nie słyszeć nuty tęsknoty w jego niskim głosie.

W odpowiedzi roześmiał się donośnie. Wziął jej talerz i razem ze swoim zaniósł do strumienia, aby pozmywać. Gretchen irytowała jego zarozumiałość, a jednocześnie własna reakcja na mężczyznę napawała ją odrazą. Sposób, w jaki się poruszał,

wdzięk i zwinność, z jaką skakał po kamieniach, jego śmiech rozbrzmiewający we mgle... O dobry Boże, zachowywała się jak nastolatka. Nieznajomy miał pewnie bogatsze słownictwo niż „Surfujący Willie”, lecz w gruncie rzeczy był chyba jego bliskim, bardziej rozgarniętym kuzynem.

A przecież nie po to jechała szmat drogi do Maine, nie po to przemierzyła tyle kilometrów w cztery dni, aby spędzić noc w jednym namiocie z napotkanym Adonisem. Chciała przez tydzień pobyc sama w głuszy, odpocząć od mężczyzn, nasycić się samotnością. Jak dziury w moście potrzebowała tego super-wystrzałowego, wielkiego blondyna.

Chociaż, z drugiej strony... Z drugiej strony, po namyśle musiała przyznać, że zmył za nią talerz i wyszorował garnki. I dał jej marchewkę ze swoich zapasów, dwadzieścia deko życiodajnej świeżości. Na litość boską, gdyby pragnął ją zaatakować, już dawno by to zrobił, czyż nie?

Nawet gdyby na polance było miejsce na drugi namiot - a nie było - w błyskawicznym tempie robiło się ciemno, więc mężczyzna nie zdążyłby go rozbić. Nie mogła kazać mu szukać innej polany. Turyści uprawiający piesze wędrówki pomagają sobie nawzajem i dbają o bezpieczeństwo innych. Nakazem jest życzliwość i przyjazna otwartość wobec towarzyszy drogi.

Gdyby odesłała go z kwitkiem, jak ugotowałyby rano jajka i kawę? Wzruszyła obolałymi ramionami. Czuła się zbyt zmęczona, aby walczyć. Postanowiła użyczyć mu na noc namiotu. W razie potrzeby mogła spać z zapieciem śpiwora w zębach.

Wtaszczyła plecak do namiotu. Rozłożyła śpiwór, znalazła mydelniczkę i szczoteczkę do zębów. Chciała umyć się, zanim zapadnie noc. Zaniosiła przybory toaletowe na brzeg strumienia.

Umyła ręce, twarz, zęby. Rozplotła warkocz. Mężczyzna przykucnął na kamieniu i z brodą opartą na dłoni obserwował przepływającą wodę. Gretchen rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

Nie poruszył się, kiedy wróciła do namiotu. Skorzystała z chwili odosobnienia, aby się rozebrać. Rozwiesiła wilgotne ubranie i w samej bieliźnie wśliznęła się do śpiwora. Zasunęła zamek pod szyję. Zapowiadała się bardzo chłodna noc.

Wdychała głęboko czyste powietrze, przesiąknięte zapachem lasu. Czekala. Gdzie się podział nieznajomy? Czy wciąż dumał nad czymś, wpatrzony w nurt strumienia? A właściwie, co ją to obchodziło? Dlaczego oczekiwała jego przybycia?

- Czy mogę teraz wejść? - zawołał znad brzegu. A więc czekał, aż Gretchen się położy. Poczula

wyrzuty sumienia. Podejrzewała go nie wiadomo o co.

- Tak - odpowiedziała, poruszona jego delikatnością, tak jak przedtem śmiałością.

Przez otwarte wejście patrzyła, jak niesie plecak. Szybko zmierzył wzrokiem wnętrze namiotu. Zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że nie zmieścimy się tu razem - ocenił, wskazując ruchem głowy plecak.

Umieścił bagaż na kamieniu pod gęstym krzakiem. Wyjął śpiwór i wsunął się do namiotu. Spojrzał na szczelnie zapiętą Gretchen i zachichotał.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Ty - odrzekł, wystawiając nogi na zewnątrz, aby rozsznurować buty. - Tylko głowę ci widać. Wyglądasz w tym zielonym śpiworze jak na balu kostiumowym, przebrana za strączek fasoli. Jeśli zasuniesz się jeszcze szczelniej, pewnie się tam udusisz.

Nachmurzyła się, lecz nic nie odpowiedziała. Jej wzrok szybko przystosował się do ciemności. Z zaciekawieniem zerknęła na rozbierającego się mężczyznę. Nie musiała się troszczyć o dyskrecję, ponieważ nie krępował się wcale jej obecnością.

Zdjął koszulę, odsłaniając, tak jak się spodziewała, silne plecy i muskularny tors. Bez wahania sięgnął do klamry paska. Rozpiął rozporek i ściągnął spodnie. Gretchen zobaczyła długie,



atletyczne nogi. Spodenki opinały wąskie biodra i silne, prężne uda...

Po co się tak gapiła? Co się z nią działo? Zacerwieniła się i odwróciła głowę. Powinna się bać nie tyle obcego turysty w namiocie, co samej siebie i swoich pensjonarskich, dziewczynskich reakcji, zupełnie nie przystojących dorosłej, dwudziestosiedmioletniej kobiecie.

Nie panowała nad sobą. Rozkoszowała się wonią mężczyzny i wyczuwalnym ciepłem jego ciała. Obserwowała go kątem oka. Wszedł do śpiwora i zasunął zamek do wysokości piersi. Jedno ramię pozostawił na zewnątrz. Jego bliskość była wręcz namacalna.

- G.S.- przerwał jej rozmyślenia.
- Tak?
- Czy powiesz mi wreszcie, jak się nazywasz?
- Nie.

Miała wrażenie, że straciłaby tym samym jedyną możliwość obrony przed nieznanym. Nie wiedziała jednak nawet, czy coś jej zagraża.

Przez chwilę milczał.

- W porządku - westchnął. - Dobranoc, kobieto pierwotna.
- Dobranoc, mężczyzno pierwotny - odrzekła zadziwiająco delikatnym tonem.

Ułożył się wygodnie, otoczył Gretchen ramieniem i zasnął. Najpierw chciała odsunąć jego rękę, lecz rozmyśliła się. Poczuli się nagle bezpieczni i spokojni. Zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ 2

Obudziła się w scenerii, do jakiej nie przywykła. Poprzez bujne listowie sączyły się promienie słońca, pokrywając ziemię nieregularnymi plamami światła. Po raz pierwszy od czterech dni była piękna, słoneczna pogoda.

Obejmowało ją męskie ramię. Obróciła się w śpiworze i spostrzegła twarz nieznanego tuż obok swojej. Miał zamknięte oczy i lekko rozchylone wargi. Oddychał miarowym rytmem. W blasku świtu widać było jego złocistą cerę, wspaniałe mięśnie, pięknie zbudowane ciało.

Zastanawiała się przez chwilę, kim jest napotkany turysta. Wreszcie potrząsnęła głową, jak gdyby chcąc ukrócić swą ciekawość. Nie musiała tego wiedzieć. Był po prostu towarzyszem wędrowki, miłośnikiem natury, ludzkim ucieleśnieniem piękna dzikiej przyrody, która ją otaczała. Z uśmiechem zdziwienia obserwowała śpiącego.

Ona, Gretchen Sprague, inżynier urbanista, gotowa jeszcze niedawno poślubić mężczyznę takiego jak Jack Martell ze względu na jego inteligencję i nienaganną prezencję... Ona, Gretchen Sprague, dziewczyna o surowych zasadach, budzi się u boku całkiem nieznanego człowieka, i to bardzo przystojnego. Wprost nie do pomyślenia! A jednak to fakt.

Przeniosła wzrok z jego spokojnej twarzy na leśny pejzaż otaczający otwarty namiot. Parę metrów od niej na kamieniu siedział szop prac i obwąchiwał plecak.

Zazwyczaj zwierzęta nie poświęcały uwagi bagażom piechurów. Dehidrowane produkty żywnościowe w plastikowych opakowaniach nie wydzielają żadnego zapachu. Ale towarzysz Gretchen miał świeże marchewki, a kto wie co jeszcze. Szop rzucił się na klapę plecaka i zaczął ją podgryzać.

Powoli, ostrożnie Gretchen rozsunęła śpiwór i wydostała się z niego. Od chłodnego porannego powietrza dostała gęziej skórki. Wyśliznęła się spod ramienia śpiącego i doczołgała do wyjścia.

Podniosła kamyk i zbliżyła się do szopa. Zwierzę zajęte poszukiwaniem jedzenia, nie zauważyło jej.

Cisnęła kamyk, celując w ogon szopa i krzyknęła: „A kysz!” Puszysty zwierzak popatrzył na nią czarnymi jak węgielki oczami i obnażył ostre zęby. Gretchen zamachała rękami i tupnęła, jeszcze raz krzycząc: „A kysz!”

Szop wyraźnie się przestraszył, bo zeskoczył z kamienia i śmignął po poszyciu leśnym. Natychmiast zniknął z oczu. Gretchen podeszła do plecaka. Starła się omijać korzenie i kamyki, aby nie zranić bosych stóp. Zęby szopa zostawiły ślady na zielonym plastiku, lecz nie przegryzły materiału na wylot.

Zadowolona, odwróciła się i chciała wrócić do namiotu. Nagle odkryła, że mężczyzna już nie śpi i obserwuje ją.

Otworzył śpiwór i, oparty na przedramionach, uśmiechnięty, mierzył wzrokiem zgrabne ciało kobiety. Spokojne spojrzenie niebieskich oczu dosłownie ją sparaliżowało. Zaczęły wędrówkę od rozwichrzonych kasztanowych włosów Gretchen i jej dumnej twarzy, potem zatrzymały się na szczupłych ramionach i małych, jędrnych piersiach. Brodawki, stwardniałe od chłodu, wyraźnie rysowały się pod cienkim stanikiem. Blondyn ocenił następnie jej wiotką talię, płaski brzuch, smukłe uda.

Widok ciała Gretchen sprawił mu nie skrywaną przyjemność. Ona sama poczuła natychmiast, że zalewają ją fale gorąca. Kiedy była już zdolna się poruszać, wstydliwie zasłoniła piersi rękami.

- Na co się tak gapisz? - mruknęła,

- Sama zgadnij. Do trzech razy sztuka! - odparł żartobliwie.

Wyduła wargi. Znalazła się w krępującej sytuacji, nie zamierzała jednak wracać do namiotu. Sądząc z wyrazu twarzy oglądającego ją mężczyzny, nie była przekonana, czy jest to w tej chwili najbezpieczniejsze dla niej miejsce.

Słońce padało na jego tors, pokryty jasnym, miękkim owłosieniem. Był taki silny, budzący zaufanie... Jakby się czuła, gdyby ją objął...? Natychmiast skarciła się w duchu za takie myśli.

- Czy mógłbyś zamknąć oczy?

- Oczywiście, że mógłbym - odparł z figlarnymi ognikami w oczach.

- Posłuchaj - przystąpiła do ataku. - Przed chwilą oddałam ci wielką przysługę, odganiając szopa od twojego plecaka.

- Omal nie zabiłaś złodziejaszka. Rzuciłaś takim dużym kamieniem w małe zwierzątko.

- To ty nie spałeś? I nawet mi nie pomogłeś?

- A w czym? Wzięłaś sprawę w swoje ręce. - Przysiadł na kolanach. - Zrobiłaś to prawdopodobnie w celu obrony moich marchewek, a nie z troski o moją osobę, ale co mi tam. Dziękuję i za to. - Ruchem dłoni zaprosił ją do namiotu. - No chodź, zanim zamarzniesz na śmierć. Usta masz już sine.

Ociągając się, wróciła do namiotu. Unikała jego wzroku. Uklękła na śpiworze i sięgnęła po plecak, aby wyjąć ubranie. Nagle poczuła rękę mężczyzny na biodrze. Odwrócił ją ku sobie. Zaszokowała ją intymność tego gestu i własna niemożność - czy też niechęć - aby zaprotestować. Wiedziała intuicyjnie, że gdyby okazała sprzeciw, nieznajomy wycofałby się.

Ale nie stawiała oporu. Pozwoliła, aby ją objął i przyciągnął do siebie. Delikatnie musnął wargami jej usta, a potem zmierzył językiem ich głębokość.

- Dzień dobry, kobieto pierwotna - szepnął. - Wcale nie masz sinych ust. To najpiękniejsze różowe usta, jakie w życiu widziałem.

Znów wsunął język do słodkiego wnętrza. Odchylił głowę Gretchen, aby popatrzeć na jej twarz. Poczuła przytływ rozkoszy. Ich języki spotkały się i rozpoczęły wolny erotyczny taniec. Palce mężczyzny zanurzyły się w jej splątane włosy. Dłoń przesunęła się z biodra na gładką skórę pleców.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Piersi poprzez cienki staniczek dotknęły twardego męskiego torsu.

- Ach, G.S. - westchnął, zaglądając w jej ciemne oczy.

Gretchen targały sprzeczne uczucia: zagubienia, a jednocześnie radosnej pewności, że jest bezpieczna. Czuła, że budzi się jego męskość, ale zarazem, że on panuje nad zmysłami. Przypomniała sobie wniosek, do którego doszła wcześniej. Gdyby chciał ją skrzywdzić, już dawno by to zrobił.

Ona zaś nie panowała nad sobą. Zżerała ją tęsknota za wielkim uniesieniem. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Wiedziała, że nie musi się bać.

- Powiedz mi - szepnął głosem ochryplym z pożądania, przyciskając jej biodra do swoich - proszę, powiedz, kim jesteś.

- Nie.

Odmówiła bez zastanowienia. Mężczyzna natychmiast się cofnął. Puścił ją i usiadł na swoim śpiworze.

- Dlaczego nie?

- Ja... po prostu... nie mogę - stwierdziła na wpół świadomie. - Tutaj, w lesie, na szlaku, z dala od cywilizacji... po prostu wolę, żeby tak zostało. - Głos jej się załamał. Dygoczącymi rękami sięgnęła po koszulę. Kiedy zapięła guziki, poczuła się pewniej. - Posłuchaj, mój panie. Dobrze wiesz, że nie prosiłam o towarzystwo w moim namiocie.

- Owszem - zgodził się. - Ale przed minutą wydawało się, że bardzo gorąco mnie pragniesz.

- Wynoś się - wypaliła, drżąc cała z upokorzenia. Nie miał prawa insynuować, że sprowokowała go rozmyślnie. - Wynoś się stąd. Zabieraj plecak i idź sobie.

Łzy stanęły jej w oczach. Cóż mógł na to poradzić? Zanim zdążyła go zatrzymać, przesunął kciukiem po długich ciemnych rzęsach.

- Spokojnie, G.S., pozwól mi zostać jeszcze chwilę, żebym zapalił ci kuchenkę.

Odwróciła się plecami, zakłopotana, że rozplakała się przy nim. Co się z nią działo? Czy gdyby zdradziła mu swoje imię, zaczęłyby się z nią kochać? W takim razie dobrze, że przerwali pieszczoty. Na litość boską, nie mogła mu pozwolić na więcej.

Był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Nie wiedziała, kim jest i nie chciała wiedzieć. Wyruszyła na pieszą wędrowkę, aby uciec od miłości, mężczyzn i cierpień przez nich spowodowanych.

Ubrany jedynie w slipy, bez skrępowania opuścił namiot. Wyjął z plecaka przybory toaletowe i poszedł się umyć nad brzegiem strumienia. Nie zrażał go poranny chłód.

Mimo ponurego nastroju Gretchen nie mogła wprost oderwać od niego wzroku. Miał cudowną sylwetkę, ale co poza tym ją w nim pociągało? Przecież nie był w jej typie. Był, jak stwierdziła w duchu, zbyt... doskonały pod względem fizycznym.

Włożyła suche szorty, czyste skarpety i zabłocone buty. Splotła włosy w warkocz. Zapakowała śpiwór do nylonowego pokrowca. Wyjęła z kieszeni plecaka torebkę jaj w proszku oraz opakowanie kawy instant. Kiedy wyszła z namiotu, mężczyzna był już ubrany w spłowiałe czarne spodnie i beżową koszulę. Podwinął rękawy i bosobliżył się do kuchenki. Zapalił gaz. Podniósł wzrok. Gretchen machała mu nad głową torebkami z jedzeniem.

- Czy to zaproszenie? - spytał z wesołym uśmiechem. - Jeśli tak, przyjmuję.

Dziewczyna pomyślała, że gdyby nieznajomy przestał się uśmiechać, o wiele łatwiej byłoby jej się na niego gniewać.

- Nie sądzę, abys niósł w plecaku świeże pomarańcze - wyraziła głośno przypuszczenie.

Zaśmiał się.

- Nie, ale mam za to napój pomarańczowy w proszku. W górnej lewej kieszeni. Znajdź go, a ja przyrządzę dla nas kawę.

Okazał jej zaufanie, pozwalając grzebać we własnym plecaku. Widocznie nie przejmował się przeżyтым rozczarowaniem. Zgodził się zaakceptować jej anonimowość. Zzaakceptował fakt, że nie życzyła sobie, aby jakiś obcy człowiek wtykał nos w jej sprawy. Skoro imię stanowiło klucz do jej duszy, uznał prawo Gretchen do ukrycia go przed nim.

Kiedy wyjęła torebkę z plecaka, niespodziewanie dla samej siebie doszła do wniosku, że nie chce zostać sama. I nie chodziło tu tylko o brak zapalek. Wybaczył jej dwuznaczne zachowanie w namiocie. Nie stracił panowania nad sobą, chociaż ona była na granicy popełnienia błędu. I za to musiała go polubić.

Mieszają napój pomarańczowy. Mężczyzna zajął się kawą i jajkami. Dodał do jajecznicy trochę dzikiego szczypioru. Jedli w milczeniu, ciesząc się porannym ożywczym słońcem.

Wspólnie pozmywali. Zapakowali naczynia do swoich plecaków. Nieznajomy pomógł Gretchen zwinąć namiot i przywiązać go do stelaża plecaka. Dwa razy sprawdził zamocowania. Wstał i strzepnął kurz z kolan. Spojrzał spod oka.

- No dobra, G.S., teraz twój ruch - obwieścił z wesołym uśmiechem. - Chcesz wędrować sama?

Wytrzymała jego wzrok. Dostrzegła drobnutkie zmarszczki w kącikach ust. Zastanawiała się, ile może mieć lat. Nie mogła jednak o to zapytać. Nie mogła zadać żadnego pytania natury osobistej, jeśli sama nie chciała być indagowana. Powinni zostać sobie obcy, bezosobowi, tak jak dzikie lilie rosnące u jej stóp: proste, naturalne, bezimienne.

- Na razie... możemy iść razem - zgodziła się. Starła się, aby jego uśmiech nie wyglądał zbyt triumfalnie. Pomógł Gretchen zarzucić plecak na ramiona i dźwignął z ziemi swój bagaż. Wrócili na oznakowany szlak, wciąż błotnisty po parodniowej ulewie. Po półgodzinie dotarli do kolejnej wiaty. Podczas gdy Gretchen nalewała wody do manierki, jej towarzysz przeglądał dziennik turystów.

- Wczoraj było tu dwóch Tomów z Bostonu! - zawołał.

Gretchen podeszła do stolika i przeczytała zapis. „Deszcz to pieniądze rzucające ludziom przez niebiosa... Tom B. i Tom Q. z Bostonu”.

- No, to już lepiej niż banały o pogodzie pod psem - stwierdziła.

Mężczyzna podał jej ołówek na łańcuszku.

- Napisz wiersz - polecił.

Kiedy napełniał manierkę, Gretchen patrzyła zamyślona na pustą stronicę. Napisała:

„Piątek.

Słońce, ześlij swoją łaskę. Zdejmij z ziemi mokrą maskę.  
Zostań z nami całe lato, A nasz uśmiech - twą zapłatą”.

Mężczyzna stanął za nią i zerkając nad jej ramieniem, przeczytał wierszyk. Rzuciła mu nerwowe spojrzenie. Nagle zdanie nieznanego wydało jej się czymś ważnym. Z ulgą spostrzegła, że ukazał zęby w uśmiechu i skinął głową.

- Podoba mi się. Że też potrafisz tak szybko to wymyślać!

Wzruszyła ramionami.

- Nic szczególnego - powiedziała, kiedy wrócili na szlak.

- Dobieram słowa, żeby się rymowały i tworzyły pewien rytm.

- Tak mówisz, jak gdyby to było dziecinnie łatwe - zaśmiał się. - Ale zapewniam cię, ja bym tego nie potrafił.

Przyjrzała mu się spod oka. Blask słońca podkreślał złotobrazowy odcień jego skóry. Taki mężczyzna nie musi umieć pisać wierszy. W jego sylwetce, zwinnych ruchach, energii było coś wręcz poetyckiego.

Speszona, gwałtownie odwróciła głowę. Dobry Boże, jeszcze gotowa zacząć snuć fantazje na temat życiorysu przystojnego blondyna i zadurzyć się w nim, niczym postrzelona nastolatka! Po prostu był miłym towarzyszem wędrowki, atrakcyjnym fizycznie i doświadczonego turystą. Miał też zapalniczkę, której bardzo potrzebowała. Natomiast wcale nie potrzebowała dodatkowych wiadomości na jego temat.

Szlak zawiódł ich na dużą polanę, porośłą chwastami i polnymi kwiatami. Gretchen przystanęła i wdychała niepowtarzalny świeży zapach. Mężczyzna zerwał piękny kwiat rumianku i bez słowa wpiął jej we włosy, nad uchem, niczym



grzebyk. Cofnął się o krok, aby ocenić efekt, i z zadowoleniem kiwnął głową, po czym ruszył dalej w drogę.

Przez chwilę Gretchen stała nieruchomo. Delikatne płatki muskały jej ucho, jak gdyby całowały skórę. Znowu zauważyła, zaszokowana, że jej towarzysz ma naturę poety. Bo jakże inaczej wyjaśnić ten romantyczny gest?

Z uśmiechem błakającym się na wargach dogoniła go. Uśmiechnął się. Wiedziała, że nie potrzeba słownych podziękowań. Wzrokiem wyraziła swe uczucia lepiej niż którymkolwiek z niezdarnych wierszyków.

Wkroczyli do gęstego lasu. Wyboista ścieżka prowadziła pod górę. Gretchen była pewna, że mężczyzna szybciej niż ona pokona wzgórze. On jednak zwolnił, widocznie woląc jej milczące towarzystwo.

Koło południa była już bardzo zmęczona i zgrzana. Kiedy zaproponował, żeby zatrzymali się na drugie śniadanie, zgodziła się natychmiast. Poprowadził ją na prawo od szlaku, skąd dobiegał szum strumienia, tego, który płynął cały czas wzdłuż trasy. Znaleźli przytulne miejsce na odpoczynek. Zjedli krakersy, ser i suszone jabłka. Zaspokoiwszy głód, mężczyzna spojrzął na wodę.

- Chyba się trochę ochłódzę - oświadczył.

I zanim Gretchen zdążyła zareagować, zaczął rozpinać koszulę. Jeszcze raz zauważyła, jak denerwujący jest jego brak wstydu.

- Zaraz, zaraz, zaczekaj!

Z trudem odwróciła wzrok od muskularnego, opalonego torsu.

- Dlaczego? - spytał z ironicznym uśmieszkiem.

- Chcesz się przyłączyć?

- Co jeszcze zamierzasz z siebie zdjąć? - spytała niespokojnie.

Wybuchnął śmiechem.

- Po prostu zawołaj, kiedy uznasz, że posunąłem się za daleko!

Ściągnął koszulę i nucąc wesoło, wymachiwał nią nad głową, zanim wreszcie cisnął na kamienie. Niespodziewanie dla samej siebie Gretchen roześmiała się. Zmrużył oczy. Rozpiął pasek i zakolysał biodrami, parodiując modny taniec.

- O Boże! - zachichotała, zakrywając oczy dłonią.

- Zdecydowanie posunąłeś się za daleko.

Przerwał striptiz, lecz nie przestał się uśmiechać.

- Przecież nie wskoczę do wody w spodniach

- stwierdził, rozsznurowując buty. - Takie są prawa natury, G.S.! Czy ci się to podoba, czy nie.

Nie miała wyboru. Nie mogła, ot tak, odejść. Mężczyzna taktownie odwrócił się plecami, a ona usiłowała nie zerkać na jego długie, szczupłe nogi. Była wdzięczna, że został w slipach, ale i tak zaczerwieniła się, zawstydzona, i spuściła wzrok w chwili, gdy rzucał spodnie na ziemię. Zachichotał cicho. Gretchen odważyła się spojrzeć dopiero po usłyszeniu głośnego plusku.

Stał pośrodku strumienia. Nogami wparł się mocno w dno. Balansując ramionami, utrzymywał równowagę. Woda sięgała mu do pasa.

- Ale zimna! - zawołał. - Za to niewiarygodnie czysta. Sama sprawdź!

- Nie, dziękuję.

Wprost nie mogła oderwać od niego wzroku, to nurkującego, to wyskakującego nad powierzchnię. Przez moment wyobrażała sobie, że obserwuje leśnego bożka z mitologii. Podziwiała grę promieni słonecznych na mokrej skórze jego muskularnych ramion.

Był przeciwieństwem Jacka. Stanowił wcielenie piękna fizycznego, energii, bezpośredniości. Nic dziwnego, że po zerwaniu z Martellem wydał jej się tak atrakcyjny. Motto Jacka brzmiało: „Cogito, ergo sum”, czyli: „Myślę, więc jestem”. Złotowłosy mężczyzna baraszkujący w strumieniu mógłby

natomiast powiedzieć o sobie: „Vivo, ergo sum”, „Żyję, więc jestem”.

Co stałoby się rano, gdyby zdradziła mu swoje imię? Może kochałby się z nią? O, na to z pewnością nie powinna pozwolić. A zwłaszcza gdyby poznał jej imię. Straciłaby anonimowość. Byłaby Gretchen Sprague, a nie kobietą pierwotną, leśną księżniczką z rumiankiem we włosach.

Na miejscu Gretchen jej przyjaciółka Ruth spędziłaby, oczywiście, noc, Kochając się z przystojnym nieznanym. Ruth lubiła przygody erotyczne, Gretchen - wręcz przeciwnie. Była pod tym względem staroświecka, jak mawiała Ruth.

- Gdyby ci tak nie zależało na miłości i małżeństwie, uniknęłabyś wszystkich nieprzyjemności związanych z Jackiem - besztła ją. - Jeśli chciałaś się przespać z facetem, powinnaś to po prostu zrobić i zapomnieć o sprawie, a nie spędzać półtora roku na przekonywaniu samej siebie, że kochasz łobuza.

- Naprawdę go kochałam - upierała się Gretchen.

- I on mnie kochał. Przecież prosił, żebym się do niego wprowadziła.

- Kochał? - Ruth odgarnęła z twarzy czarne loki.

- To tylko facet, a ty jesteś wygodna. Wygodnie było mieć go pod jednym dachem co noc. Gretchen, seks to seks. Po co mieszać do tego miłość?

Dziewczyna w myślach odpowiedziała przyjaciółce: „Bo taka już jestem”. Może i staroświecka, ale nie zamierzała się zmieniać. Źle oceniła Jacka. Sądziła, że łączy ich coś trwałego i ważnego. Dlatego podjęła decyzję o wprowadzeniu się. On z kolei szukał tylko przelotnego romansu. Z czasem spostrzegł, że zbyt się zaangażował.

Potrzebowała trwałego związku. Jej zdaniem, seks był częścią miłości, a miłość częścią seksu. Nie udało się z Jackiem, lecz wciąż marzyła o idealnym uczuciu. Nie traciła nadziei na spotkanie odpowiedniego mężczyzny.

- Świetnie - ironizowała Ruth. - Czekaj na idealnego mężczyznę i wyjdź za niego. A jeśli będzie miał brata, przyślij mi go. Ja też chciałabym się zakochać. Co zrobisz tymczasem, Gretchen? Będziesz grała w domino? Kobiety mają swoje potrzeby i prawo do ich zaspokajania, tak samo jak mężczyźni.

Oczywiście, Ruth miała rację. Teoretycznie. Gretchen wierzyła w seksualne równouprawnienie. Znała jednak również siebie. Wiedziała, że nie potrafi kierować się w życiu „zaspokajaniem potrzeb”.

Nie była nawet pewna, czy musi je zaspokajać. Kochała Jacka, a seks nie przesłaniał jej uczuciowej strony ich związku. Niestety, okazało się, że w nierównym stopniu się zaangażowali.

Gretchen była staroświecka. Uważała, że miłość duchowa powinna poprzedzać fizyczną. Nie potępiała Ruth za swobodę poglądów. Prawdę mówiąc, nawet jej zazdrościła. Ale do niej przelotne romanse po prostu nie pasowały.

Poczuła lekkie trzepnięcie w udo. Otworzyła oczy. Mężczyzna zabił komara, który usiadł jej na nodze. Nabrał wody w splecione dłonie i połał czerwony ślad po ukąszeniu.

- Przepraszam - mruknął. - Chyba nie zdążyłem.

- W porządku - odparła, badając puchnące miejsce. - Nie pierwszy raz ugryzł mnie komar.

- Te owady to prawdziwe potwory - skomentował, wychodząc na kamienisty brzeg. Gretchen cieszyła się w duchu, że piekąca skóra odwraca jej uwagę od silnego, mokrego ciała tuż obok. - Teraz jest ich mniej. Wędrują na północ, do Kanady. Kiedy pierwszy raz szedłem na Katahdin, na początku czerwca, dopadły mnie na kilometr przed szczytem. Zanim dotarłem na górę, dosłownie ociekałem krwią. Wyglądałem jak postać z horroru.

- Wierzę - pokiwała głową Gretchen. - Widzę, że wędrowałeś już tym szlakiem.

Kończył się ubierać. Roześmiał się. Wokół kącików jego ust pojawiły się zmarszczki.

- Wzbudziłem twoją ciekawość?

- Chciałam tylko podtrzymać rozmowę. Nałożył plecak i pomógł jej wstać.

- Wcale mi to nie przeszkadza - zapewnił. - Jasne, że lubię się włóczyć. Moim marzeniem jest przejście całego szlaku appalaskiego od początku do końca, ale nie wiem, czy kiedyś tego dokonam. Czterokrotnie przebyłem odcinek biegnący przez stan Maine i kawałek dalej, w Karolinie Północnej, ale brakuje mi jeszcze półtora tysiąca kilometrów. - Wzruszył ramionami. - Co tam! Za każdym razem szlak wygląda inaczej. Stare drzewa usychają, wyrastają nowe, nad głową wciąż inne chmury... inni ludzie po drodze... Każdy raz jest pierwszy, G.S., tak mi się przynajmniej wydaje.

W nieznanym znów odezwała się nuta poezji. Gretchen pomyślała, że musi on być rzeczywiście „wrażliwym człowiekiem... Zacerwieniła się na wspomnienie porannego pocałunku. Próbowła bezskutecznie wmówić sobie, że to gorące słońce wywołało rumieńce na jej twarzy.

- Często zabierasz po drodze kobiety? Parsknął śmiechem.

- A powiedz, czy spotkałeś wiele kobiet, wędrujących samotnie? Kobiety nie włóczą się tu w pojedynkę.

- Mój przykład dowodzi czegoś innego. - Pierwszy raz spotkałem kogoś takiego. To dość niebezpieczna impreza.

- Dlaczego? Ty idziesz sam.

- Jestem mężczyzną.

- Dyskryminujesz kobiety! - zgromiła go żartobliwie.

Wybuchnął śmiechem.

- Oszczędź mnie, G.S.! Co byś zrobiła, gdybym rano narzucił ci swoje towarzystwo? Znalazłabyś się w kłopotach.

Spojrzała podejrzliwie, nachmurzona. Ciekawe, dlaczego nie przejęła się tymi słowami?

- O wiele niebezpieczniejszy jest spacer pustą miejską ulicą.

- Na ulicy można zawołać pomoc. A kto w lesie usłyszy twoje wołanie?

- Złapałabym kamień i cisnęła w napastnika.

- Sądzisz, że ktoś taki jak ja przestraszyłby się ciebie niczym szop pracz?

Zmierzyła go wzrokiem. Czyżby ostrzegął ją o swoich planach? Czyżby miał dość zabawy w kotka i myszkę?

- Mam nóż - bąknęła pod nosem.

- Ja też - przypomniał.

Gretchen nie mogła przełknąć śliny. Ogarnęło ją przerażenie.

- Słuchaj no, mój panie. Jeśli, założmy, spróbowałbyś zaczepki, jedno z nas wyszłoby z tego porznięte, z broczącymi ranami. Wątpię, czy taki elegant ryzykowałby w ten sposób.

Parsknął śmiechem i poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

- No, no! Twarda sztuka z ciebie! -pochwalił. -Podziwiam zimną krew. I dziękuję, że mnie nie zadzgałaś.

- A ja dziękuję, że nie... nie wchodzisz mi w drogę.

- Cóż, to ty dyktujesz warunki, kobieto pierwotna. Wiesz, istna diabllica z ciebie. Poetka i tygrysyca ukryte w jednym ciele.

Burknęła coś w odpowiedzi, usiłując zignorować jego pochlebstwa.

- Naprawdę, jesteś odważna. Założę się, że stać cię na przyznanie się, że tolerujesz moje towarzystwo przez wzgląd na marchewkę, którą niosę w plecaku.

- O, nie. Toleruję cię przez wzgląd na twoją zapalniczkę.

- Oczywiście - odezwał się ironicznie. - Potrzebujesz mnie, żebym rozpałał ogień.

Puściła mimo uszu dwuznaczne stwierdzenie. Jej uwagę przykuły różnokolorowe przydrożne kwiaty, a zwłaszcza dzikie róże. Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Przeze mnie opóźniasz marsz, prawda? - spytała przepraszająco.

- W porządku. Nikt nas nie pogania.

- Daleko zamierzasz dojść?

- Powiedz, jak się nazywasz, a udzielę ci odpowiedzi na wszystkie pytania.

Zerknęła spod oka i potrząsnęła głową.

- W takim razie zapomnijmy o tym. Przyjrzał jej się uważnie.

- Masz jakieś kłopoty z prawem, G.S.?

- Co takiego?! Oczywiście, że nie.

- Więc przed czym się kryjesz? Zaciśnęła wargi.

- Ja się nie kryję - oświadczyła cicho. - Po prostu uciekam.

- Od czego?

- Od świata. Chcę od niego odpocząć przez kilka dni.

- Uciekasz od samej siebie?

- Słucham? Ach, nie - zaprzeczyła, podziwiając w duchu intuicję mężczyzny. - Wędrując przez tę głąszkę, pragnę poczuć się częścią przyrody. Chcę zapomnieć o eleganckich ciuchach, o problemach zawodowych i zaległym czynszu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Skinął głową.

- Rozumiem. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - Tak, tak, o eleganckich ciuchach.

- O eleganckich ciuchach, goleniu nóg, polerowaniu paznokci i starannej fryzurze. Nie poznałbyś mnie - zachichotała.

- Poznałbym cię zawsze i wszędzie - odezwał się cicho z głębokim przeświadczeniem.

Gretchen zamilkła. Wyczuwała, że ich rozmowa zбочzyła na o wiele intymniejsze tory, niż się spodziewała. Nie musiała zdradzać swego imienia ani szczegółów zerwania z Jackiem. Pytania mężczyzny i jej odpowiedzi ujawniały jakąś głębszą prawdę. Kiedy mówił, że poznałby ją wszędzie, znaczyło to, że liczyła się dla niego nie fryzura i długość nóg, lecz wnętrze człowieka, czyli coś, czego nie można zmienić.

Za najbezpieczniejsze wyjście uznała skierowanie rozmowy na inny, neutralny temat. Postanowiła zapytać, po czym rozpoznawać różne rośliny, rosnące wzdłuż szlaku. Chociaż mężczyzna zastrzegął się, że nie jest ekspertem, chętnie nazywał i opisywał napotykanne kwiaty, zioła, jagody, grzyby, mchy.

Gretchen była zafascynowana wykładem i nawet nie zauważyła upływu czasu.

Nieznajomy zerknął na zegarek.

- Już prawie piąta. Wyglądasz na półżywą. Co byś powiedziała na rozbić obozowiska?

- Zdołam przejść jeszcze z kilometr.

- A ja nie dam rady - przyznał. Była pewna, że udaje. - Tym razem znajdziemy większą polanę.

- Żebyś mógł rozstawić swój namiot?

- Zgadza się. Mój namiot jest większy niż twój. Plecaki zmieszczą się wewnątrz. Nie chcę, żebyś znów musiała bronić mojego bagażu przed leśnymi złodziejaskami.

- Zaraz, chwileczkę! - Stała jak wryta. - Dlaczego nie mówisz o dwóch namiotach?

- Uspokój się, G.S. - upomniał ją łagodnie. - Pozwól, że ci przypomnę pewną zasadę. Dwojgu ludziom jest cieplej razem niż osobno.

- Ciepłej? - prychnęła. - Było mi bardzo ciepło, zanim się pojawiłeś.

- Cóż, ja natomiast marzłem - odparł swobodnie. Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę strumienia. - Zostawisz mnie tu na noc, trzęsącego się z zimna?

- Bez skrpułów.

Delikatnie przyciągnął ją ku sobie. Dotknął wargami jej ust, które, ku zaskoczeniu Gretchen, się rozchyliły. Zadrżała i westchnęła. Nie mogła się cofnąć ani bronić. Pragnęła poddać się pocałunkowi. Przycisnęła dłoń do jego piersi, a on gładził jej kark pod warkoczem. Czując, że cała drży, przytulił ją mocno.

- Proszę, nie rób tego więcej - szepnęła.

- Dlaczego? - spytał ochryple. Słyszała, jak wali mu serce. - Dźgniesz mnie nożem?

- Może...

- Wiesz, wszystko mi jedno, kim jesteś - stwierdził cicho, głaszcząc ją po policzku. -1 tak cię pragnę.



- Nie mów tak - zaprotestowała.  
- Tylko wyznaję prawdę, G.S., pragnę cię.  
- Dlatego, że jestem sama? Czy dlatego, że jestem słabsza?  
Roześmiał się wesoło.

- Słabsza? Z nożem, kamieniem i okrzykiem: „a kysz!”?  
Jesteś najsilniejszą, najodważniejszą i najbardziej stanowczą damą, jaką w życiu spotkałem.

Nie to miała na myśli. Dotyk jego dłoni, smak ust i wyraz niebieskich oczu działały na nią jak nic przedtem. Traciła głowę.

Oderwała się wreszcie od niego. Spuściła wzrok.

- Nie prowokuj mnie, miłośniku natury. Ja... ja nie szukam romansów. To ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślę.

Przez długą chwilę przypatrywał jej się badawczo, zastanawiając się widocznie nad tą zagadkową uwagą.

Poszli dalej. Mężczyzna objął Gretchen opiekuńczym, niewinnym gestem, dającym poczucie bezpieczeństwa.

- Ta polana nieźle wygląda - oznajmił po jakimś czasie i ściągnął plecak. - Wykorzystamy mój namiot. Jest na tyle obszerny, że możesz ustawić między śpiworami barierę z plecaków, jeśli się mnie boisz.

- Skoro każesz ustawiać barierę, dlaczego po prostu nie pozwolisz rozbić mi własnego namiotu?

- Bo lubię słuchać, jak chrapiesz. Skrzywiła się.

- Ja nie chrapię!

W odpowiedzi wydał zabawny odgłos naśladujący chrapanie.

- Kłamiesz! - zawołała i cisnęła kamieniem. - A kysz!

Wybuchnął śmiechem i umknął za drzewo. Uniósł ręce.

- Poddaję się. Wygrałaś, kobieto pierwotna! Wygrałaś! Nie mam szans w starciu z tobą.

Gretchen zupełnie inaczej oceniała sytuację. To ona nie miała szans.

### ROZDZIAŁ 3

Głośny jęk obudził Gretchen. Otworzyła oczy. W namiocie panowała ciemność. Zdumiona, zdała sobie sprawę, że to ona krzyczała. Czuła, jak gdyby jej prawe udo płonęło. Ostrożnie dotknęła skóry czubkami palców. Zabolęło tak, że znów jęknęła. Powyżej kolana utworzyła się gorąca, twarda opuchlizna.

- G.S.? - rozległ się w mroku szept mężczyzny. - Nic ci się nie stało?

Zacisnęła powieki. Milczała. Udawała, że śpi. Nie chciała zakłócać snu towarzysza.

- G.S.?

- Słucham.

- Nic ci się nie stało?

- To tylko noga - odparła przygnębiona. Usłyszała dźwięk rozsuwanego suwaka śpiwora.

Snop światła oświetlił sufit namiotu. Mężczyzna na czworakach dotarł do Gretchen i rozpiął jej śpiwór. Skierował latarkę na bolące miejsce.

Owalna czerwona opuchlizna była najwyraźniej spowodowana ukąszeniem komara. Mężczyzna dotknął jej delikatnie.

- Gorące jak ogień - stwierdził cicho. - Trzeba z tym szybko coś zrobić.

- To przejdzie - zapewniła słabym głosem. Poglaskała ją po ramieniu. Zabrał latarkę i wyszedł z namiotu. Gretchen położyła się, postępując. Unikała patrzenia na spuchnięte udo.

Mężczyzna przyniósł garnuszek wody. Postawił go przy namiocie i pomógł Gretchen wydostać się ze śpiwora. Powoli przesunęła się do wejścia i wystawiła na zewnątrz wyprostowaną nogę.

Wyjął z plecaka dużą niebieską chustę. Zanurzył ją w wodzie i przyłożył do bolącego miejsca.

- Ojej! - krzyknęła Gretchen, kiedy lodowata woda dotknęła rozpalonego ciała.

- To powinno obniżyć temperaturę - odezwał się łagodnie, uspokajająco.

Przygryzła wargę. Nieznajomy ponownie zmoczył chustkę i położył na opuchliznie.

- Czy zwykle tak reagujesz na ukąszenia komarów? - spytał.

- Przed wyjazdem nie miałam pojęcia, że istnieje taki złośliwy gatunek tych owadów - wyznała, zaciskając pięści, aby nie krzyknąć.

- Doprawdy? A więc nigdy nie zapuszczałaś się w te strony. Gdzie wędrowałaś do tej pory?

Ostatni raz była na kempingu ze Steve'em, przed prawie trzema laty.

- W dolinie Yosemite.

Spojrzał zaskoczony. Srebrzysty księżyc oświetlił jego twarz.

- Pochodzisz z Kalifornii?

- Mój brat tam mieszka. Dawniej jeździłam z nim na biwaki.

- Dawniej?

- Ożenił się.

- A cóż to, nie może wybrać się na wycieczkę z własną siostrą?

Zerknęła na niego niepewnie.

- Steve ma wspaniałą żonę, ale wolny czas upływa im na składaniu zaległych wizyt. Krewni żony mieszkają na wschodnim wybrzeżu. A kiedy już młode małżeństwo zdoła się gdzieś wyrwać, woli poświęcić ten czas wyłącznie sobie. Zresztą czułabym się z nimi jak piąte koło u wozu.

Mężczyzna ponownie zmienił okład. Gretchen czekała, aż się do niej odezwie, lecz na próżno. Pomyślała: raz kozie śmierć, i aby odwrócić uwagę od bolącej nogi, sama zadała pytanie:

- Jesteś żonaty?

- Przechodzimy do kwestii osobistych, co? - odrzekł, rozbawiony.

Gretchen nie uważała swego pytania za niestosowne. Nie poddała się łatwo.

- A więc jesteś żonaty?

- Nie. A ty?

- Nie - oświadczyła z zadziwiającym zapałem. Zmierzył ją zaciekawionym wzrokiem. Zdjął okład i delikatnie zbadał opuchliznę.

- Wydaje się trochę chłodniejsza - stwierdził. Przyniósł z plecaka manierkę i apteczkę pierwszej pomocy, z której wyjął tubkę maści antyseptycznej.

- Czyżby doszło do zakażenia?

- Prawdopodobnie nie - zapewnił. - To jednak podziała przeciwbólowe - Wycisnął na palec trochę maści i delikatnie wmasował ją w zaczerwienioną skórę. - Naprawdę sądzisz, że pieszka wędrówka to ucieczka?

- Tak. Masz inne zdanie?

- Ucieczka od czego?

- Od cywilizacji. To chyba oczywiste. Od pośpiechu, od ludzi, których musisz codziennie widywać, od monottonnych zajęć, od biura.

Mężczyzna milczał.

- Sądzisz, że to nie jest ucieczka? - powtórzyła pytanie.

- Nie. - Podał jej dwie aspiryny i manierkę z wodą do popicia lekarstwa. - Zażyj to.

Posłusznie połknęła tabletki. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Skoro nie ucieczka, to co?

- Powrót.

Powstrzymała się od dalszych pytań. Dobitne stwierdzenie dźwięczało jej w uszach niczym echo. Zagłuszyło ból spowodowany ukąszeniem. Trafiła na prawdziwego miłośnika natury. Tu, w dzikim lesie, z dala od cywilizacji, czuł się jak w domu.

Uśmiechnęła się nieśmiało i ostrożnie zgięła nogę.

- O wiele lepiej - powiedziała z wdzięcznością.

- Jutro prześlę ci rachunek - rzucił, pakując apteczkę.

Chwycił Gretchen pod ramiona i kolana i podniósł.

- Przestań, mogę przecież chodzić.

Nie zważając na protesty, wniósł ją do namiotu i ułożył w śpiworze. Zapiął suwak. Wylał wodę z garnuszka i pozbił swoje rzeczy. Wreszcie przyciągnął swój śpiwór i podłożył ramię pod głowę Gretchen.

- Staraj się zapomnieć o bólu - poradził. - Jutro będzie o wiele lepiej.

Zamknęła oczy i wtuliła twarz w ciepłe gniazdko. Jaki dobry, jaki troskliwy był ten nieznajomy! Kiedy minionej zimy Gretchen przechodziła grypę, cała opieka Jacka sprowadzała się do postawienia jej na stoliku fiolki aspiryny i butelki syropu od kaszlu. Na czas jej choroby przeniósł się do gościnnego pokoju. Bał się zarazić. Nie wpadł na pomysł, że jego miłość może być najlepszym lekarstwem.

Ukąszenie komara nie było, oczywiście, zaraźliwe. Mężczyzna zajął się nią jednak troskliwie, nie dbając o własne zmęczenie. A teraz przytulił ją, dając poczucie bezpieczeństwa i kołyszając do snu.

Kiedy się obudziła, poranne słońce przeświecało przez niebieskie ściany namiotu. Spostrzegła, że śpiwór obok niej jest pusty. Usiadła i otrząsnęła się ze snu.

Już ubrany, mężczyzna wszedł do namiotu z talerzem jajeczniczy i dwiema filiżankami kawy.

- Dzień dobry - powiedział na powitanie.

- Śniadanie w łóżku? - Pokręciła głową, nie wiedząc, czy jeszcze śni.

Uśmiechnął się szeroko. Ostrożnie postawił naczynia i obejrzał udo Gretchen. Ku jej zdumieniu, opuchlizna prawie zniknęła, zaś czerwony ślad zrobił się bladoróżowy.

- Wygląda dobrze - ocenił.

Przykrył jej nogi połą śpiwora i podał talerz.

- Ja naprawdę na to nie zasłużyłam - stwierdziła wesoło.

- A gdzie twoja porcja?

Usiadł obok po turecku.

- Ja już jadłem.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Która godzina? Zerknął na zegarek.

- Dziewiąta trzydzieści.

- Wielkie nieba! - Nie wierzyła, że spała tak długo, ale jej zegarek pokazywał tę samą godzinę. Była sobota, przedostatni dzień planowanej wędrowki. Miała nadzieję, że wstanie wcześniej i jak najlepiej wykorzysta czas. - Przepraszam - mruknęła.

- Za co?

- Że okazałam się takim śpiochem. To chyba przez aspirynę.

- Spałaś długo, bo potrzebowałaś snu. To najlepsze lekarstwo na takie ukąszenia. Pomaga na opuchliznę.

Wypił łyk kawy

- Przepraszam, że cię w nocy obudziłam. Ale ty, o dziwo, nie zapałeś.

- Wstałem dopiero pół godziny temu - zapewnił z uśmiechem.

- Poza tym - dodał żartobliwie - przyzwyczailem się już, że budzi mnie twoje chrapanie.

- Ale ja naprawdę nie chrapię, co? - spytała nieśmiało.

Popatrzył na nią badawczo. W jego oczach igrały psotne ogniki.

- A co na ten temat mówili twoi kochankowie?

- Kto?

Omam nie zakrzusila się kawą.

- Nie żartuj, G.S. - przekomarzał się mężczyzna. - Nie powiesz mi chyba, że pierwszy raz zdarzyło ci się z kimś spać?

- Ja... - Przerwała, zażenowana. - Nie twój interes!

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ja cię tylko ciągnę za język, G.S., to część terapii przeciw ukąszeniu komarów.

- Powiedz wreszcie prawdę! Chrapię czy nie chrapię?

- Nie chrapiesz — wyznał szczerze.

- Dziękuję.

Gretchen chrząknęła, co bardzo rozbawiło mężczyznę. Kiedy zjadła, zabrał naczynia i wyszedł, zostawiając ją samą, aby mogła się ubrać. Zaczęła pakować śpiwór do pokrowca.

- Pozwól, pomogę ci - zaproponował. Właśnie się znowu pojawił.

Zręcznie spakował śpiwór i wyniósł go na zewnątrz. Postawił też przed namiotem buty Gretchen. Kiedy je sznurowała, składał namiot.

- Poczekaj, chcę ci pomóc! - zawołała.

- Nie ma potrzeby.

Zdecydowała się wobec tego zająć spakowaniem kuchenki, zaskoczona stwierdziła jednak, że nie ma nic do roboty.

Wzruszyła ramionami i zarzuciła plecak. Zanim się podniosła, mężczyzna był już przy niej. Sprawnym gestem dźwignął bagaż.

- Nie jestem inwalidką - ofuknęła go.

- Tak, ale możesz czuć jeszcze ból. Spróbuj zrobić parę kroków - polecił, bacznie obserwując jej nogi.

Udo zeszywniało niczym w wyniku poważnego zranienia.

- Będę dzisiaj opóźniać marsz - oznajmiła skruszona.

- Po prostu zwolnimy tempo.

Widocznie nie miał zamiaru jej zostawić i ruszyć szybko przed siebie. Spojrzała na niego kilka razy ukradkiem, kiedy wrócili na szlak. Próbowwała rozgryźć tego silnego miłośnika natury.

Poprzedniego wieczora powiedział niedwuznacznie, że jej pragnie, a jednocześnie nie uczynił ani jednego kroku w tym kierunku. Czyżby przesunął plany na dzisiaj? Nie umiała sobie tego wyobrazić. Sprawiał wrażenie bardzo przyzwoitego człowieka.

Powoli kroczyli suchą już ścieżką. Machali ramionami w zgodnym rytmie. Wdychali do płuc świeże, przepojone

zapachem sosen powietrze. Błogi nastrój poranka nie udzielił się Gretchen. Ogarnął ją smutek.

Najchętniej opóźniłaby koniec wędrowki i powrót do cywilizacji. Nie miała ochoty spotkać tych samych ludzi, zmagać się z codzienną krzątaniną, tkwić przed komputerem. Nie chciała wracać do New Haven, do miejsca, które kojarzyło jej się z Jackiem i złamanym sercem. Wolałaby nie porzucić dzikiej przyrody.

Ani spotkanego po drodze mężczyzny. Pragnęła pozostać w lesie na zawsze i wędrować u boku nieznanego przyjaciela. Razem z nim pokonać cały szlak appalaski, z północy na południe i z powrotem. Nie marzyła o tym, by wracać do Connecticut i znów stać się Gretchen Sprague, terminowo wykonującą pracę, skrupulatnie płacącą rachunki i samotną w nocy.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym lepiej rozumiała, co miał namyśli jej towarzysz, twierdząc, że piesza włóczęga jest powrotem, nie zaś ucieczką. Cywilizacja dostarczała jedynie środków, umożliwiających kolejne wyprawy. Kiedy pewnego razu zaproponowała Jackowi wędrowkę z plecakiem, a on odmówił, powinna była sama ruszyć w drogę. Wtedy zorientowałaby się, że bez trudu potrafi bez niego przetrwać.

Mężczyzna wyrwał ją z zamyślenia cichym pytaniem.

- Jak noga?

- Świetnie.

- Chcesz może, żebym cię odciążył? - zaofiarował się, wskazując ruchem głowy plecak Gretchen.

- Nie, naprawdę nie potrzeba, a poza tym tobie też jest nielekkko. Surowe marchewki! - wypomniała mu żartobliwie.

- Uwielbiasz je, G.S., prawda? Odkryłem, że świeża marchew to droga do twego serca.

Zawtórowała mu śmiechem.

- Dobra, dobra. Ty nieś swój plecak, a ja swój. Nie musisz być wobec mnie taki rycerski.



- Wcale nie o to mi chodziło. Chciałem tylko, żebyś się nie przedźwiagała.

- A czy przyszło ci do głowy, że czasem zachowujesz się jak nadopiekuńczy samiec? - zażartowała.

- Już mi to kiedyś mówiono - przyznał. Gretchen mimowolnie poczuła zazdrość. Kto mu to

powiedział? Szalał za jakąś kobietą? No cóż, z pewnością znał ich mnóstwo. Taki mężczyzna musiał mieć bogatą przeszłość. Był zbyt atrakcyjny pod względem fizycznym i bezpośredni w obejściu, aby nie przyciągać uwagi kobiet, gdziekolwiek się pojawił.

Dlaczego jednak poczuła się zazdrosna? Przez dwa dni miała go tylko dla siebie i ustalała granice ich znajomości. Gdyby chciała, mogła się dowiedzieć jego nazwiska, adresu, zawodu.

Te rzeczy nie liczyły się dla niej. Gdyby poznała fakty, nieznamy stałby się natychmiast kim innym - Johnem Doe, Robertem Q. Public czy choćby Jackiem Martellem. Zyskałby tożsamość uwikłaną w reguły rządzące społeczeństwem. Stałby się konkretną osobą, zdolną, na przykład, znów złamać jej serce.

Gretchen nie pragnęła tego. Zostawiła te rozważania kobietom, które nazwały go w przeszłości nadopiekuńczym samcem, co zresztą nie było prawdą. Zanim doszło do bolesnego ukąszenia komara, mężczyzna nie spieszył z pomocą przy niesieniu plecaka i nie chronił jej przed niczym. Jedynie przed nią samą.

Za każdym razem, kiedy ją całował, czuł, że odpowiada na jego pieszczoty, że wprost nadwrażliwie reaguje na jego dotyk. Ale nie przekraczał pewnej granicy. Dlaczego?

- Uprawiasz jakiś sport? - spytał zniecka.

- Co?

- Sport. Wyglądasz jak atletka. Uprawiasz tenis? Squash?

- Nie. I kiepska ze mnie atletka.

Spojrzał z niedowierzaniem. Uśmiechnął się z lekką ironią.

- Powinnaś spróbować, kobieto pierwotna. Jesteś zbudowana jak atletka, silna i zgrabna. Uwierz mi, żaden cherlak nie wybrałby się sam na wędrowkę z plecakiem.

- Kiepska ze mnie atletka - powtórzyła. - Utrzymuję się w formie dzięki joggingowi, i to w bardzo wolnym tempie - podkreśliła. - No i trenowałam na maszynie do ćwiczeń „Nautilus”.

- „Nautilus”? - Uniósł brwi. - Nic dziwnego, że radzisz sobie z takim ciężkim plecakiem.

- Cóż, na razie przerwałam treningi - wyznała. Jackowi nie podobały się jej ćwiczenia. Twierdził, że tylko piłkarze używają „Nautilusa”, więc zrzekła się członkostwa w miejscowym klubie sportowym. - W każdym razie, słaby ze mnie sportowiec. Brakuje mi koordynacji wzrokowo-ruchowej i zmysłu współzawodnictwa,

- Nie wierzę.

- Naprawdę. Wypadam katastrofalnie, kiedy mam trafić rakietą w piłkę...

- Nie o to mi chodzi. Uważam cię za osobę lubiącą rywalizację.

- Ach, tak? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Jak do tego doszedłeś?

- Eleganckie ubrania, staranna fryzura, wypolerowane paznokcie - wyliczył cechy jej wyglądu w „normalnym” świecie, z których sama się zwierzyła. - Musisz być kimś w rodzaju kobiety interesu.

Nie zamierzała gratulować mu bystrości.

- Mogę być recepcjonistką - zauważyła, uśmiechając się szeroko.

- Możesz być modelką - skomplementował.

- Ja? Jestem za niska i niewystarczająco szczupła. Przyjrzał jej się badawczo i kiwnął głową.

- Za niska i za okrągłutka. Kupuję to! Zaskoczona tym przewrotnym komplementem, postanowiła skłamać.

- Jestem sekretarką. Pokręcił głową przecząco.  
 - Spróbuj jeszcze raz  
 - A dlaczego nie mogę być sekretarką? - Udawała obrażoną.  
 - Jesteś zbyt inteligentna - odparł krótko.  
 - Większość sekretarek to piekielnie inteligentne osoby.  
 Sekretarki, które zatrudniamy...

- Ach, tak! Zatrudniacie sekretarki. Jesteś zatem kobietą interesu.

- Koniec dyskusji, miłośniku natury - burknęła.

Nie chciała nawet myśleć o współzawodnictwie w cywilizowanym świecie, o schludnym, wyłożonym dywanami biurze w New Haven. Wkrótce znów znajdzie się w firmie, w towarzystwie zdolnych sekretarek, przy biurku z piętrzącym się stosem projektów. Przerażliwy terkot budzika i mordercza jazda przez miasto w godzinach szczytu znów będą wyznaczały najważniejsze punkty programu dnia. A potem powrót do nadal nieumeblowanego domu i opędzanie się od Ruth, chcącej wyciągnąć ją na przyjęcie czy do baru dla samotnych.

Spojrzała na swego towarzysza, z trudem powstrzymującego uśmiech. Spróbowała wyobrazić go sobie w nienagannie skrojonym garniturze i wypolerowanych lakierkach, zamiast w spodniach khaki, bawełnianej koszuli i zabłoconych butach. Nie mogła. Krawat wyglądałby na jego szyi niczym pętla wisielca.

- A ty? - spytała impulsywnie. - Jak sądzę, nie jesteś biznesmenem.

Rzucił jej kpiarskie spojrzenie.

- Dlaczego?

- Wyglądasz raczej na człowieka, który pracuje na wolnym powietrzu.

Roześmiał się.

- W otoczeniu drzew każdy by tak wyglądał.

- A więc jesteś biznesmenem? - Była wyraźnie zdumiona.

Już otworzył usta, aby odpowiedzieć, lecz zmienił zdanie. Zastanawiał się przez chwilę.

- Zdradz, jak się nazywasz, G.S. - zażądał z powagą.

Miała to na końcu języka. Wycofała się w ostatniej chwili. Anonimowa turystka przedzierzgnęłaby się w mgnieniu oka w konkretną kobietę leczącą złamane serce. Nie mogła i nie chciała do tego dopuścić.

Przeciągające się milczenie zaniepokoiło mężczyznę.

- Czy to ma związek ze mną, G.S.? Nie ufasz mi?

- Ależ ufam! - odparła szybko.

Nie pamiętała, aby kiedykolwiek zapewniła Jacka, że mu ufa. Wiedziała, że jest absolutnie szczerą. Ufała nieznanemu.

Martell zawsze ją do czegoś zmuszał. On był górą, Gretchen zaś ustępowała. Wmawiała sobie, że taka już jest jej natura.

Jack oskarżał ją o bierność i brak zdecydowania, wreszcie jednak ustąpił. Patrząc wstecz, Gretchen doszła do wniosku, że poprosił ją o wprowadzenie się tylko po to, aby wziąć ją do łóżka.

Nie zamierzała znów myśleć o Jacku. Chciała myśleć o towarzyszącym jej mężczyźnie i zaufaniu, jakim go obdarzyła.

- Zrozum, proszę - odezwała się cicho, gładząc go po dłoni. - To nie ma nic wspólnego z tobą. Pragnę po prostu zapomnieć o osobie, którą jestem w cywilizowanym świecie.

Doskonale pojął sens jej słów.

- Czy nie możesz tu nosić jakiegoś imienia?

- Ależ mam imię. G.S., kobieta pierwotna.

- Czy... Czy nie lubisz tej drugiej strony twojej osobowości?

Zarumieniła się lekko. Pomyślała ironicznie: psychoterapeuta-amator na szlaku appalaskim. Nie była specjalnie zadowolona. Kiedy jednak mężczyzna ujął ją za rękę, wybaczyła mu dociekliwość.

- Chyba nie jest taka zła, tyle że... - Dokończyła w duchu: staroświecka, wstydliva, wyznająca niemodne dziś wartości. - Nicco spięta.

- Tutaj też jesteś spięta - zauważył. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co przez to rozumiesz?

- Zachowujesz się nerwowo, kiedy mężczyzna, któremu rzekomo ufasz, rozbiera się przed kąpielą w strumieniu.

Przypomniała sobie własne zakłopotanie. Zdenerwowała się wtedy nie tyle widokiem rozbierającego się, co faktem, że tak silnie działa na nią jego obecność. Dziś zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu. Uścisk ręki był najintymniejszym gestem, jaki ich połączył od rana.

Nie mogła zaprzeczyć. Fascynował ją. Gdybyż tylko potrafiła się rozluźnić, pozbyć poczucia winy, wyrzutów sumienia. Gdybyż nie obawiała się powiedzieć poprzedniego wieczora na brzegu strumienia: „Dalej! Bierz wszystko! Jestem twoim łupem! Pokaż, co masz!”.

Na myśl o tym zachichotała. Mężczyzna uniósł brwi.

- Z czego się śmiejesz? Pokręciła głową i opanowała się.

- Och, miłośniku natury - westchnęła. - Masz rację. Jestem spięta. Ale staram się z tym walczyć. Na łonie natury ludzie pozwalają przemówić tłumionym instynktom.

- Innymi słowy, stają się bezimienni?

- Nie potrzebują imion - podkreśliła. - Powinieneś to rozumieć. Jesteś ucieleśnieniem tej prawdy.

Zareagował pełnym namysłu milczeniem. Nie zamierzała go obrazić. Żywiła nadzieję, że nie pojmie opacznie jej intencji. Była dorosłą kobietą, której brakowało śmiałości, by uwolnić tłumione żądze.

- Staram się - szepnęła.

- Słucham?

- Staram się nie być spięta - wyjaśniła. Ścisnął jej dłoń.

- Świetnie sobie radzisz, kobieto pierwotna. Leciutki niepokój jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Około południa dotarli do wiaty. Pod daszkiem siedziała już para w średnim wieku i jadła drugie śniadanie. Gretchen i jej towarzysz zrzucili plecaki i uśmiechnęli się do napotkanych turystów, ubranych w czyste spodnie i kurtki, odpowiednie

raczej na miejską ulicę niż leśną wędrowkę. Nie mieli bagażu. Widocznie wybrali się na jednodniową wycieczkę.

- Dzień dobry! - powitał ich serdecznie łysiejący mężczyzna. - Wyglądacie, jakbyście wędrowali już wiele dni.

Mówił z silnym nosowym akcentem, typowym dla mieszkańców stanu Maine, co ucieszyło uszy Gretchen.

Jej towarzysz zerknął na nią i ukazał zęby w uśmiechu.

- Padało czterdzieści dni i nocy - zacytował fragment jednego z wierszyków jej autorstwa. - Deszcz nas dosłownie wykończył.

- Tak, tak - pokiwała głową kobieta. - Mieliśmy mokry tydzień. No, ale wreszcie się roz pogodziło. Poczęstujecie się świeżą żywnością? - zaproponowała, widząc, że Gretchen rozpakowuje krakersy i suszoną wołowinę.

Podsunała jej duży kosz z prowiantem. Był tam między innymi bochen chleba i kawał sera.

Gretchen i jej towarzysz wymienili spojrzenia.

- Nie wiem, jak ty - szepnął mężczyzna - aleja nie potrafię odmówić.

- Bardzo proszę. - Kobieta wręczyła Gretchen bochenek. - Częstujcie się. Maynard jak zwykle zapakował za dużo.

- Wiesz, Elizabeth - odparł jej mąż - zawsze ci powtarzam, że lepiej mieć za dużo niż za mało.

- O, tak - zgodziła się chętnie. - Dzięki temu możemy podzielić się z tak miłymi ludźmi. Nowożeńcy, co?

Gretchen wzdygnęła się. Jej towarzysz zachichotał.

- Jak to pani odgadła?

- Macie to wypisane na twarzy - odparła z dumą. - Bije od was blask młodej miłości. Prawda, Maynard?

- Młoda miłość jest dobra - stwierdził starszy pan, wzruszając ramionami - ale stara miłość jest jeszcze lepsza. - Pochylił się i pocałował żonę w policzek.

- A więc mówisz, że jestem stara, tak? - ofuknęła go żartobliwie, nie kryjąc jednak wzruszenia.

Pochłaniając chleb z serem, ucieli sobie pogawędkę ze starszym małżeństwem. Towarzysz Gretchen nie zaprzeczył, że są nowożeńcami... Co miała na myśli napotkana kobieta, twierdząc, że bije od nich blask miłości? Byli zaledwie przyjaciółmi, a właściwie - znajomymi, dwojgiem ludzi, których połączył szlak i którzy sobie zaufali...

Do czwórki wypoczywającej w wiacie dołączyło dwóch studentów, idących na południe. Ich siła i energia zrobiły wielkie wrażenie na Gretchen i przypomniały jej o ukąszonej nodze.

Chłopcy niczym zgłodniałe wilczki rzucili się na chleb i ser. Posiliwszy się, podziękowali i wrócili na szlak. Ich odejście było sygnałem dla nieznanego. Pomógł Gretchen nałożyć plecak.

- Przed nami jeszcze wiele dróg do przebycia - odezwał się zagadkowo.

Pożegnali się i poszli dalej. Gretchen milczała. Zastanawiała się, czy mężczyzna nie wolałby iść teraz szybkim krokiem z tryskającymi energią studentami niż z zadumaną, zamkniętą w sobie kobietą. Gdyby spotkał ich wcześniej, czy zdecydowałby się na wędrowkę z nią? A może chciał się zabawić i nie wyprowadzać z błędu starszych ludzi, uważających ich za nowożeńców?

- Jak tam, milcząca damo? Rozwiązujesz w myślach poważne problemy?

- Próbuję je od siebie odpędzić.

- Jeśli dobrze pamiętam, jest tu świetne miejsce, gdzie moglibyśmy rozbić obóz dziś wieczorem. To jakieś osiem kilometrów stąd. Jak twoja noga?

- Czuję się świetnie. Wytrzymałabym dłuższy marsz.

- Nie będziesz musiała, jeśli niczego nie pokrećę. Przekonasz się. Piękne miejsce.

Skinęła głową. Na podejmowanie decyzji i ponoszenie odpowiedzialności będzie miała czas w New Haven. Na razie z

radością zdawała się na zdanie swego towarzysza. Nie przeszkadzałoby jej wcale, gdyby jacyś napotkani turyści znów uznali ich za nowożeńców.

Szlak prowadził teraz w dół, ugięte kolana narażone więc były na większe obciążenie. Gretchen podziwiała okoliczną przyrodę.

- W ostatniej wiacie nie napisałaś wierszyka - odezwał się, przerywając ciszę.

- Nie napisałam.

- Dlaczego?

- Za dużo ludzi.

- Wczoraj, kiedy patrzyłem ci na ręce, jednak napisałaś - przypomniał.

Wzruszyła ramionami.

- Może miałam natchnienie. Popatrzyl na nią uważnie.

- A ja nie jestem twoim natchnieniem? - rzucił wyzwanie.

To pytanie skłoniło ją do namysłu. Nieznajomy tłumil jej twórcze zdolności. Sam był ucieleśnieniem poezji. Jej kulawe wierszyki bladły w porównaniu z żywą poezją pięknego ciała, gestów, milczącej obecności... Kiedy on był obok, nie musiała pisać wierszy.

Jęknęła w duchu. O czym ona myśli? Co jej się stało? Bała się unieść wzrok. Ten mężczyzna wkradal się do jej świadomości. Straciła poczucie proporcji. Smutkiem napawał ją nie tyle powrót do pracy, lecz konieczność rozstania z nim.

Wędrowała, aby uciec od miłości. I udało się. Uczucie, jakie żywiła wobec towarzysza włóczęgi, nie miało nic wspólnego z miłością. Ot, dwa kwiaty ogrzewane tym samym promieniem słońca. Dwoje nieznajomych, których drogi się przecięły i którzy przez pewien czas szli razem przez las.

- Chyba tędy - oznajmił, zbaczając ze ścieżki między drzewa. Gretchen posłusznie podażyła w ślad za nim. Uśmiechnęła się, kiedy odgiął gałęzie, aby ułatwić jej przejście. Przez kilka minut brnęli w gęstwinie.

Wreszcie przystanął i zmarszczył brwi.



- Zabłądziliśmy? - spytała obojętnym tonem.

Przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Nasłuchiwał. Wietrzyk poruszał liśćmi. Trzeszczała obumierająca gałąź. Kiedy podmuchy ustały, rozpromienił się. Podjął marsz. Gretchen deptała mu po piętach.

Po paru minutach znów się zatrzymał. Była pewna, że zabłądzili.

- Słyszysz? - spytał, zanim zdążyła się odezwać.

Nadstawiła uszu. Czyżby dobiegał do niej szum strumienia? Lekko zmarszczyła czoło. Mężczyzna uśmiechnął się. Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę polany.

Widok ukwieconej łączki aż zaparł dech w piersiach Gretchen. Ujrzała kryształowo czyste jeziorko, do którego z wysokości trzech metrów spływała woda ze strumienia, tworząc srebrzystą kaskadę.

- Jak pięknie - szepnęła.

- Wracam tu między innymi dlatego, że istnieją takie miejsca - wyznał jej towarzysz. Zdjął swój plecak i pomógł dziewczynie uwolnić się od bagażu. Stał nad brzegiem jeziorka i wpatrywał się w błyszczącą powierzchnię niczym król robiący przegląd swoich włości.

Nie odwracając się, rozpiął koszulę i zsuł buty. Gretchen obserwowała go z tyłu, wiedząc, że tym razem nie zabroni mu zdjęcia całego ubrania. Nie zachowa się jak wstydliva panienka. Nie tutaj. Nie na przepięknej polanie ukrytej przed cywilizacją.

W parę sekund rozebrał się do naga. Nie odwróciła wzroku, a jej obecność zdawała się mu nie przeszkadzać. Skoczył ze skały i zanurzył się w wodzie.

Gretchen podeszła do brzegu. Nie spuszczała oczu ze złotego zwinnego ciała, które dopłynęło do wodospadu i wspięło się na śliskie kamienie pod pianistą kaskadą. Z początku mężczyzna skrzywił się nieco, czując lodowaty prysznic, lecz natychmiast radośnie uniośł ramiona, jak gdyby poddając się pieszczocie wody.

Cudownie zbudowane ciało idealnie pasowało do bajkowego krajobrazu. Gretchen zapragnęła być wolna jak jej towarzysz. Chciała stać się częścią dzikiego świata, roztopić w nim.

Palce mimowolnie powędrowały do guzików bluzki. Cisnęła ją na kamienie. Podobnie szorty, bieliznę i buty. Naga, odetchnęła głęboko i zanurzyła się w wodzie. Krzyknęła, zaskoczona. Z zimna zaszczekała zębami i dostała gęsiej skórki.

- Ruszaj się! - dodał jej odwagi mężczyzna i skoczył spod wodospadu do głębszej na półtora metra wody. Wyplął tuż koło Gretchen. - Pływaj, to się rozgrzejesz! - zapewnił.

- Nie mogę ruszyć ręką ani nogą! Zamarzłam na kość! - pisnęła.

Wybuchnął śmiechem. Zanurkował i chwycił ją za stopę. Straciła równowagę i zanurzyła się pod powierzchnię. Dysząc i parskając, szybko stanęła na nogi.

- Dosyć żartów, miłośniku natury! Ja naprawdę zamierzam.

- Rozruszaj się.

I zgodnie ze swoją radą pomknął jak burza przez jeziorko, energicznie młócąc ramionami.

Spróbowała go naśladować i, oczywiście, zaraz zapomniała o chłodzie. Woda zmywała z niej parudniowe zmęczenie. Mięśnie odzyskały sprawność, ciało nabrało sprężystości. Nigdy przedtem nie pływała nago. Była zaskoczona zmysłowością wody, która obejmowała ją i przepływała między piersiami i nogami. Dotarła do przeciwległego brzegu i zawróciła. Nagle poczuła pociągnięcie za warkocz. Gumka zsunęła się z włosów.

Rzuciła się w pogoń. Mokre sploty przylgnęły jej do ramion i pleców niczym kasztanowa peleryna. Zanim dopłynęła do brzegu, mężczyzna już wdrapywał się na skały.

Nagle ogarnął ją wstyd. Zanurzyła się w wodzie po szyję. A on kroczył swobodnie przez łąkę, nie skrywając niczego, młodzieńczy i wspaniały w blasku słońca. Kiedy wszedł z powrotem do jeziora, trzymał pęk rumianków. Poprowadził

Gretchen w najgłębsze miejsce i stanął do niej twarzą. Po kolei wtykał kwiaty w jej włosy.

- Co ty robisz? - spytała bez tchu.

- Koronuję cię - odparł cicho. - Jesteś królową lasu.

Kilka kwiatów wysliznęło się i unosiło teraz na powierzchni jeziora. Mężczyzna podał Gretchen resztę rumianków. Wzięła bukiet i zanurzyła twarz w płatkach. Syciła się ich wonią. Czuła się naprawdę jak leśna bogini. Podniosła wzrok. Nieznajomy przypatrywał jej się z powagą i tęsknotą w oczach. Chciała mu podać jeden z kwiatów, lecz chwycił ją za nadgarstek.

Pocałunek rozniecił żar w ciele Gretchen. Mężczyzna przygarnął ją mocno do siebie. Musnął ustami czoło, nos i dotarł do warg. Rozchyliła je bez namysłu. Gładził ją po plecach, przytulał. Aksamitna skóra kobiecych piersi zetknęła się z szorstkim męskim torsem. Jej brzuch wyczuł budzącą się męskość.

Wiedziała, co się dzieje i, rzecz niebywała, pragnęła, aby to się zdarzyło. Może to był sposób na zagłuszenie bólu przeżytego zawodu miłosnego? Bez zobowiązań, anonimowo, tajemniczo.

Poddała się nastrojowi chwili. Otoczyła ramionami szyję mężczyzny i odpowiedziała na pocałunek. Nieznajomy napiął wszystkie mięśnie i westchnął.

- G.S... Kobieto pierwotna, powiedz mi, kim jesteś - szepnął.

Czuła bijące od niego ciepło. Przywarła policzkiem do smukłej szyi.

- Nie - odrzekła nieubłaganie.

Była świadoma, że ta odmowa może sprawić, że on się wycofa, a z drugiej strony bała się, aby najdrobniejsza wzmianka o rzeczywistości nie zniszczyła magii chwili. Jako Gretchen Sprague nie posunęłaby się tak daleko. Nastąpiły koniec wolności, spontaniczności; zaufania.

Niespiesznie gładził jej plecy.

- Skoro nie mogę mieć twojego imienia, wezmę całą resztę - zdecydował.

- Wiem - szepnęła drżącym głosem.  
Zamknął jej usta pocałunkiem. Wziął ją na ręce i zaniósł na kwiecistą łąkę.

RS

## ROZDZIAŁ 4

Ułożył ją na ziemi delikatnie jak kruchą porcelanę. Miękki, aksamitny mech utworzył wygodną poduszkę. Kwiaty nasączyły swą wonią nagą skórę. Ukląkł przy niej, zasłaniając promienie zachodzącego słońca. Nie miało to dla Gretchen znaczenia. To on był jej słońcem, ogrzewającym i oświetlającym ich prywatną polanę.

Badał dłońmi każdy centymetr jej ciała. Dotknął obojczyków, powiódł palcami po żebrach, w stronę przełęczu między pagórkami piersi.

- Czy wiesz, że jesteś piękna? - szepnął

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Nawet nie próbowała. Uniosła rękę i przesunęła nią po nie ogolonej brodzie mężczyzny. Wstrzymał oddech i musnął palcami jej piersi.

Brodawki stwardniały natychmiast. Gretchen nie spuszczała wzroku z twarzy mężczyzny. Zanurzyła palce w gęstwinie jasnych włosów.

Położył się przy niej. Ich usta połączyły się w pocałunku, języki szukały się wzajemnie. Jedna dłoń nieznajomego sunęła w dół, ku jej biodru. Poznał krągły kształt i podążył do źródła rozkoszy. Krzyknęła i wpiła się w muskularne ramiona. Uniosła biodra, zapraszając do pieszczot.

Sama siebie nie poznawała. Nie była już dawną Gretchen Sprague. Tamta nigdy nie zachowywałaby się w podobny sposób. Nie wierzyła przecież, że miłość i seks mogą istnieć niezależnie i nie znała zmysłowego ognia, trawiącego ją teraz w obecności tego mężczyzny.

- Proszę... - głos Gretchen zabrzmiał obco dla niej samej, miękko, żarliwie.

- O co? - Przeciągnął wargami po jej szyi, zostawiając na skórze płonący ślad. - Co, kobieto pierwotna? Czego pragniesz?

- Ciebie... Ciebie całego - wyszeptała.

Zaczął namiętnie całować jej piersi. Pieścił brodawki, doprowadzając Gretchen do szaleństwa. Uniósł się i położył na niej.

- Jeśli chcesz, weź mnie - powiedział półgłosem. Znów siebie zadziwiła. Przesunęła rękę na sprężyste mięśnie jego brzucha i jeszcze dalej. Wyczuła twardego kształt i zacisnęła palce.

Zamknął oczy i chwycił jej drugą rękę. Całował wnętrza dłoni. Ich palce splotły się. Dotknął najczulszego kobiecego miejsca. Gretchen nie wiedziała, co się z nią dzieje, i nie dbała o to.

Chciała, aby to trwało. Słodkie napięcie, biały żar, przesywający ją na wskroś. Rozdygotana, przywarła kurczowo do mężczyzny, szukając w jego ciele obrony przed nieznanym żywiołem.

Wdarł się w nią jednym ruchem, głęboko, nieprawdopodobnie głęboko. Pragnęła, aby wypełnił ją całą, aby zniknęła granica między ich ciałami, między nimi a kwietnym rajem dookoła.

Czegoś takiego nie doświadczyła.

Poruszali się zgodnym rytmem, aż wreszcie fala rozkoszy wyrzuciła ich na brzeg. Leżeli potem uspokojeni, objęci. Gretchen nie chciała, aby rozwiął się cudowny czar, któremu się poddali. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła.

Musnął wargami jej usta i położył się obok.

- Nie! - zaprotestowała. Uśmiechnął się.

- Nigdzie nie odchodzę, G.S.

Przytuliła się, a on głaskał ją po włosach, po jej ramionach. Czyżby Ruth miała rację? Czyżby miłość fizyczna bez zobowiązań dostarczała najwięcej satysfakcji? Może staroświeckie uprzedzenia przeszkodziły jej w zaznaniu wcześniej podobnej rozkoszy?

A może tylko magia lasu, szczodrość matki natury sprawiła, że dwoje ludzi przypieczętowało swą znajomość? Może zapach dzikich lilii oszołomił Gretchen i spowodował jej niezwykłą reakcję?

Cokolwiek to było, pragnęła, aby szczęśliwa chwila trwała wiecznie. Chciała leżeć na łące pod sklepieniem nieba, w objęciach poety dzikości, króla lasu.

Wstrząsnął nią dziwny dreszcz. Zaakceptować to, co się stało, znaczyło uznać, że dawna Gretchen Sprague odeszła w zapomnienie. Wartości, które dotychczas wyznawała, okazały się bez znaczenia. A przecież nie mogła ich przekreślić. Nie mogła utracić tożsamości. Nie mogła też pozostać w lesie na zawsze. Zadrżała.

- Zimno ci?

- Troszeczkę - szepnęła, zbyt przestraszona powagą swych rozmyślań, aby się nimi dzielić.

Skinął głową. Pocałował ją w czoło, wstał i podał jej rękę. Zachodzące słońce znajdowało się już poniżej koron drzew. Łąka pogrążyła się w cieniu.

Podeszli do skały, na której zostawili ubrania. Wspólnie rozbili namiot. On zajął się przeniesieniem bagaży, ona - rozstawianiem kuchenki i przyrządzeniem makaronu z serem.

Miała nadzieję, że proste czynności gospodarskie? oderwą ją od poważnych myśli, od których nie mogli się opędzić. Tak się jednak nie stało. Przez cały czas zastanawiała się nad zaistniałą sytuacją. Kim był nieznajomy? W jaki sposób zdołał rozpalić w niej namiętność i tak wspaniale ją zaspokoić?

Znała Jacka przez dwa i pół roku i w jego ramionach nigdy nie zapomniała się bez reszty. Marzyła o burzliwych uniesieniach, lecz sądziła, że najpierw dwoje ludzi musi się dobrze poznać, a dopiero potem dawać sobie fizyczną satysfakcję.

Nie mając doświadczenia w tych sprawach, uważała, że miłość i wzajemny szacunek powinny poprzedzać seksualne spełnienie. Mężczyzna, którego spotkała przed dwoma dniami, nie mógł z pewnością rozumieć potrzeb jej ciała.

Udowodnił coś wręcz przeciwnego. Może sprawiła to magia chwili, a może po prostu miała fałszywe pojęcie o

mężczyznach? Była osobą dość trzeźwo i mocno stąpającą po ziemi, nie przypisywała więc zbytnej roli szumowi wodospadu i woni dzikich kwiatów. Musiała zatem przyjąć do wiadomości wytłumaczenie Ruth: i przelotny romans, i seks bez zobowiązań potrafią zaspokoić kobietę. Ten wniosek wydał się Gretchen nie do przyjęcia.

Szukała innego wyjaśnienia. Może jej towarzysz jest doświadczonym kochankiem? Może kochał się z tyloma kobietami, że doskonale wiedział, jak doprowadzić je do najwyższej rozkoszy? Przeczytał to i owo na temat technicznych chwytów...

Wydało jej się to tak absurdalne, że omal się nie roześmiała. Nie wyobrażała sobie, aby miłośnik natury studiował podręczniki. Kierował się raczej instynktem, intuicją.

To, co zaszło między nimi, wydawało się czymś spontanicznym, instynktownym właśnie, nie zaś wytężonym czy świadomym. Nikt nie mówi liliom, Wy wystawiały płatki do słońca, a strumieniowi, aby płynął w dół. Nieubłagane prawa natury pchnęły ku sobie dwoje ludzi. Intelkt nie miał z tym nic wspólnego.

Ruth chyba się nie myliła. Miłość i seks to dwie oddzielne sprawy. Gretchen z pewnością nie kochała swego towarzysza, chociaż niewątpliwie pociągał ją fizycznie. I nawet nie znała jego imienia.

Tak powinno pozostać. Nie chciała i nie potrzebowała miłości. Korzystała z szansy, aby dojść do siebie po doznanym zawodzie.

Kiedy mieszała makaron, poczuła, że mężczyzna stanął za jej plecami. Ukłąkł i zaczął masować napięte mięśnie karku i pleców Gretchen.

- Jak dobrze - zamruczała zadowolona.

- Wszystko, co ciebie dotyczy, jest dobre - zauważył. Uniósł jej włosy i pocałował w szyję. Zalała ją fala gorąca.



Natychmiast zapomniała o dręczących ją pytaniach. Znała już odpowiedź.

- To miejsce, miłośniku natury... Wiedziałaś, gdzie go szukać. Jak je znalazłaś?

Pochylił się nad kuchenką. Nabrał na widelec trochę makaronu i spróbował. A potem powiódł wzrokiem po łące i liliach, zmieniających kolor w zapadającym zmroku.

- Trafiłem tu przed kilku laty. Pierwszy raz przeszedłem wtedy ten odcinek szlaku appalaskiego. Zaprowadził mnie szum wody. To był bezwietrzny dzień i dałbym głowę, że słyszę szum wodospadu. Postanowiłem do niego dotrzeć.

- Mogłeś zabłądzić.

- Warto było podjąć ryzyko - oznajmił, wzruszając ramionami.

Spojrzała badawczo, zaciekawiona dwuznacznością jego słów. Uśmiechnął się szeroko.

- Byłeś wtedy sam?- Gretchen musiała zaspokoić swoją ciekawość.

- Hmm... Czy byłem sam? Kiedy?

- Kiedy odkryłeś tę polanę.

- Idę tym szlakiem już czwarty raz i jeszcze nigdy nie miałem towarzysza wędrowki. - Chwycił dłoń Gretchen i podniósł ją do ust. - Jestem jednak pewien, że nie ja jedyny znalazłem to miejsce - dodał wesoło.

- Nie mów tak - stwierdziła pospiesznie. Zerknął, zdumiony. Uśmiechnęła się niewinnie. - Chcę myśleć, że to nasza polana, wyłącznie nasza.

- Tak właśnie jest, G.S. - zapewnił czule.

Jedli powoli, w milczeniu. Zanim skończyli, zrobiło się ciemno. Srebrzysty księżyc wypłynął na niebo. Robaczki świętojańskie śmigły wśród kwiatów. Gretchen umyła twarz i zęby i usiadła na skale nad czarną wodą.

Postanowiła nie zaprzętać sobie więcej głowy problemami. Przyjdzie na to czas po powrocie do domu. Pragnęła cieszyć się pięknem wieczoru i bliskością kochanka.

Ale nawet romantyczny nastrój nastrajał ją melancholijnie. Niedługo musi wrócić do pracy, do cywilizacji. Na myśl o tym poczuła skurcz w sercu.

Słuchała szumu strumienia, koncertu świerszczy, kumkania żab i metalicznego szczęku naczyń, sprzątanym przez mężczyznę. Energicznie, sprawnie poradził sobie z garnkami i wszedł do namiotu po przybory toaletowe.

Kiedy już się umył, dołączył do Gretchen. Zrobiła mu miejsce na kamieniu obok siebie, a on otoczył ją ramieniem.

- No, jak tam, kobieto pierwotna? - spytał łagodnym, rozmarzonym głosem.

- Świetnie - odparła, niezbyt o tym przekonana.

- A noga?

- Co?

- Ślad po ukąszeniu.

- A tak. - Całkiem zapomniała. - O wiele lepiej.

- Są różne sposoby leczenia ukąszenia komara - zaśmiał się cicho.

Spojrzała na niego badawczo. Nie chciała, aby żartował z ich cudownego przeżycia na łące. Z drugiej strony wiedziała, że było to chyba najrozsądniejsze zachowanie. Przyjemnie się zabawili, i tyle.

Otrząsnęła się z tych myśli i uśmiechnęła.

- Nie wiem, czy mnie wyleczyłeś - odparowała.

- Może po prostu sprawiłeś, że przez chwilę zapomniałam o bólu.

- A może ból powraca? - zasugerował. Zmarszczyła brwi. - Może znów potrzebujesz znieczulenia...?

- A może masz nieczyste myśli?

- Pewnie tak. I dobrze mi z tym.

Podniósł się i pomógł wstać Gretchen. Po drodze do namiotu starała się nie deptać kwiatów. Kiedy znalazła się w środku, spostrzegła, że mężczyzna przygotował im wspólne posłanie. Rozsunął zamki śpiworów i jeden rozłożył jako prześcieradło, drugi zaś - jako kołdrę.

Odwróciła się i już miała cierpko skomentować to śmiałe posunięcie, lecz kiedy objął ją mocno, nie potrafiła się zdobyć na wymówki. Czowała, że nawet w ciemności widać jej rozpalony wzrok, rumieniec na policzkach, rozchylone, wyczekujące wargi.

Musnął jej usta językiem, a potem wsunął go do słodkiego wnętrza, aby pocałunkiem obudzić w niej namiętność. Ręce powędrowały do guzików koszuli, do zapięcia biustonosza, paska szortów. Rozebrał ją i siebie, pospiesznie, zdecydowanie.

Pociągnął Gretchen na posłanie i okrył ich śpiworem. Silne dłonie zaczęły podniecającą wędrówkę po zakamarkach jej ciała. Pieścił skórę za uszami, aż poczuła ciarki na plecach. Delikatnie dotknął jej znużonych marszem stóp, które natychmiast odżyły. Całował szyję, muskał ustami ramiona.

Poznawał coraz lepiej jej ciało, a ona dowiadywała się coraz więcej o jego reakcjach. Kiedy chwyciła złociste włosy na muskularnym torsie, wzdychał zadowolony, a kiedy trącała nosem jego brodę, śmiał się. Wstrzymywał oddech, gdy przesuwiała dłonią po twardych udach. Cieszyła się, że może mu dać to, co on jej dawał. Łączyli się w ekstazie. Świat zewnętrzny zniknął. Liczyli się tylko oni.

Niespodziewanie dla samej siebie, Gretchen bez oporów poznawała tajniki męskiego ciała. Poddawała się ulotnemu czarowi chwili. O wschodzie słońca skończy się piękny sen. Odejdzie, tak jak ta jedna jedyna noc. I powinna się z tym pogodzić, tak jak bez dyskusji przyjmuje istnienie łąki, wodospadu i całej przyrody.

Osiągnąwszy spełnienie, wyczerpana zapadła w drzemkę. W uszach dźwięczały jej słowa nieznajomego: „ Skoro nie mogę

mieć twojego imienia, wezmę całą resztę". Niejasny sens tych słów niepokoił ją. Rzeczywiście, mężczyzna zabrał jakąś jej część. Nie była już dawną Gretchen.

Spała spokojnie. Wstała pierwsza i ubrała się na zewnątrz namiotu, aby nie przeszkadzać kochankowi. Przez poranną mgłę przebijało różowe światło świtu. Kwiaty unosiły płatki ku niebu, witając nowy dzień.

Pragnęła utrwalić w pamięci tę scenę, zapamiętać wszystkie szczegóły tak, by wrócić z pięknym wspomnieniem do cywilizacji. Jednocześnie zaś bała się tego. Obawiała się, że ulotny jak mgiełka sen rozwieje się w kontakcie z rzeczywistością „normalnego” świata.

Westchnęła z bólem. Rozstawiła kuchenkę. Postanowiła, że poda mężczyźnie śniadanie, tak jak on to zrobił poprzedniego dnia. Zjedzą, spakują się i wrócą na szlak. A potem Gretchen się pożegna. I wszystko będzie skończone.

Nakładała właśnie jajecznicę na talerze, kiedy pojawił się na progu namiotu.

- Cześć, kobieto pierwotna - pozdrowił ją. Był ubrany w spodnie i wkładał koszulę. - Jakie mamy dziś menu?

Wesołość mężczyzny rozdrażniła ją.

- Zamierzałam podać ci śniadanie - stwierdziła cicho.

Przysiadł na trawie obok i zanim wziął swój talerz, pocałował ją w policzek.

- Wolę jeść na świeżym powietrzu. Ale dziękuję za dobre chęci.

Skinęła głową. Nie miała apetytu. Musiała się zmuszać do jedzenia. Zauważył to.

- Czy coś cię dręczy? - spytał.

Przygryzła wargę, westchnęła i uśmiechnęła się smutno.

- Dziś wyjeżdżam.

- Co?!

- Kończę wędrówkę. Muszę wracać do domu. Postawił talerz na kolanach i patrzył na nią tak zaskoczony, jak gdyby nigdy nie brał pod uwagę rozstania.

- Dzisiaj? - odezwał się wreszcie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Muszę wracać - powtórzyła, choć przecież nie miała obowiązku mu się tłumaczyć. - Dzisiaj niedziela. Jutro muszę być w pracy.

Zobaczyła w jego oczach chłód, tak jak po ich pierwszym pocałunku, kiedy spytał ją, kim jest. Wtedy go odrzuciła. Teraz też tak to wyglądało. Był rozczarowany, wręcz wściekły.

Czego oczekiwał? Czy miała dla niego zmienić swoje życie? Ryzykować utratę pracy w zamian za dodatkowy dzień czy dwa włóczęgi we dwoje? W New Haven czekały na nią obowiązki, dom, kariera zawodowa, rachunki do zapłacenia, umówione spotkania. On z pewnością o tym wiedział.

- Miłośniku natury... - szukała słów pocieszenia, choć nie potrafiła zrozumieć naglej zmiany w jego zachowaniu - przepraszam.

Zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

- Przepraszasz? Za co? Zadrżała.

- Przepraszam, że muszę jechać - odparła, zła na samą siebie, że tak się rozkleiła.

Wzrok mężczyzny nieco złagodniał. Odstawił kawę i wykrzywił wargi.

- Ja też przepraszam. Powinienem chyba podziękować za miłe wspomnienia.

Gretchen ogarnął gniew.

- Co, do diabła, masz na myśli?

- Dlaczego czekałaś do ostatniej chwili z wiadomością o wyjeździe?

- Ponieważ nie chciałam o tym myśleć wczoraj.

- Oczywiście, że nie - mruknął ironicznie. - Oczywiście, że wczoraj nie chciałaś o tym myśleć. Nie chciałaś sobie psuć zabawy, prawda?

- Jak... jak śmiesz? - zająknęła się, oburzona, że insynuuje coś podobnego. Energicznie odstawiła talerz i spojrzała dotknięta do żywego. - Słuchaj, mój panie, przede wszystkim nie prosiłam, żebyś do mnie dołączył.

- Rzeczywiście, nie ujęłaś tego w słowa - stwierdził cierpko. - Powiniennem zapewne sądzić, że to, co zaszło wczoraj między nami, było z twojej strony słodkim podziękowaniem za pożyczanie zapalniczki.

Chlusnęła mu w twarz kawą, niezbyt gorącą, więc okrzyk mężczyzny nie był spowodowany bólem, lecz raczej zaskoczeniem. Zerwała się na nogi, nie uszła trzech kroków, kiedy dopadł jej i chwycił za ramię. Szarpnięciem odwrócił ją ku sobie. Zazwyczaj pogodną twarz wykrzywiła złość.

- Dosyć tego, G.S. - syknął. - Dosyć!

- Jak mogłeś coś takiego powiedzieć? - zapytała z goryczą. - Nie wiesz o mnie absolutnie nic i...

- To był twój wybór - przypomniał.

- Puść mnie - rzuciła przez zaciśnięte zęby. Ucisk zelżał, lecz dłoń mężczyzny pozostała na jej ramieniu.

- Do diabła! Nie psujmy tego, kobieto pierwotna - szepnął niemal błagalnie. - Przeżyliśmy razem coś szczególnego. Nie psujmy tego.

Skinęła głową bez przekonania. Cofnął rękę. Było jednak za późno. Wszystko zepsuli. Prysła magia. Mężczyzna powiedział otwarcie, co o niej sądzi. Uważał ją za kobietę pustą, szukającą przygód, urozmaicenia samotnej wędrówki.

- Zajmij się garnkami, a ja zwinę namiot - zaproponował.

Znów skinęła głową. Ze zdenerwowania nie mogła wydobyć głosu. Pozbierała naczynia i nie oglądając się, zaniosiła je na brzeg jeziora.

Musi wyrzucić mężczyznę z pamięci. Jeśli go więcej nie zobaczy i nie będzie o nim myśleć, może nieznajomy przestanie istnieć nawet we wspomnieniach?

Ociągała się ze zmywaniem. On tymczasem złożył namiot i spakował jej plecak, łącznie ze śpiworem. Gretchen zamknęła oczy i wyobraziła sobie dwa ciała okryte śpiworem podczas długiej namiętnej nocy. Pospiesznie uniosła powieki. Zbierało jej się na płacz. Modliła się w duchu, aby łzy oczyściły ją ze wszelkich wspomnień.

Zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli przez las w stronę szlaku. Mężczyzna torował drogę. Bez trudu odnaleźli ścieżkę. Wciąż milcząc, podążyli na południe.

Gretchen usiłowała skupić myśli wokół powrotu do New Haven. Powinna dojść do najbliższego miasteczka, a stamtąd pojechać autobusem do Baxter, gdzie zostawiła samochód. Jeśli nie będzie kursował autobus, pojedzie autostopem. Wcale jej to nie przerażało. Podróż samochodem z kimś obcym nie mogła być bardziej ryzykowna niż wędrowka u boku nieznajomego.

Przypomniała sobie, co mówił o szukaniu łąki i wodospadu. Mógł zabłądzić, lecz warto było podjąć ryzyko...

Czy warto byłoby zabłądzić we dwoje? Nagle zrozumiała, jak lekkomyślną, głupiutką i szaloną się okazała. Wracała jednak na teren dobrze sobie znany.

Uważał ją za trzpiotkę pozbawioną poczucia moralności. Z jego punktu widzenia rzeczywiście tak to mogło wyglądać. Kimże jednak był on sam? Miłośnikiem natury i zabawy. Przyznała w duchu, że dobrze się bawili. Mimo wszystko czuła, że słowa „zabawa”, „zabawny” w ogóle do niej nie pasują. Nie kierowała się w życiu pragnieniem „zabawienia się”.

W ciemności nocy do głosu dochodzą tajemne pragnienia. Gretchen skłonna była się z tym pogodzić. Nie wiedziała jednak, jak zachować się rano, kiedy słońce rozproszy cienie chroniące kochanków. Czy każde z nich powinno iść w swoją stronę, ot

tak, bez mrugnięcia okiem? Tak twierdziła Ruth. Gretchen za całą sobą sprzeciwiała się takiej postawie.

Westchnęła ponuro. Koniec przygód z mężczyznami. To nie dla niej. Jack złamał jej serce, towarzysz wędrowki - poniżył. Zazdrościła kobietom w rodzaju Ruth, pozbawionym wstydu i poczucia winy, wykorzystujących każdą okazję, by osiągnąć rozkosz. Zgnębiona pomyślała, że w następnym wcieleniu postara się żyć inaczej.

Zatrzymali się przy drogowskazie. Gretchen musiała zejść ze szlaku i skierować się do pobliskiego miasteczka. Oboje rozumieli, że pora się pożegnać.

- No cóż - zaczęła Gretchen przez ściśnięte gardło.

- Jak zamierzasz wrócić? - przerwał jej.

W pierwszej chwili nie pojęła, o co mu chodzi. Dokąd wrócić?

- Do domu? - spytała ochryple.

Spojrzała prosto w błękitne oczy mężczyzny i ogarnął ją żal. Był taki przystojny, taki dobry, aż do końca...

- Masz samochód? - wypytywał. - Ktoś cię odwiezie?

- Zostawiam auto w Baxter. Jakoś tam dotrę. Pogłaskał ją po policzku.

- Nie powinniśmy się rano sprzeczać, kobieto pierwotna - stwierdził półgłosem. - Wściekłem się, że odchodzisz w chwili, gdy zaczęliśmy... - Głos mu się załamał. Westchnął. - W każdym razie, przepraszam.

- Ja też.

Przepraszała za to wszystko, o czym nie mogła mu powiedzieć. Za to, że pozwoliła mu się zbliżyć, że wzięła od mego marchewkę i za to, że ją ogrzał, ożywił, dał rozkosz. Nie znalazła słów, aby to wyrazić.

- Do widzenia...

- Powodzenia, G.S. - szepnął.

Musnął wargami jej czoło, odwrócił się i odszedł szlakiem na południe. Odszedł z jej życia.



## ROZDZIAŁ 5

Gretchen i Ruth siedziały naprzeciwko siebie przy stoliku w restauracji. Gretchen przypatrywała się badawczo przyjaciółce i zadawała sobie w duchu pytanie: jak ona to robi? Czarne loki tworzyły aureolę wokół twarzy o porcelanowej cerze i drobnych rysach. Była szczupła jak dziewczynka. Lubiła powtarzać, że jej ćwiczenia gimnastyczne ograniczają się do założenia niebotycznie wysokich obcasów. Uwielbiała buty na szpilkach i Gretchen podejrzewała, że noszenie takiego obuwia równa się wspinaczce na Mount Katahdin.

Ruth na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie wiotkiej i kruchej, lecz wbrew pozorom była silna i stanowcza. Nic jej nie wzruszało. Stanowiła przeciwieństwo Gretchen, której sprężysta, tryskająca zdrowiem sylwetka kryła wrażliwą, pełną kompleksów osobowość.

Przez prawie cały lunch Ruth opowiadała o upalnym weekendzie, spędzonym z jakimś Casanovą, a zakończonym gwałtownym zerwaniem, które opisała w drastycznych szczegółach.

- Uwierzyłybyś? - powiedziała z patosem. - Nazwał mnie tanią dziwką! Mnie! Wiceprezesa banku! Tania dziwka! Cóż, szkoda, bo był świetny w łóżku! - Wzruszyła ramionami. - Inaczej w ogóle bym go nawet nie wspomniała. No dobra. Było, minęło.

Gretchen przełknęła porcję szpinaku i westchnęła. Dlaczego nie potrafiła być taka beztroska jak jej przyjaciółka? Dlaczego nie umiała wzruszyć ramionami i stwierdzić pogodnie: Było, minęło? Dlaczego wciąż grzebała w przeszłości?

Upłynęły ponad trzy tygodnie od poranka, kiedy pożegnała nieznajomego na szlaku appalaskim. Trzy długie tygodnie, w czasie których wciąż błądziła myślami po lasach stanu Maine. Analizowała swoją reakcję na bliskość towarzysza wędrówki.

Cóż, jeden raz próbowała dorównać Ruth i poniosła sromotną klęskę. Seks bez miłości nie był w stylu Gretchen.

Znalazła wtedy autobus do Baxter. Zapakowała bagaż do samochodu, czekającego na parkingu i przebyła długą drogę do swego nie umeblowanego domu na wybrzeżu. Godzinę moczyła się w wannie. Ogoliła łydki, zmyła szamponem zapach mchu z włosów, wyszorowała starannie całe ciało, lecz nadal nie czuła się jak dawna, cywilizowana Gretchen Sprague. Jej skóra pamiętała dotyk dłoni tamtego mężczyzny, usta pamiętały smak jego warg.

Z zakłopotaniem musiała przyznać, że podobało jej się to, czego doświadczyła na łące. Ale żadne artykuły i wykłady o prawach kobiet i radosnym seksie bez zobowiązań nie mogły zagłuszyć jej niepokoju i wątpliwości.

- Jak ty to robisz? - odważyła się wreszcie zapytać przyjaciółkę.

- To znaczy co?

Zapytana sączyła przez słomkę mrożoną herbatę.

- Zrywasz znajomość bez żalu i skrupułów. Ruth zmierzyła wzrokiem przynębioną Gretchen.

- Powiedz lepiej otwarcie, że cały czas tęsknisz za Jackiem. Nie widziałas się z nim w weekend?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Weekend upłynął mi na szukaniu mebli. Ruth natychmiast okazała zainteresowanie.

- No i co dostałaś? Mogę przyjść zobaczyć?

- Nie ma o czym mówić. - Gretchen zgasiła entuzjazm przyjaciółki. - Kupiłam tylko biurko i kilka kwiatów doniczkowych do salonu.

- A dlaczego nie kupiłaś łóżka? Dalej koczujesz na materacu na podłodze?

Potakująco kiwnęła głową. Oglądała różne łóżka, lecz nie zdecydowała się na żadne. Podwójne wydawały jej się zbyt obszerne, pojedyncze zaś sprawiały wrażenie bardzo

pensjonarskich. Tak więc zakup łóżka, zważywszy na stan ducha Gretchen, musiał poczekać.

- Słuchaj, skoro nie zdołałaś wyrzucić Jacka z pamięci, chociaż wybrałaś się na wędrowkę po dżungli...

- Ależ to nie była dżungla - zaprotestowała Gretchen, śmiejąc się ze sformułowania użytego przez Ruth.

- Nieważne. Drzewa, krzaki, błoto, słowem: dżungla. Brud i robactwo budzą we mnie wstręt. Wracając do tematu, możesz spalić Jacka.

- Co?

- Napisz jego imię na kartce papieru i spal ją. Koniec. Do widzenia, stary, żegnaj na zawsze, amigo. Małe egzorcyzmy i facet z głowy.

Gretchen wydeła wargi. Śmieszna recepta mogła okazać się skuteczna, ale nie w przypadku, gdy imię pozostawało nieznane. A przecież to jego pragnęła wymazać z pamięci. Dobrze jednak, że Ruth odnosiła całą sprawę do Jacka. Gdyby opowiedziała jej o przygodzie w lesie, przyjaciółka klepnęłaby ją po ramieniu i złożyła gratulacje. Gretchen nie miała na to ochoty.

Zerknęła na zegarek i skrzywiła się. Popołudnie nie zapowiadało się przyjemnie.

- Lepiej poprośmy o rachunek - zaproponowała. - Za dziesięć minut mam umówione spotkanie, na które, szczerze mówiąc, nie czekam z niecierpliwością.

- Jakiś nudny projekt? - zgadywała Ruth.

- O, nie, bardzo interesujący. Nowe zakłady chemiczne. Inwestorzy znaleźli już miejsce pod budowę, lecz potrzebują dokładnego studium terenu i budynku, zanim złożą podanie o opinię Ministerstwa Ochrony Środowiska. Studium musi również zawierać wyniki badań wód gruntowych i projekt kanalizacji.

- Innymi słowy, chodzi o ścieki. - Ruth zmarszczyła nos. - Nie mam pojęcia, jak wytrzymujesz w tej pracy.

- Ależ ja nie biegam w gumiakach po błocie i nie badam ścieków osobiście - zachichotała Gretchen. Absurd! Babrać się w ściekach w eleganckiej sukience i białych sandałach! - Po prostu czytam mapy i podaję liczby komputerowi. Zresztą wiesz.

- Tak, tak, pani inżynier. - Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

- A dlaczego z niechęcią myślisz o spotkaniu, skoro to taki interesujący projekt?

Gretchen westchnęła.

- Zgadnij, kto jest architektem?

- Bentonit Martell? - Ruth wymieniła firmę Jacka. Kiedy przyjaciółka kiwnęła głową, najeżyła się. - Czyj to pomysł, aby właśnie ciebie kierować do tego zlecenia?

- Według Ralpa, Jack nalegał osobiście. Mój szef nie musi się orientować we wszystkich romansach, które przeżywam.

- Niewiele ich było - wtrąciła Ruth.

Gretchen nachmurzyła się.

- Powiedziałam, że wolę przekazać zlecenie innemu pracownikowi. Stwierdził, że to poważny projekt i powinnam się czuć zaszczycona okazanym zaufaniem. Zrobił się czerwony na twarzy, dyszał i wyglądał, jakby za chwilę miał paść trupem na miejscu. Ja nie ustępowałam. Wreszcie złamał się i zdradził, że Jack nalegał na mój udział w pracach. Ponieważ nasza firma regularnie współpracuje z Bentonem i Martellem, Ralph oddelegował mnie do stałej obsługi tych klientów.

- Tak się wyraził? - Oburzona Ruth uniosła brwi. -Do stałej obsługi?

- Dosłownie.

- Taką bestię trzeba by rozstrzelać! Pozwól, ja zapłacę. - Zabrała Gretchen rachunek i podała kelnerce kartę kredytową. - Po każdym zerwaniu z mężczyzną polepszam sobie nastrój wydawaniem pieniędzy. A skoro Raoul przeszedł do historii...

- Kto?

Ruth spojrzała na przyjaciółkę.

- Raoul. Gdzie byłaś przez ostatnią godzinę, Gretchen? Jeśli ja wysłuchuję twoich smutnych opowieści, to ty też wysłuchaj moich zwierzeń.

- Ależ słuchałam. Nazwał cię tanią dziwką. Ułagodzona Ruth zapytała:

- Może spotkamy się któregoś wieczora w tym tygodniu? Mam teraz dużo czasu.

- Nie zamierzam wysiadywać w barze - oświadczyła Gretchen.

- Oczywiście. Po co podrywać kogoś w barze, skoro nie masz w domu nawet łóżka i nie możesz nikogo przyprowadzić. Poszłybyśmy razem kupić jakieś meble, co? Dosyć miałaś jedzenia na trawie przez tydzień spędzony w dżungli w Maine.

- To nie dżungla - sprostowała Gretchen bez przekonania.

Wolała, aby przyjaciółka nie przypominała jej leśnej wędrowni. Gdyby napisała imię nieznanego na kartce i spaliła...

Przed restauracją pożegnały się. Ruth wróciła do banku. Gretchen, ociągając się, powędrowała do biurowca, stojącego na skraju parku. Podczas jazdy windą próbowała przygotować się duchowo na spotkanie z Jackiem.

Czekał w pokoju recepcyjnym. Na jej widok poderwał się. Nie widziała go od dnia wyprowadzki z jego domu, a kiedy kilkakrotnie zadzwonił do niej do pracy, nie odebrała telefonu. Teraz musiała stanąć z nim oko w oko.

Zmierzyła wzrokiem smukłego mężczyznę w brązowym garniturze, o przyprószonych siwizną skroniach i ciemnych oczach. Podszedł, uśmiechając się szeroko. W kącikach ust pojawiły się głębokie bruzdy.

- Gretchen! Nareszcie! Spóźniłaś się. Zerknęła na zegar ścienny, wiszący nad biurkiem recepcjonistki, i wzruszyła ramionami.

- Pięć minut - mruknęła. - Zabij mnie. Wkroczyła od razu do korytarza, prowadzącego do jej gabinetu. Jack chwycił neseser i

nie czekając na zaproszenie, podążył za nią. Zamknął drzwi gabinetu. Gretchen usiadła za biurkiem. Schowała torebkę do jednej z szuflad. Opanowana, skupiona spojrzała na Jacka.

Oczekiwała wstrząsu, powrotu bólu, poczucia żalu i urazy. Ale patrząc na znajomą twarz o oliwkowej cerze, krzaczastych brwiach i ostro zarysowanym podbródku, nie czuła niczego. Kiedyś marzyła, aby co rano przez resztę życia budzić się u boku tego mężczyzny, teraz jednak pomyślała, że Jack wypada mdło i blade w porównaniu z towarzyszem jej wędrówki.

Owszem, był przystojny, może nawet przystojniejszy niż tamten, brakowało mu jednak siły witalnej i radości życia. Cóż, w niczym nie przypominał leśnego kochanka i nic na to nie mogła poradzić.

- Czy można usiąść? - spytał.

Z wymuszoną uprzejmością skinęła głową. Jack zajął miejsce na wyściełanym krześle naprzeciwko i rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Zauważył regały na dokumenty, komputer, fotografie zrobione przez brata Gretchen.

- Dobrze wyglądasz, Gretch.

- A czuję się jeszcze lepiej - odparła. - Pomówmy o interesach, zgoda?

Jej zaczepny ton chyba go rozbawił.

- Z tym nam szybko pójdzie - zażartował. - Odpręż się, kochanie. Przyszedłem jako przyjaciel,

- To bardzo źle! - wybuchnęła. - Sądziłam, że przyszedłeś jako partner w interesach. Skoro nie chcesz rozmawiać o projekcie, opuść mój gabinet. Tam są drzwi.

- Daj spokój. Nie możesz udawać, że minione dwa lata nie istniały.

- Nie. - Westchnęła demonstracyjnie. - Choćbym próbowała, nie mogę udawać, że nie istniały. Porozmawiamy o interesach czy zamierzasz gawędzić o bzdurach? Bo jeśli tak...

- W porządku. - Otworzył skórzany neseser i wyjął plik dokumentów. - Oto mapy, raport geologa, kopie planów i reszta.

Gretchen przekartkowała papiery.

- Czy masz informacje na temat zakresu badań, które będą prowadzone w laboratorium? Jakie straszliwe substancje będą odprowadzane do ścieków?

- Inwestor jest bardzo czuły na tym punkcie i wolałby zachować dyskrecję - oznajmił Jack. - Boi się, że ktoś ukradnie patenty. Przysięgam na Biblię, że żadne substancje toksyczne nie przedostaną się do kanalizacji.

- Oczywiście - parsknęła sceptycznie. - Cóż, przekopię się przez ten stos papierzyśk i poproszę cię o ponowne spotkanie.

- Myślę, że powinnaś sprawdzić na miejscu, jak się rzeczy mają. Droga dojazdowa wygląda lepiej na mapie niż w rzeczywistości. Jeśli będziemy musieli ją poszerzyć, przyda się porada, które drzewa trzeba wyciąć.

- Mam nadzieję, że żadnego - mruknęła pod nosem. - W porządku. Sprawdzę na miejscu.

- Jutro?

- Po co ten pośpiech?

Jack błysnął zębami w uśmiechu.

- Chcę, żebyś obejrzała teren, to wszystko. I to należy do twoich obowiązków, złotko.

Podniosła wzrok.

- Nie pouczaj mnie, co należy do moich obowiązków. Będiesz tam jutro?

- Oczywiście. Chcę z tobą porozmawiać. Jaki sens miałyby twoja samotna wizyta? A może chcesz nagrać swoje wrażenia na kasecie i przesłać mi ją pocztą?

Właściwie to rozwiązanie odpowiadałoby jej najbardziej, lecz nie dała się ponieść nerwom. Zerknęła do terminarza.

- Mogę się tam wybrać najwcześniej w piątek. Nie rzucę nagle wszystkich spraw, by zająć się twoim zleceniem.

- Piątek. - Wyjął z nesesera oprawny w skórę kalendarz. Zmarszczył brwi. - Piątek mi nie odpowiada.

Gretchen z trudem wstrzymała uśmiech. Siedziała o metr od mężczyzny, z którym mieszkała przez rok, a teraz nie potrafiła uzgodnić terminu spotkania. Jack wydawał się bardziej zakłopotany sytuacją.

- Może czwartek - zasugerował z nadzieją. - Myślałem, że najpierw zjemy razem obiad.

- Wykluczone - ucięła. - Czwartek odpada. Obejrzę teren bez ciebie, w piątek.

Zatrzasnęła terminarz i rzuciła Jackowi chmurne spojrzenie. Nie ulegało wątpliwości, że uważa rozmowę za zakończoną.

- Powiedz mi, Gretchen, jak się udał wyjazd?

- Nie powinno cię to już obchodzić.

- Ralph mówił, że wyjechałaś na tydzień. Dokąd?

- Wędrowałam z plecakiem.

Dodała w duchu: Ty nigdy nie zdobyłbyś się na coś takiego.

- Z plecakiem? - zainteresował się. - Pomogło ci to?

- Pomogło? - fuknęła. - Nie udawaj zainteresowania, Jack. Zerwaliśmy ze sobą. Znaczy to, że nie powinno cię interesować, gdzie spędzałam urlop. To moja prywatna sprawa.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekła - odezwał się prawie przeproszającym tonem. - Nigdy nie powiedziałem, że chcę przeciąć wszystkie łączące nas więzi. Brakuje mi ciebie, kochanie, i chcę nadal cię widywać.

- Na dyktowanych przez siebie warunkach - zauważyła cierpko. - Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem zmarszczył brwi i przycisnął dłonie do biurka Gretchen.

- Nie rozumiem, dlaczego tak wbiłaś sobie do głowy małżeństwo. Spójrz na to oczami kogoś już raz żonatego, złotko. Nie jest to wcale aż tak interesująca propozycja.

- Uwierz mi, teraz nie jestem w ogóle zainteresowana małżeństwem - zapewniła, wspominając mężczyznę spotkanego na szlaku i oczarowanie tym, co ich połączyło. O, nie, po



ostatnich doświadczeniach z pewnością nie myślała o małżeństwie.

Jack uśmiechnął się w zadumie. Potrącił jakąś czułą strunę w duszy Gretchen.

- Nawet kiedy byliśmy razem, nie nastawiałam się wyłącznie na małżeństwo - oznajmiła cicho. - Po prostu, kiedy się angażuję w jakiś związek, traktuję to bardzo poważnie. Mieszkaliśmy razem przez rok. Napawa mnie lękiem myśl, że żyłam z kimś, kogo prawie nie znałam.

- Znałaś mnie - zaprotestował. - Wiedziałaś, że byłem przerażony ohydną walką o rozwód.

- Wiedziałam też, że poprosiłeś, abym z tobą zamieszkała. A to znaczy, że rezygnowaliśmy z randek z innymi ludźmi.

- Kiedy ze mną mieszkałaś, nigdy nie umówiłem się z inną kobietą.

- Nie, ale chciałeś, prawda? Kiedy ze mną zerwałeś...

- Nie zerwałem - upierał się. - Powiedziałem, że nadal chcę się z tobą widywać.

- I równocześnie z innymi kobietami, tak? - Westchnęła. - Jack, zamknijmy wreszcie tę sprawę. Nie chcę wciąż się w tym babrać. To już historia, jak mawia Ruth. Było, minęło.

- Nigdy nie uciekałaś się do banałów - odparł z wyrzutem w głosie. - No dobrze, Gretch.

- Nie nazywaj mnie Gretch. Tylko przyjaciele tak mnie nazywają, a ty się do nich już nie zaliczasz.

Zmarszczył brwi i pochylił się nad biurkiem, jakby chciał wyrzucić na nią nacisk.

- Słuchaj! Wiem, że cię zraniłem - stwierdził żarliwie. - Nie miałem takiego zamiaru, ale stało się. Czy pozwolisz to sobie wynagrodzić? Przeżyliśmy i dobre chwile. Czy możemy nadal się widywać co jakiś czas?

- W wolnych chwilach, kiedy nie spotykasz się z tuzinem innych kobiet? Nie jestem zainteresowana - stwierdziła stanowczo.

- Kochałaś mnie, Gretchen.

Wbiła wzrok w wypolerowane, wypielęgnowane paznokcie Jacka. Tak, kochała go... Kiedyś... Przedtem... Zanim przekonała się, czym może być miłość na ukwieconej łące. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jack, proszę. Wszystko skończone. Może cię kochałam, ale już nie Kocham.

- Dlaczego? Dlaczego nie możemy pozostać przyjaciółmi?

- Bo nie. Bo czuję się jak idiotka i mam tego dość. Nie jestem już słodką naiwną dziewczynką. - Przerwała, aby opanować zdenerwowanie. - Wiesz, co dzieje się z człowiekiem, który wyrusza na szlak?

Wydawał się zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- A co się właściwie dzieje?

- Najpierw robią się pęcherze na stopach i bołą jak sto diabłów. Potem tworzą się strupy, które już nie bołą. To po prostu martwy naskórek. Nasza znajomość jest dziś w tym stadium.

Wstała zza biurka i pokazała Jackowi drzwi.

Podniósł się z wahaniem. Wtem rozległo się ciche pukanie i Liz, recepcjonistka, wsunęła głowę do gabinetu.

- Gretchen?

- Jack właśnie wychodzi.

Ruchem dłoni Gretchen zaprosiła ją do wejścia. Liz wkroczyła z bukietem rumianków w glinianym, wypalonym wazonie.

- Przed chwilą dostarczono to dla ciebie.

Gretchen zamarła. Nagle znów znalazła się w jeziorze przy wodospadzie jako królowa lasu ukoronowana wiankiem z rumianków. Niczym w transie wzięła wazon z rąk recepcjonistki i zanurzyła twarz w pachnącym kwieciu. Ogarnął ją niepokój.

- Kto to przyniósł?

Liz wzruszyła ramionami.

- Jakiś chłopak z kwiaciarni. Do wazonu jest dołączony liścik.

Wskazała białą kopertę, przymocowaną wstążką do naczynia. Drżącymi dłońmi Gretchen wyjęła prostokątny kartonik i przeczytała: „Słońce, ześlij swoją łaskę... Zadzwoń do mnie, kobieto pierwotna”. Tu nastąpił nowojorski numer telefonu.

Wstrzymała oddech. Jak on ją znalazł? Po co?

- Szybko działasz, słodka dziewczynko. - Ironiczny głos Jacka wyrwał ją z rozmyślań. - Ktoś powinien poinformować tego faceta, że róże działają na kobiety skuteczniej niż chwasty.

- Nienawidzę róż. - Gwałtownie zwróciła się do recepcjonistki. - Liz, odprowadź pana Martella do wyjścia.

Dziewczyna posłusznie otworzyła drzwi. Z żalem obejrzał się na Gretchen i kwiaty.

- No cóż, będę z tobą w kontakcie, dobrze? - spytał.

- W sprawie projektu zakładów chemicznych - podkreśliła chłodnym tonem.

Jack wzruszył ramionami.

- Jeśli tego chcesz, Gretch.

Zamknęła drzwi. Nareszcie sama. Spojrzała na bukiet i zadrżała. Liścik ofiarodawcy zawierał cytaty z wierszyka, napisanego na szlaku appalaskim. Czyżby zapamiętał te głupie strofki? Gdyby nie wpisywała wierszyków do dzienników w wiatach turystycznych, nie byłby taki chętny do poznania jej. Wymieniliby zdawkowe uwagi o pogodzie i poszedłby w swoją stronę. Nie śledziłby jej i nie narzucał swego towarzystwa. Nie zgubiłaby zapalek i nie potrzebowałaby jego zapalniczki...

Westchnęła ciężko, opadła na krzesło i oparła brodę na splecionych dłoniach. Rozpalił w niej żar namiętności, a teraz przysłał kwiaty, najwyraźniej chciał dalej prowadzić grę, rozpoczętą w leśnej głuszy.

Jak ją znalazł? Przecież nie zdradziła nawet imienia, nie mówiąc o uprawianym zawodzie czy innych szczegółach z życia osobistego.

Z niechęcią spojrzała na wypielegnowane dłonie. Przeniosła wzrok na piękne rumianki w wazonie. Na litość boską,

usiłowała zapomnieć! Naprawdę. Jednak bezskutecznie. Wspomnienia zadrezczały ją. Chciała wymazać je z pamięci. Bukiet przysłany przez nieznanego wszystko zepsuł. Do tego prosba o telefon... Kim on jest?

Po raz ostatni przeczytała liścik i cisnęła go do kosza na śmieci. Jednak jakby wbrew samej sobie jej ręce powędrowały w stronę kosza i wyjęły kartonik.

Na dobrą sprawę nie potrafiła wymazać z pamięci towarzysza włóczęgi ani wspólnych przeżyć. Chociaż w końcu posprzeczała się, dlaczego nie miałaby do niego zadzwonić?

- O, nie! - stwierdziła na głos. - Absolutnie nie!

Wsunęła liścik pod przycisk do papieru. Nie mogła zatelefonować. Oczywiście, że nie. Czuła wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało. Czegokolwiek od niej pragnął, nie zamierzała mu tego dać, I tak ofiarowała mu już zbyt wiele.

A może nie? Przez trzy tygodnie próbowała stać się dawną Gretchen Sprague, nie uznającą seksu bez miłości. Chciała być znowu sobą. Zdecydowała spalić kartkę z numerem telefonu. Przeszukała nerwowo szuflady biurka. Znalazła puste pudełko po zapalniczkach. No tak. Znowu nie miała zapalniczek w chwili, gdy ich potrzebowała. Co za ironia losu.

Postawiła kwiaty na blacie obok komputera, aby nie musiały na nie wciąż spoglądać. Usiadła za biurkiem i postanowiła zająć się dokumentami, dostarczonymi przez Jacka. Zgodnie z raportem geologa, laboratorium chemiczne nie stanowiło zagrożenia dla okolicznych wód. A co z wyciekami? Czy system filtrów kominowych był w stanie ochronić atmosferę przed skażeniem?

Przeglądając papiery, bawiła się piórem. Jak zwykle, projekt architektoniczny autorstwa Jacka sprawiał wrażenie. Pomyślała o tym z niechęcią. Mężczyźni... Same kłopoty.

O piątej wyszła z biura z nadzieją, że w domu uwolni się od nękających ją myśli. Zaparkowała na podjeździe. Wkroczyła do zalanego słońcem salonu. Na razie leżało tam kilka haftowanych

poduszek. Stały też dwie lampy, aparat telefoniczny i donice z kwiatami. W pustawej sypialni znajdował się materac, nowe dębowe biurko i kilka kartonowych pudeł pod ścianą. Przebrała się w bluzę, szorty, skarpetki i tenisówki. Zaplotła warkocz i ruszyła na plażę.

Bięgnąc nadmorskim chodnikiem, wdychała słone morskie powietrze, lecz czuła znów zapach ukwieconej łąki nad jeziorkiem, tuż przy wodospadzie... Skoro towarzysz wędrówki znalazł ją tutaj, w biurze, w New Haven, czy mogła w ogóle przed nim uciec? Od Jacka uciekła w leśną głąszę. Czy teraz powinna udać się na jakąś wulkaniczną wysepkę na Pacyfiku?

A przecież nie przed tamtym mężczyzną chciała uciekać. Chciała uciec przed samą sobą i swoimi kompleksami. Jej rodzice wyznawali surowe zasady moralne i starali się wpoić córce staroświeckie wartości. Jak każda młoda dziewczyna, trochę się przeciwko temu buntowała, lecz wiele z tych zasad bezwiednie przejęła.

Unikała powierzchownych kontaktów. Ale nawet w stabilnym, jak się zdawało, związku z Jackiem została zraniona. Sądziła, że oboje będą wobec siebie lojalni. Jasnowłosy król lasu, przysyłający bukiet rumianków, nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Nie mogła tego oczekiwać, byli przecież sobie obcy. A jednak bez wahania, lekkomyślnie nawiązała z nim romans.

Ślepo zaufała mężczyźnie, bo chciała chociaż raz poczuć się wolna. On skorzystał z okazji. Teraz prosił o więcej. Jak ją znalazł?

Spróbowała wyobrazić go sobie w scenerii Nowego Jorku. Nigdy nie przypuszczałyby, że jej towarzysz wędrówki tam właśnie mieszka. On, miłośnik natury, w betonowej dżungli Manhattanu... Nie powinna do niego dzwonić. Już i tak zburzył jej spokój i utrudnił powrót do „dawnej” Gretchen.

Następnego ranka po przyjsciu do biura chwyciła liścik od nieznanego i cisnęła do kosza na śmieci. To samo zamierzała

zrobić z kwiatami, lecz zawahała się. Jakżeby mogła uśmiercić takie piękne, niewinne rumianki? Niewinne? Ich magia sprawiła, że oddała się leśnemu królowi.

Z gorzkim westchnieniem wrzuciła je do kosza.

Kiedy w piątek wkroczyła do swojego gabinetu, kartonik z numerem telefonu leżał na podłodze pod biurkiem. Podniosła go. Kosz na śmieci był pusty. Kwiaty zniknęły, a więc prawdopodobnie liścik wysunął się na podłogę podczas opróżniania kosza przez sprzątaczkę.

Zajrzała do sąsiedniego pokoju, zajmowanego przez jej koleżkę, Craiga. Był palaczem, więc powinien mieć zapalki.

Pulchny mężczyzna w średnim wieku podniósł wzrok znad biurka i uśmiechnął się.

- O co chodzi, Gretch?

- Czy mógłbyś mi pożyczyć zapalki i popielniczkę? Craig roześmiał się rubasznie.

- Taka zdrowa dziewczyna chce się zatruwać nikotynowym świństwem? Chyba nie zaczęłaś palić?

- Nie. Chcę tylko dokonać rytualnego samospalenia w moim gabinecie.

- W takim razie popielniczka ci nie wystarczy.

- To będzie tylko symboliczne wypędzenie złych duchów.

- Aha. Nie mam zapalek. Weź to. Wyjął z kieszeni zapalniczkę.

- Wystarczy - zapewniła. - Współcześni czarownicy używają zapalniczek.

W gabinecie Gretchen położyła liścik na popielniczce i podpaliła jeden z rogów. Biały prostokąt szerniał i spopiełał.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedziała głośno bez specjalnego żalu.

Załatwiwszy raz na zawsze ten problem, Gretchen skupiła się na planowanej wizycie na placu budowy. Jack uprzedził ją telefonicznie, że na miejscu będzie czekał przedstawiciel

inwestora. Jedząc drugie śniadanie, jeszcze raz przejrzała dokumenty. Chciała być przygotowana na każde pytanie.

O drugiej trzydzieści wyszła z biura i pojechała samochodem na przedmieścia. Na wyznaczony teren prowadziła jednopasmowa wyboista droga. Wymagała poszerzenia i utwardzenia nawierzchni, aby umożliwić dojazd robotników i ciężkiego sprzętu na budowę.

Wzdłuż drogi rosły stare drzewa o rozłożystych koronach i bujnym listowiu. Szkoda byłoby je wycinać. Gretchen pisała pracę magisterską z urbanistyki. Uważała, że gdyby planiści wykazali więcej dobrej woli, miasta mogłyby się rozwijać z mniejszym uszczerbkiem dla pięknej, dzikiej przyrody.

Przedstawiciel inwestora już czekał. Wyciągnęła rękę na powitanie.

- Pan Conklin? Jestem Gretchen Sprague z firmy Urban Designs.

- Proszę mi mówić Jim. Jack dużo mi o pani opowiadał.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy - odparła z wymuszoną uprzejmością. Woląla nie rozwijać tego tematu i od razu przejść do konkretów. - Będą problemy z drogą. Muszę sprawdzić, czy nie dałoby się wytyczyć nowej drogi dojazdowej.

- To by znacznie podniosło koszty, prawda? - spytał nerwowo Jim.

- Niekoniecznie. Wycinanie starych drzew wcale nie jest tańsze - oświadczyła.

- Moglibyśmy sprzedać drewno do tartaku. Moi ludzie już się rozglądają za kupcem.

- Przedstawię państwu kosztorys - obiecała Gretchen.

- Świetnie. W poniedziałek?

- W poniedziałek? - Nie kryła zdumienia. - Przecież jest piątek po południu!

Jim Conklin również wyglądał na zaskoczonego.

- Jack nie wspominał pani, że potrzebujemy raportu natychmiast? Do końca miesiąca chcemy zdobyć niezbędne

zezwolenia. Martell zapewnił mnie, że nie przewiduje problemów i że w czasie weekendu będziecie razem nad tym pracować.

Gretchen z trudem opanowała wściekłość. Co za przewrotny typ z tego Jacka! Myślał, że przerażona krótkim terminem, zadzwoni do niego po pomoc! O, niedoczekanie!

- Niestety, Jack nic mi o tym nie mówił. Sama popracuję nad raportem. Jeśli nam się poszczęści i w poniedziałek znaję maszynistkę, przepisany raport otrzymacie we wtorek rano.

- We wtorek. - Jim nie wydawał się zachwycony, lecz nie miał wyboru. - Skoro tak pani zdecydowała.

- Niestety, gdyby Jack mnie uprzedził, inaczej rozplanowałabym zajęcia.

Conklin kiwnął głową i odprowadził Gretchen do samochodu.

- Proszę zostawić raport Jackowi. Umówiłem się z nim na obiad we wtorek.

- Zgoda.

Już w samochodzie Gretchen poczuła się bardzo zmęczona. Ten tydzień ją wyczerpał. Utarczki z Jackiem, kwiaty od towarzysza wędrówki... A do tego cały ten pośpiech związany z zaopiniowaniem projektu. Inwestor, który chce wyciąć stare drzewa! Coś takiego mogli wymyślić tylko ludzie bez wyobraźni.

W ostatniej chwili zahamowała na czerwonym świetle. Zaczynała się godzina szczytu i musiała o tym pamiętać.

Postanowiła nie wracać już do biura i potrzebną dokumentację zabrać nazajutrz. Westchnęła i skręciła w stronę domu.

Zauważyła błyszczący zielony samochód zaparkowany na podjeździe. Zmarszczyła brwi. Przed drzwiami stał wysoki, barczysty mężczyzna w świetnie skrojonym jasnym garniturze. Opalona, gładko wygolona twarz kontrastowała z jasnymi włosami. Jasnoblękitne oczy przypominały dwa skrawki nieba...



## ROZDZIAŁ 6

- Cześć, G.S. - odezwał się półgłosem, kiedy podszedł do jej samochodu. - Chyba nie masz zamiaru zostać w wozie?

Gretchen poczuła skurcz żołądka. Nie śmiała podnieść oczu. Jak ją znalazł? Zarumieniła się i wysiadła ze wzrokiem wbitym w asfalt.

Machinalnie przekręciła klucz w zamku i nagle zdała sobie sprawę, że nie może wpuścić nieproszonego gościa do domu. Zebrała się na odwagę i spojrzała na niego.

Była zaskoczona zmianą w jego wyglądzie: przystrzyżone, starannie przyczesane włosy, gładkie policzki, elegancki, szyty na miarę garnitur. Od czasu wędrówki szlakiem appalaskim często myślała o tych szerokich, silnych ramionach, zgrabnej sylwetce, dźwięcznym głosie i błękitnych oczach.

- Czego chcesz? - szepnęła ze ściśniętym gardłem.

- A jak sądzisz?

- Posłuchaj, miłośniku natury...

- Jestem Cliff - przedstawił się i wyciągnął rękę. - Cliff Powell.

Gretchen milczała. Nigdy właściwie nie zastanawiała się nad imieniem i nazwiskiem nieznanego. Cliff Powell...

Kiedy nie podała mu ręki, podniósł dłoń i pogłaskał Gretchen po policzku.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz - stwierdził cicho.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy. - Jego dotyk palił jak ogień. - Jak mnie znalazłeś?

- Mogę wejść?

- Nie - odparła pośpiesznie.

Popatrzył jej prosto w oczy. Ogarnęły ją wspomnienia. Żartobliwe rozmówki na temat chrapania, ukąszenie komara, troskliwa opieka, wzajemne zauroczenie i chwile rozkoszy...

Nagle w ścianę tuż koło jej głowy uderzyła piłka. Jakiś chłopiec chwycił ją w locie i przeprosiwszy, pobiegł do kolegów.

- Sama widzisz, że niebezpiecznie jest stać pod drzwiami - zażartował Cliff.

Po krótkim wahaniu Gretchen wpuściła Cliffa Powella do domu. Przeszli przez korytarz do salonu. Rozejrzył się po prawie pustym pokoju.

- Masz niezłego dekoratora wewnątrz - skwitował ironicznie.

- Słuchaj, mój panie, kimkolwiek jesteś - burknęła, ignorując kaśliwą uwagę - chcę teraz trochę pobiegać.

- Przecież dopiero wróciłaś do domu.

- Zawsze biegam o tej porze.

- Biegasz.. Dla zdrowia?

- Zgadza się. - Miała zimne palce i spocone dłonie. Potarła nimi nerwowo o skórzaną torebkę i odwróciła wzrok.

- Chciałabym, żebyś wyszedł - szepnęła.

Zapadła cisza.

- Zrób sobie dzisiaj wolne, G.S. - powiedział wreszcie Cliff. - Możesz pobiegać jutro. Ja się stąd nie ruszę.

Westchnęła. Zdjęła buty, podeszła do okna i uchyliła je. Lekka bryza, wiejąca od morza, napełniła pokój świeżym zapachem. Gretchen stanęła plecami do gościa.

- Jak mnie znalazłeś?

Cliff badał ziemię w doniczce.

- Tę roślinę trzeba podlać - obwieścił. Odwróciła się gwałtownie z gniewnym wyrazem twarzy.

- Przestań grać ze mną w kotka i myszkę, miłośniku natury.

- Mam na imię Cliff - przypomniał i zmarszczył brwi. - Wcale nie zamierzam żartować.

- Po co tu przyjechałeś? Westchnął.

- Och, Gretchen, sądziłem... sądziłem, że się ucieszysz na mój widok.

Wypowiedział jej imię!

- Ucieszę? Gdybym chciała cię zobaczyć, zadzwoniłabym. Podałeś przecież numer telefonu, ale nie skorzystałam. Czy to ci nie dało do myślenia?

Zacisnął usta i obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- I tak wybierałem się w te strony - wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiający. - Postanowiłem wstąpić do ciebie.

- Bez zaproszenia i bez zapowiedzenia. Jak mnie znalazłeś?

- Miałeś prawo jazdy w portfelu.

- W portfelu? - Ogarnęła ją panika. - Grzebałeś w moim portfelu?

- Tego ranka, kiedy powiedziałaś, że wyjeżdżasz. Pakowałaś naczynia, a ja składałem namiot. Znalazłem portfel w plecaku.

Zdumienie odebrało jej mowę. Przeszukał jej plecak! Dobry Boże, mógł ją obrabować. W ogóle go nie znała, a obdarzyła bezgranicznym zaufaniem.

- W prawie jazdy był nieaktualny adres - ciągnął Cliff. - Jakiś facet powiedział, że mieszkałaś z nim, ale ostatnio się wyprowadziłaś.

Gretchen spaşowiała. W oczach Cliffa Powella nie mogła, niestety, uchodzić za nieśmiałą, niedoświadczoną dziewczynę. Bo cóż on o niej wiedział? To, mianowicie, że nie miała nic przeciwko miłości z nim i że mieszkała z jakimś mężczyzną.

W świetle tych faktów mogła uchodzić za osobę swobodnych obyczajów, szukającą łatwych przygód. Zamknęła oczy i skrzywiła się.

- Skąd wiedziałeś, gdzie pracuję? - Pytanie ledwo przeszło jej przez gardło.

- Powiedział mi ten facet. - W zamyśleniu odgarnął włosy z czoła. - Muszę przyznać, że się wahałem, czy powinienem cię szukać, skoro byłaś związana z innym mężczyzną. Ale kiedy się dowiedziałem, że już z nim nie mieszkasz. - Wzruszył ramionami.

- A... jak znalazłeś mój dom? Jack nie wie, gdzie teraz mieszkam.

- Jack? Nie, rzeczywiście nie wiedział. Po południu wpadłem do twojego biura i dostałem adres od recepcjonistki.

- Liz nigdy nie zdradziłaby komuś nieznanemu mojego prywatnego adresu.

- Podałem się za twojego brata.

- Brata?!

Znów wzruszył ramionami.

- Powiedziałaś, że mieszka w Kalifornii, wyciągnąłem więc wniosek, że twoi współpracownicy raczej go nie widzieli. Zapamiętałem imię, Steve, prawda? Zmyśliłem historyjkę, że chcę ci zrobić niespodziankę

- Liz w to uwierzyła?

- Stwierdziła, że nie jesteśmy do siebie podobni. - Cliff uśmiechnął się lekko.

- Cudownie. Tak więc znalazłeś mnie. A teraz bądź tak uprzejmy i postaraj się znów mnie zgubić.

- Gretchen... - zrobił krok naprzód, lecz cofnęła się natychmiast - chyba mi się nie śniło, że parę tygodni temu przeżyliśmy wspólnie wspaniałe chwile?

- Chwile! - wybuchnęła. - Umiesz liczyć. A teraz zabawa skończona, Sherlocku Holmesie. Będę wdzięczna, jeśli wyjdiesz. - Ruszyła do sypialni. Zastąpił jej drogę i chwycił za rękę. - Puść mnie - szepnęła, mocno przestraszona.

Cliff nie pozwolił jej odejść.

- Gretchen, nie mogę w to uwierzyć. Nic nie rozumiem. Co tu się, do diabła, dzieje?

Zanim zdążyła odpowiedzieć pytaniem na pytanie, zadzwonił telefon. Mężczyzna odruchowo puścił jej rękę. Uklękła na podłodze obok aparatu i podniosła słuchawkę, zastanawiając się gorączkowo, czy powinna wzywać pomocy.

- Słucham?

- Gretch? Tu Ruth - rozległ się radosny sopran przyjaciółki. - Jak się udało zwiedzanie ścieków?

- Wiesz, nie mogę teraz rozmawiać - zająknęła się, wściekła na samą siebie, że nie potrafi skorzystać z okazji. - Po prostu coś mi wypadło.

- Cóż, trudno, ale pewnie uporasz się z tym do wieczora? - szczebiotała nie zrażona Ruth. - Idę do klubu „Toad's Place” i myślałam, że się przyłączysz. Wypijemy parę drinków, posłuchamy odjazdowej muzyki, popatrzymy zalotnie na młodzieńców w obcisłych dżinsach...

- Brzmi to zachęcająco - mruknęła Gretchen ironicznie.

- Może być fajnie.

Cliff stanął jej za plecami. Kątem oka spostrzegła beżowe spodnie, poluzowany krawat. Odwróciła głowę i napotkała jego wzrok.

- Nie mogę - wymknęło jej się bezwiednie.

- To interesujące - stwierdziła Ruth żartobliwie.

- Ale przecież nie możesz rozmawiać. Pójdziemy jutro razem kupić zasłony?

- Nie mogę. Mam pilną pracę. Na poniedziałek muszę przygotować ten głupi raport dla Jacka.

- Na poniedziałek? A to dowcipniś!

- I tak nie dostanie go przed wtorkiem - zapewniła Gretchen.

- Ale jutrzejszy dzień spędzę przed komputerem.

- Masz więc ostatnią szansę: poszaleć w niedzielę po południu.

- A co ciekawego się szykuje?

- Jeff Witherspoon z żoną urządzają przyjęcie w ogrodzie. Jeff mówił, żebym kogoś przyprowadziła, a ja natychmiast pomyślałam o tobie, szczęściaro.

- Może dzisiaj poznasz jakiegoś młodzieńca w obcisłych dżinsach?

- Ludzie, którzy przychodzą do „Toad's Place”, absolutnie nie pasują do Witherspoonów. No i co, przyjaciółko? Nie obawiaj się, nikt cię tam nie będzie podrywał. Biorę na siebie wszystkich obecnych na przyjęciu facetów.

- W porządku - odparła Gretchen z ulgą. - W niedzielę po południu.

- Wspaniale - ożywiła się Ruth. - Przyjęcie zaczyna się o drugiej, ale w dobrym tonie jest się spóźnić, więc wpadnę po ciebie około drugiej trzydzieści. Do zobaczenia!

- Życzę powodzenia w dzisiejszych podbojach

- powiedziała Gretchen na pożegnanie.

Odłożyła słuchawkę i pokręciła głową. Dlaczego pozwoliła, aby przeszła jej koło nosa szansa pozbycia się Cliffa Powella?

Podał jej rękę. Podniosła się z klęczek. Cliff dalej trzymał szczupłą kobiecą dłoń i oglądał ją badawczo.

- Wypolerowane paznokcie - zauważył cicho.

- Spięte włosy. Czym zajmuje się firma Urban Designs?

- To firma konsultingowa. Jestem inżynierem. Otworzył szeroko oczy.

- Inżynierem?

- Tak trudno ci w to uwierzyć? - wypaliła, wyrywając rękę z uścisku. - Jestem inżynierem i muszę jutro opracować zlecony raport. Jeśli zatem nie masz nic przeciwko temu, pobiegam trochę, zjem kolację i wcześniej się położę.

- Zrezygnuj z biegania - nalegał. - Wykorzystamy ten czas na miłą kolacyjkę we dwoje.

- O, nie! - zaprotestowała gorąco.

- Gretchen - odezwał się Cliff tonem nie dopuszczającym dyskusji. - Myślałem o pójściu do restauracji. Nic ci tam nie grozi.

- Dzieci i psy cię lubią - bąknęła pod nosem.

- Jeśli zgodzę się na kolację, zostawisz mnie w spokoju?

- Nie - odrzekł szczerze. - Rozumiem jednak, że się zgadzasz.

Gdzie tu w okolicy jest jakaś restauracja z egzotycznymi daniami?

- Egzotycznymi?

- Na szlaku jedliśmy tylko świństwa z torebek. Czas na odmianę.

Miała poważne wątpliwości, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Chyba najbardziej egzotyczna jest restauracja wietnamska.

- Świetnie. Uczesz się i idziemy.

Rzucając czujne spojrzenia za siebie, wyszła z salonu i zamknęła się w sypialni. Rozpuściła włosy, wy-szczotkowała je i ułożyła. Zerknęła w lustro. Miała dziwny blask w oczach. Nachmurzona, wygładziła sukienkę, włożyła pantofle i ruszyła do drzwi.

Wsiedli do sportowego samochodu Cliffa. Gretchen wskazywała drogę. Musiała przyznać w duchu, że jej gość ubierał się elegancko i dbał o auto. Sprawiał wrażenie człowieka zamożnego. Podczas leśnej wędrówki nie było to widoczne. Czym się zajmował?

Zjechali z autostrady. Francusko-wietnamska restauracja „Chez Bach” była znana w okolicy ze swej doskonałej kuchni. Gretchen wiele razy jadała tu kolację z Jackiem. Kierownik sali poznał ją natychmiast i uśmiechnął się szeroko. Zdziwił się nieco na widok nieznanego mężczyzny, towarzyszącego stałej klientce, lecz nic nie powiedział i poprowadził ich do stolika osłoniętego parawanami.

Cliff powiódł przeciągłym spojrzeniem po ścianach pokrytych malowidłami i blatach stolików, ozdobionych mapami Wietnamu.

- Walczyłeś w Wietnamie? - spytała. Skinął lekko głową.

- W służbach medycznych. Nie chcę o tym rozmawiać.

Uszanowała jego życzenie. No tak, był sanitariuszem. Przecież tak wspaniale zajął się jej nogą. Skoro służył w Wietnamie, miał co najmniej trzydzieści pięć lat. Ale co ją to właściwie obchodzi? Po co o tym myśli?

Z wdzięcznością powitała kelnera, który przyniósł menu. Zamówiła gin z tomkiem, a Cliff poprosił o szkocką z lodem. A więc Cliff Powell pijał whisky z lodem. Wydawało jej się to całkiem nierealne.

W milczeniu studiowali kartę dań. Kiedy kelner postawił przed nimi drinki i odszedł z zamówieniem, Gretchen poczuła niepokój. Powoli sączyła trunek.

- Dlaczego nie chciałaś, żebym cię odnalazł? - spytał nagle Cliff.

- Widzę, że od razu przechodzisz do rzeczy.

- G.S., pomóż mi zorientować się w tym wszystkim. Zdaje się, że w różny sposób odebraliśmy wydarzenia sprzed miesiąca.

Z tym nie mogła się zgodzić. Przecież oboje potraktowali leśną znajomość jako przelotny romans.

- Dlaczego szperałeś w moim portfelu?

- Ponieważ wiedziałem, że zechcę cię ponownie zobaczyć.

- Po co? Chcesz znów przeżyć cudowne chwile? Ironiczny ton Gretchen zbił Cliffa z tropu.

- Coś nie tak? - odezwał się łagodnie. - Przeżyliśmy coś naprawdę pięknego... Byliśmy może trochę beztroscy... i jeśli... ta noc ma teraz konsekwencje, chciałbym wiedzieć.

Po tym stwierdzeniu ujrzała Cliffa w innym świetle. Cóż za odpowiedzialny człowiek. Ilu mężczyzn postąpiłoby na jego miejscu tak samo i odszukało kobietę, aby sprawdzić, czy nic jej się nie stało?

W tym przypadku nie miał powodów do niepokoju. Kiedy zamieszkała z Jackiem, zaczęła brać pigułki antykoncepcyjne. Po zerwaniu zamierzała je odstawić, lecz lekarz kazał jej poczekać przynajmniej do końca cyklu. Ostrzegł, że z hormonami nie ma żartów.

- Nie denerwuj się. Byłam zabezpieczona - oświadczyła.

- To dobrze. Możemy więc powrócić do cudownych chwil. Było mi z tobą bardzo dobrze, Gretchen. I tobie ze mną również. Pragnę więc to powtórzyć. Co w tym złego?

- Wszystko - odparła cicho.

Kelner podał zupy i sałatki, nazywając i opisując każde danie. Cliff machinalnie zamieszał zupę, spróbował i uśmiechnął się z zadowoleniem. Powrócił do rozmowy.



- Zechcesz łaskawie rozwinąć tę tezę - poprosił.

Jak miała mu wyjaśnić, że „cudowne chwile” nie były absolutnie w jej stylu? Czy uwierzyłby jej?

- Nie jestem taka, jak sądzisz - wykrztusiła wreszcie.

- A co ja sądzę?

Przełknęła z trudem łyżkę zupy i odetchnęła głęboko.

- Nie jestem tą samą osobą, którą spotkałeś na szlaku.

- Oczywiście, że nie. Masz teraz wypolerowane paznokcie.

Westchnęła.

- Posłuchaj, Cliff... Nie należę do tego typu kobiet, które...

Zabrakło jej słów.

- Które co? - domagał się dokończenia zdania.

- Które postępują tak jak ja na łące.

- Przecież to, co zrobiłaś, jest faktem. Nie zaprzeczysz.

Dlaczego rozmawiasz ze mną jak skromna panienka? - Wypił łyk whisky. Nie spuszczał wzroku z Gretchen. - Byłaś fantastyczna podczas wędrowki. Chcesz powiedzieć, że nie jesteś fantastyczną dziewczyną?

- Może. - Jeśli mianem „fantastyczna” określał kobietę, która ulega porywom namiętności, Gretchen z pewnością fantastyczna nie była. Zebrała się na odwagę. - Cliff, czuję się nieswojo z powodu tego, co zaszło. Czuję się głupio, chociaż nie zmienię faktów.

Widział, z jakim trudem dobiera słowa. Ich sens jednak wciąż do niego nie docierał.

- Dlaczego tak uważasz?

- Po prostu jestem taką kobietą. Jestem Gretchen Sprague, a nie G.S. czy kobietą pierwotną. Jestem Gretchen Sprague, magistrem inżynierem, wiem, żemi nie wierzysz, ale...

- W co nie wierzę?

Dlaczego zmuszał ją do powiedzenia tego bez ogródek?

- Cliff, ja nie zamierzam z tobą sypiać.

Wyczerpana tym oświadczeniem, opadła na oparcie krzesła.

Zmarszczył brwi.

- Zaraz, zaraz. Kto tu w ogóle mówi o sypianiu ze mną?  
- Czyżbyś zapomniał, że robiliśmy to na szlaku?  
- Nie zapomniałem - odrzekł cicho. - Nie rozumiem jednak, dlaczego...

- Doprawdy? Przykro mi, że zachowałam się tak na polanie. Rozumiesz? Przykro mi, że to się stało.

- Dlaczego? To, co się stało, było najzupełniej normalne, zdrowe, dające satysfakcję...

- I cudowne - podsumowała ze smutkiem. - No cóż, widocznie nie jestem zdrową, normalną kobietą.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Kelner przyniósł drugie danie. Gretchen zastanawiała się, czy nie zaprosić go do stolika. W obecności Cliffa czuła się słaba i bezbronna.

Kelner odszedł i znów zostali sami.

- Gretchen - odezwał się Cliff ochryłym, niskim, ledwie rozpoznawalnym głosem. - Czy zwodziłaś mnie przez te trzy dni? Nie. Czy oszukałaś mnie? Czy wykorzystałaś mnie? Nie. Nie masz więc mnie za co przepraszać. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Nie rozmawiajmy już o przeszłości. Porozmawiajmy o teraźniejszości.

- O teraźniejszości? - powtórzyła, przestraszona. Cliff zmrużył oczy.

- Ten facet, Jack... - zaczął z wahaniem. Gretchen wzdrygnęła się. Nie chciała rozmawiać z Cliffem o Jacku.

- Pracujesz dla niego? - dokończył pytanie.

- Nie.

- Ale piszesz dla niego raport.

Spojrzała z dezaprobatą. Podśledziwał, kiedy rozmawiała przez telefon z Ruth. Właściwie nie mogła go winić. Był w tym samym pokoju.

- Jego firma wynajęła Urban Designs do opracowania raportu na temat zakładów chemicznych, które projektował - wyjaśniła.

- Zakłady chemiczne! - oburzył się. - Przeciwiństwo czystego powietrza i dzikiej przyrody.

- Niekoniecznie. To zależy, jak zostaną zaprojektowane budynki i na ile przyzwoitymi ludźmi są właściciele. Jesteś wykształcony?

Zaskoczony, Cliff uniósł brwi.

- Przeczytałem w życiu parę książek. Dlaczego pytasz?

Nie wiedziała, jak mu opowiedzieć o „Surfującym Willim” i o tym, że uważała go za kogoś w tym stylu.

- Jesteś zdziwiona? - stwierdził ironicznie. - Czytałem Szekspira i znam trochę mitologię. Pamiętasz, nazwałem cię królową lasu?

Na wspomnienie wieczoru na bajkowej łące oczy Gretchen pociemniały. Stali nadzy w jeziorze, wśród rumianków...

Starannie oparła widelec o brzeg talerza.

- Nie jestem głodna, Cliff. Przepraszam.

- Nie ma za co. Poproszę o rachunek, dobrze?

Skinęła głową. Powell zawołał kelnera, który bardzo się zasmucił brakiem apetytu stałej klientki. Zapewniła, że jedzenie było pyszne. Cliff zapłacił kartą kredytową i wyszli z restauracji.

Zapadła już noc. Powietrze zrobiło się chłodniejsze. Wy tłumaczyła, jak dojechać do autostrady i zamilkła. Nie mogła się otrząsnąć ze wspomnień. Chwycił ją bolesny skurcz żołądka. Prowadziła niebezpieczną grę.

Nie miała odwagi spojrzeć na swego towarzysza. Zamknęła oczy i w drodze do domu myślała o nim. Poznała go jako bezimiennego nie ogolonego miłośnika natury, teraz zaś siedział koło niej elegancki, prawdopodobnie zamożny, starannie ogolony Cliff

Powell. Chyba nie spodziewał się, że połączą się na powrót poza leśną krainą, w cywilizacji.

Wjechał na podjazd przed jej domem i wyłączył silnik.

- Nie - odezwała się Gretchen natychmiast.

- Co: nie?

- Nie możesz wejść.

- W porządku ~ uśmiechnął się pobłażliwie. - Porozmawiamy więc tutaj.

Ujął jej twarz za podbródek i odwrócił ku sobie. Księżyc w pełni rozsiewał srebrzystą poświatę. Gretchen nie mogła uciec spojrzeniem w bok.

~ Nie chcę rozmawiać - szepnęła bez przekonania.

- To źle, kobieto pierwotna.

Jego głos zabrzmiał łagodnie i stanowczo zarazem. Chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Wytłumacz mi jedną rzecz, Gretchen. Sądziłem, że mnie lubisz, kiedy wędrowaliśmy razem.

- Chyba... chyba lubiłam, ale wtedy cię nie znałam...

- To był twój wybór.

- Wiem. - Zaszło jej w gardle. Wbiła wzrok w tablicę rozdzielczą. Po wyznaniu prawdy nie mogła spojrzeć Cliffowi w oczy. - Wiem. Dlatego się wstydzę.

- Czego?

- Tego, co zrobiłam. Z nieznanym mężczyzną. Pogładził ją po dłoni. Ciało Gretchen zareagowało natychmiast. Zalała ją fala gorąca.

- Moglibyśmy teraz lepiej się poznać - zaproponował cicho.

-- Nie wiem...

- Powiedz, Gretchen - głos Cliffa, podobnie jak wzrok i dotyk, działał hipnotyzująco - czy nadal jesteś związana z tym facetem, z którym mieszkłaś? Z Jackiem? Wciąż go kochasz, czy coś w tym rodzaju?

- Nie - wyznała szczerze, zdziwiona, że Poweł zadaje tak osobiste pytania.

- Mam prawo pytać - odpowiedział na niemy wyrzut w jej oczach. - Mam prawo wiedzieć, o co walczę.

- Nie masz prawa niczego wiedzieć - zaprotestowała niepewnie. - Nie masz prawa przyjeżdżać tu, śledzić mnie, wkraczać w moje życie i wywracać je do góry nogami...

- Mylisz się, G.S. - stwierdził stanowczo. - Jeśli chodzi o ciebie, mam pewne prawa. Nie zamierzam wykreślać z pamięci tego, co zaszło na szlaku, chociaż ty wolałabyś zapomnieć o wszystkim. Mogłem się mylić co do ciebie, G.S., ale nie darowałbym sobie, gdybym nie spróbował tego wyjaśnić.

- Słuchaj, oszczędzę ci czasu i wysiłku. Z mojego punktu widzenia to, co między nami się wydarzyło, nie było dobre. Nie wymażemy tego z pamięci, lecz nie musimy dalej w to brnąć. Żle się stało, Cliff.

- Dlaczego? Co było złe?

Szukała w myślach przekonującej odpowiedzi. Poddała się. Westchnęła ciężko. Skoro on nie rozumiał wyrzutów sumienia kobiety o staroświeckich poglądach, tłumaczenie czegokolwiek nie miało sensu.

- Uważam, G.S., że to, co zrobiliśmy, można by ocenić źle tylko w tym przypadku, gdyby jedna osoba wykorzystwała drugą.

- Kiedy Gretchen uparcie milczała, wrzucił ramionami. - A jeśli coś było źle między nami, możemy się postarać to naprawić.

Pochylił się i pocałował ją tak szybko, tak delikatnie, że nie zdążyła się cofnąć. Popatrzył w jej szeroko otwarte ze zdumienia oczy. Zamiast następnego pocałunku chwycił rękę Gretchen i przyłożył sobie do policzka.

Zaskoczyła ją gładkość skóry Cliffa. Pamiętała jeszcze bujny złoty zarost. Czy obok niej siedział naprawdę ten sam człowiek, który pływał nago w leśnym jeziorze?

Ten sam mężczyzna, ta sama kobieta. Musiała przyjąć to do wiadomości. Pogłaskała wygolony policzek. Cliff puścił jej dłoń.

- Jeśli nie pozwolisz mi zostać na noc, nie będę nalegał - odezwał się półgłosem. - Przyjadę jutro, wcześniej rano.

- Co? - Otrząsnęła się z zamyślenia. - Co masz na myśli?

- A jak sądzisz? Zjemy razem śniadanie.

- Wydawało mi się, że mieszkasz w Nowym Jorku. Westchnął.

- Przenocuję w hotelu.

- A zatem spodziewałeś się, że spędzisz ze mną noc? - wybuchnęła.

- Oczywiście, że tak. Wiesz, to przecież nie byłby pierwszy raz - dodał.

Powstrzymała się, aby nie uderzyć go w twarz. Właściwie wyciągnął logiczny wniosek z jej zachowania. Po parogodzinnej znajomości wśliznął się do jej namiotu. Mimo zmienionego wyglądu zewnętrznego pozostał pewny siebie.

- Nie mogę się z tobą jutro zobaczyć - oświadczyła chłodno. - Mam pilną pracę.

- Ja też - odrzekł. - Wpadnę koło ósmej, zjemy śniadanie i zajmujemy się twoją pracą. - Pocałował ją delikatnie. - Dobranoc, Gretchen - szepnął.

Machinalnie wysiadła, weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Dopiero gdy usłyszała odjeżdżający samochód, odetchnęła swobodnie.

## ROZDZIAŁ 7

Cliff zadzwonił do drzwi punktualnie o ósmej. Gretchen starannie przygotowała się na jego przybycie. Po bezsennej nocy wstała o siódmej, wzięła prysznic i włożyła ubranie odpowiednie na wizytę w biurze poza godzinami pracy: obszerne spodnie z kanarkowo-żółtej bawełny, białą bluzkę z krótkimi rękawami i brązowe sandały. Szanując przyjęte w pracy formy, zaplotła włosy w warkocz i upięła go w węzeł na karku. Nie zawracała sobie głowy szminką do ust.

Kiedy dzwonek rozległ się ponownie, wzięła głęboki oddech, wstała z poduszki i poszła otworzyć. Cliff stał na progu równie rozluźniony i swobodny, jak Gretchen spięta i zdenerwowana. Był świeżo ogolony, z włosami jeszcze wilgotnymi po kąpiel. Miał na sobie beżowe bawełniane spodnie i szytą na miarę białą sportową koszulę, ozdobioną niebieskim pasem, który podkreślał barwę jego oczu.

- Dzień dobry, kobieto pierwotna.

Nie ruszyła się z miejsca, zbyt speszona, by zaprosić go do środka. Znała teraz nazwisko dawnego towarzysza wędrówki, wiedziała, że mieszka i pracuje w Nowym Jorku, że jest dobrze ubrany i jeździ drogim samochodem. Ale w dalszym ciągu, w bliższym kontakcie, liczyła się jego osobowość i męska uroda. Nadal silnie na nią oddziaływał. W jego obecności budziła się w niej kobiecość.

- Zastanawiałam się nad tym, co ci wczoraj powiedziałam - odezwała się wreszcie.

Oczy Cliffa natychmiast pociemniały.

- Wczoraj mówiłaś wiele rzeczy.

- Zastanawiałam się nad wszystkim. - Z trudem przełknęła ślinę. - A zwłaszcza nad tym, że czeka mnie dziś wiele pracy. Jeśli naprawdę sądzisz, że będę marnować czas, przyrządzając ci śniadanie...

- Naprawdę tak nie sędzę - przerwał jej i uśmiechnął się. - Zjemy na mieście. Zbieraj się. Zaraz po śniadaniu idziemy do pracy.

Zrobiła tak, jak polecił. Zostawiła Cliffa na ganku, zabrała torebkę z sypialni i po raz ostatni przejrzała się w lustrze, jak gdyby zależało jej na wyglądzie.

Był tylko problem z samochodem. Czy po śniadaniu Cliff odwiezie ją do domu, aby przesiadła się do swojego auta? I właściwie jaka praca na niego czekała? Zresztą, czy to miało znaczenie? Nieproszony gość wyraźnie dyktował warunki. Sprawy toczyły się po jego myśli. Cóż mogła na to poradzić?

Wyszła na ganek i nie odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Zamknęła drzwi na klucz i nie czekając na Cliffa, ruszyła przez trawnik na podjazd. Zajęła miejsce dla pasażera i westchnęła. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa.

Cliff nie skomentował jej podłego nastroju.

- Zapowiada się upalny dzień - stwierdził, wkładając okulary przeciwsłoneczne.

Miłośnik natury w ciemnych okularach! Gretchen omal nie zachichotała na ten widok. Przydymione szkła miały cienką stalową oprawkę. Musiała przyznać, że wyglądał w nich bardzo pociągająco, ale... Na szlaku nie chronił się przed słońcem. Okulary nie pasowały do niego.

- Dokąd pójdziemy? - spytał, gdy dojechali do rogu ulicy.

- Obojętne. - Wzruszyła ramionami. - I tak nie jestem specjalnie głodna.

Skręcił na północ. Podjechał do przydrożnej kawiarenki i spojrzał pytająco na Gretchen. Znów wzruszyła ramionami. Zaparkował i weszli do klimatyzowanego, chłodnego wnętrza. Gretchen lekko zadrżała.

Kelnerka zaprowadziła ich do stolika, naląła kawy do filiżanek i podała menu. Gretchen miała nadzieję, że kawa ją ożywi, więc szybko wypila gorący napój.

Cliff zamówił omlet, a ona - miskę otrębów pszennych.



- Czy to wszystko, co zamierzasz zjeść? - spytał, kiedy kelnerka zniknęła w kuchni.

- Mówiłam ci, że nie jestem głodna. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- To przeze mnie straciłaś apetyt? - uśmiechnął się trochę ironicznie.

- Właściwie tak.

- No cóż, to znaczy, że mam u ciebie szanse.

- Na litość boską, nie rób sobie nadziei - burknęła. - Wystarczy mi fakt, że się tu zjawiłeś, a ty jeszcze opowiadasz o szansach! Chyba tego nie zniosę.

Spoważniał.

- Zmiłuj się, G.S.! Za wczesna pora na złośliwości.

Kiwnęła głową, skruszona, i opuściła wzrok. Nerwowo mięła róg papierowej serwetki. Oddarła skrawek i wrzuciła do popielniczki.

- Jeśli będę złośliwa, może zostawisz mnie w spokoju - odparła cicho.

- To ci się nie uda - ostrzegł wesoło. - Nawet nie próbuj.

Podano jedzenie. Gretchen machinalnie zamieszała mleko z otrębami. Tak, odebrał jej apetyt, i to nie dlatego, że była w nim zakochana, lecz dlatego, że w jego towarzystwie nie mogła przełknąć ani kęsa.

Cliff z zapalem rzucił się na omlet. Gretchen próbowała go sobie wyobrazić w Nowym Jorku, w eleganckiej kawiarni, w towarzystwie pięknej kobiety, sączącej koktajl... Oczywiście, Cliff ma okulary przeciwsłoneczne, a jego towarzyszką jest wysoka, smukła i pali długiego papierosa... Nie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Nowy Jork, ach, tak - bąknęła pod nosem. Poczyniona zniechęcona uwaga zaskoczyła Cliffa.

- Słucham?

- Naprawdę mieszkasz w Nowym Jorku?

- Naprawdę.

- Nigdy bym nie przypuszczała. Odłożył widelec.

- To niesamowite miasto - powiedział, jakby chciał stanąć w obronie tego miejsca.

- Ale przecież uwielbiasz przyrodę, zgadza się?

- Niektórzy twierdzą, że Nowy Jork to dżungla - zauważył ironicznie.

- Podzielasz ich zdanie?

Pograżony w myślach, pił kawę. Wreszcie uśmiechnął się.

- Lubię Nowy Jork. Lubię wszystko, co to miasto proponuje swoim mieszkańcom. Mam tam przyjaciół i miłe mieszkanie niedaleko gmachu Lincoln Center. A kiedy tylko chcę, wyruszam na pieszą wędrowkę.

- Mówiłeś, że wólczyga z plecakiem jest jak powrót do natury. Skinął głową.

- Tak, i gdybym mógł, odwróciłbym proporcje. Żyłbym gdzieś w lesie, a gdybym chciał, jeździłbym do Nowego Jorku. Jestem jednak dość wygodnym człowiekiem, więc nie zmieniam porządku rzeczywistości.

- Wychowałeś się w Nowym Jorku?

Cliff rozparł się wygodnie na krześle i przyjrzał jej się uważnie. Gretchen zrozumiała, że pochlebiła mu swoim zainteresowaniem. Żałowała, że pytała o cokolwiek. Było jednak już za późno na wycofanie się z rozmowy.

- Jako dziecko wciąż się przeprowadzałem. Urodziłem się w Topeka. Po śmierci ojca przenieśliśmy się do stanu Minnesota, gdzie mieszkała rodzina. Matka wyszła powtórnie za męża. Pojechaliśmy do Dallas, potem na trochę do Worcester w stanie Massachusetts. Chodziłem do college'u w Pensylwanii, a następnie spędziłem rok w Wietnamie. Po powrocie wylądowałem w Nowym Jorku. Tam postanowiłem skończyć studia i zostać na stałe. Pewnie teraz żałujesz, że spytałaś? Zanudziłem cię?

Gretchen zastanawiała się przez chwilę.

- Życie obieżyświata - podsumowała.

- Może dlatego lubię wędrowki z plecakiem? - uśmiechnął się szeroko. - Tyle razy się pakowałem i przeprowadzałem, że lubię nosić na plecach najpotrzebniejsze rzeczy.

- Skończyłeś studia?

- Weteranom z Wietnamu przysługiwał zasiłek, więc wykorzystałem go na opłacenie nauki. Gdybym nie znalazł się w Wietnamie, prawdopodobnie poszedłbym na studia medyczne.

- Na medycynę! - zawołała Gretchen z podziwem.

- Czasem myślę, że Wietnam oddał mi wielką przysługę. Dzięki wyjazdowi na wojnę nie zostałem lekarzem.

- Tak wspaniale zająłeś się moją nogą, kiedy ukąsił mnie komar! Byłbyś znakomitym lekarzem - zapewniła.

Pokręcił głową. Dopił kawę i poprosił kelnerkę o rachunek.

- Studia medyczne nie odpowiadałyby mi. Za dużo czasu spędza się w czterech ścianach.

Miłośnik natury z bukietem rumianków w dłoni - lekarzem? Jakże Gretchen myliła się co do niego! A może nie? Skoro sam doszedł do wniosku, że nie wytrzymałby zamknięcia w dusznych pomieszczeniach, że woli świeże powietrze i aktywność fizyczną? Okazało się, że ma do czynienia z mężczyzną o skomplikowanej osobowości.

Zamyślona, wstała od stolika. Wyszli na słońce. Żar lał się z nieba. Gretchen cieszyła się w duchu, że nie wzięli jej samochodu z czarnymi plastikowymi siedzeniami i bez klimatyzacji.

Cliff włączył silnik, wjechał na autostradę i skierował się na zachód.

- To nie w tę stronę! - krzyknęła.

Puścił jej słowa mimo uszu i jechał dalej. Gretchen zdołała rozluźnić się nieco przy śniadaniu, lecz teraz znów ogarnął ją niepokój. Dokąd ją wiózł? Co z jej pracą, z raportem dla klienta?

Dotarli do miasta. Cliff poruszał się swobodnie w gąszczu ulic, Gretchen doszła więc do wniosku, że musiał już być w tej okolicy. Sklep, przed którym się zatrzymał, nosił nazwę „Wielka włóczęga” i należał do sieci mu podobnych. To tu Gretchen kupiła namiot.

Dlaczego Cliff tak nagle zdecydował się na zakupy? Czy nie mógł wysadzić jej przy biurze? Zerknęła na zegarek i zmarszczyła brwi. Sklep pewnie nie był nawet jeszcze otwarty. Czekają ich dwudziestominutowe czekanie na parkingu. Dwadzieścia minut, które powinna spędzić w gabinecie przy komputerze.

Gniewnie zacisnęła usta i podeszła za Cliffem do zamkniętych szklanych drzwi. Mężczyzna zajrzał do środka. Sprzedawcy krzżeli się wśród towaru, sprawdzali stan kas. Cliff zastukał.

Młoda kobieta odryglowała zasuwę.

- Przepraszam pana, otwieramy o dziewiątej trzydzieści - poinformowała.

- Mitch Neubolt czeka na mnie.

- Jest teraz na zapleczu. Proszę podać nazwisko, a powiadomię go, że pan przyszedł.

- Jestem Cliff Powell.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

- Cliff Powell? - powtórzyła, a kiedy potwierdził kiwnięciem głowy, uniosła brwi. - Proszę wejść, panie Powell. Natychmiast przyprowadzę Mitcha.

Uprzejmie przytrzymała drzwi, a kiedy Cliff i Gretchen znaleźli się w sklepie, pospieszyła na zaplecze.

Nic nie rozumiem, stwierdziła Gretchen w duchu. Czyżby Powell był tak szacownym klientem, że wpuszczano go o każdej porze i niemal rozkładano przed nim czerwony dywan? Pamiętała, że miał dobry sprzęt turystyczny, ale wcale nie najnowszy.

Tymczasem Cliff badawczo rozglądał się po wnętrzu. Zbliżył się do ściany i poprawił wiszące krzywo rakiety tenisowe. Po chwili powitał go łysiejący mężczyzna w średnim wieku.

- Cliff! Przyszedłeś za wcześnie! Wymienili uścisk dłoni.

- Cześć, Mitch! Tak, troszeczkę. Chyba nie masz mi tego za złe. Muszę odwieźć przyjaciółkę do biura, więc postanowiłem najpierw wpaść tutaj. Gretchen, poznaj pana Mitcha Neubelta.

- Bardzo mi przyjemnie. - Mężczyzna wyciągnął rękę. - Cliff, czy zajrzyć na zaplecze? Nie wiem, co chciałbyś zobaczyć...

Cliff uśmiechnął się do towarzyszącej mu kobiety.

- Wracam za pięć minut - obiecał.

Ważny klient... Kierownik sklepu zaprosił go do swojego gabinetu. Jakże wielkie było zdumienie Gretchen, gdy po paru minutach Cliff pojawił się nie ze sprzętem sportowym pod pachą, lecz z grubym plikiem wydruków komputerowych.

- Załatwione - oznajmił wesoło.

Wsiedli do samochodu. Położył papiery na kolanach pasażerki.

- Potrzymasz mi to, dobrze? Oszołomiona, nic nie odpowiedziała.

- Jesteś księgowym? - spytała, gdy znaleźli się na jednej z głównych ulic miasta.

- Nie.

Przez chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

- Pracujesz dla tego sklepu na zlecenie? - wypytywała dalej.

- Jestem właścicielem. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Przecież „Wielka włóczęga” należy do sieci handlowej.

- Owszem, jestem właścicielem wszystkich ośmiu sklepów, wchodzących w jej skład.

- Nie żartuj.

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Dlaczego tak ci trudno uwierzyć we wszystko, co dotyczy mojej osoby, G.S.? Myślisz, że jakiś półanalfabeta, dzikus, Tarzan nabija cię w butelkę?

Zarumieniła się i odwróciła wzrok. Tak właśnie nieraz o nim myślała - jak o starszym kuzynie „Surfującego Willie'ego”, przeciwieństwie intelektualisty Jacka, poecie cielesnego piękna. Tarzan... Tak, to do niego pasowało. Pływał nago w jeziorze, zbierał rumianki i koronował swą leśną panią. Teraz jednak...

Popatrzyła ukradkiem na jego profil i zdała sobie sprawę, że wszystkie fantazje, jakie snuła na temat nieznanego, należy włożyć między bajki. Obok niej siedział doświadczony biznesmen, przebojowy i kroczący przez życie od sukcesu do sukcesu.

Po co marnował czas i energię na kogoś takiego jak ona?

Cudowne chwile... No tak, o to mu chodziło. Przeżyli cudowne chwile na szlaku i Cliff pragnął nowych doznań. Był na tyle zamożny, że mógł zaspokajać własne kaprysy. Widocznie bawiło go polowanie na słabą, bezbronną Gretchen. Ot, taki sport.

- O czym myślisz? - spytał.

Gorączkowo szukała jakiejś sensownej bezpiecznej odpowiedzi.

- Wiesz, mój namiot kupiłam właśnie w „Wielkiej włóczędze”. Był dosyć drogi.

- Ale dobrej jakości, prawda?

- Tak,

- Nie sprzedajemy tanich rzeczy. Klient płaci i wymaga. Wybrałaś świetny model. Nieduży, ale bardzo lekki.

- Sądzisz, że nie uniosłabym cięższego?

- Nie. Poleciłbym taki namiot każdemu, kto wędruje sam. A ponieważ wędrują na ogół mężczyźni... - Cliff zatrzymał się na świetłach. - Coś mnie jednak w nim zastanowiło, G.S. wyglądał na nowy, ale nie był. Używałaś go wcześniej?

Potrząsnęła głową.

- Po raz pierwszy wzięłam go na szlak. Skąd wiedziałaś, że nie jest nowy? Już nie sprzedajecie tego typu?

- Ależ sprzedajemy. To bardzo udany model. Zauważyłem przebarwienia na szwach, co by znaczyło, że namiot został impregnowany jakiś czas temu.

Gretchen skinęła głową potakująco.

- Kupiłam go przed dwoma laty. Miałam wyruszyć na szlak. Zaimpregnowałam tkaninę. Wszystko było przygotowane na wyprawę. I nagle... Przedsięwzięcie nie doszło do skutku.

Jack kategorycznie odmówił wtedy udziału w wycieczce. Zabrał ją na tygodniowy urlop w luksusowym jachtklubie w Cape Cod. Namiot schowano do szafy.

Cliff nie roztrząsał już problemu namiotu Gretchen. Skupił uwagę na szukaniu miejsca do zaparkowania.

Wkroczyli do niemal pustego, jak zawsze w soboty, biurowca. Wjechali windą na piętro zajmowane przez firmę Urban Designs. Gretchen otworzyła swój gabinet i zapaliła światło. Cliff rozejrzał się i zmarszczył brwi.

- Nie ma okna?

- Kiedy zaczynałam pracę, tylko to pomieszczenie było wolne - wyjaśniła. - Nie jestem, niestety, prezesem firmy.

W myślach dodała: tak jak ty, właściciel sieci magazynów.

Cliff zainteresował się fotografiami, wiszącymi na ścianie.

- Gdzie to jest? - spytał, podchodząc bliżej.

- W Yosemite. Ta góra to El Capitan.

Cliff przeniósł wzrok na następne zdjęcie, przedstawiające górski staw, w którego przejrzystej wodzie odbijały się drzewa i chmury.

- Steve robił te fotografie podczas naszej ostatniej wspólnej wyprawy, tuż przed jego ślubem. Znaleźliśmy ten staw. Piękny, prawda?

- Cudowny - przyznał Cliff. Zwrócił się do Gretchen z tajemniczym uśmiechem. - Ale znam jeszcze piękniejsze miejsce w leśnej głuszy, gdzie jest jezioro, wodospad i łąka...

Zaczerwieniła się na wspomnienie ukwieconej polany.

- Muszę zająć się pracą - stwierdziła cicho.

- Gdzie usiądziesz?
- Przy komputerze.
- A więc ja będę pracował przy biurku.

Zastanawiała się przez chwilę, czy istnieje sposób na pozbycie się nieproszonego gościa z gabinetu. Doszła do wniosku, że chyba nie. Zniosła plik dokumentów, dotyczących zakładów chemicznych na blat pod ścianą. Cliff rozłożył na biurku papiery przekazane przez kierownika „Wielkiej włóczegi”.

Gretchen włączyła monitor i zagłębiła się w danych liczbowych. W pewnym sensie była zadowolona, że wypadło jej pilne zlecenie. Dzięki temu mogła zapomnieć o kłopotliwej obecności Clifffa.

Z początku miała trudności z koncentracją. Nawet siedząc plecami do dawnego towarzysza wędrówki, czuła jego bliskość, jego zapach. Nie była to woń lasu, lecz dobrego mydła i szamponu ziołowego. Oczami wyobraźni widziała silne ręce, trzymające plik wydruków komputerowych i palce, przebiegające kolumny cyfr.

Te same dłonie kiedyś dotykały jej ciała, doprowadzając je na szczyt rozkoszy. Pieszczoty tego mężczyzny ośmieliły ją do robienia rzeczy, których nigdy przedtem nie robiła; wyzwoliły w niej namiętność, o którą się nigdy nie podejrzewała.

Z trudem opanowała nerwy i wyciszyła wewnętrzne napięcie. Stopniowo praca zaabsorbowała ją tak dalece, że zapomniała o Clifffie, siedzącym tak blisko.

Z pewnością nie wyglądał jak dziecię natury. Siłacz, dźwigający plecak pełen świeżych marchewek, wydawał się kimś innym w eleganckim ubraniu. Twarz, przedtem ukryta pod parudniowym zarostem, przybrała poważny, skupiony wyraz. Czy ten sam człowiek wpinał jej kwiaty we włosy?

Gretchen rozłożyła na blacie fotografie terenu budowy wykonane z lotu ptaka. Zastanawiała się nad ewentualną trasą



nowej drogi dojazdowej. Gdybyż tylko udało się ocalić wspaniałe stare drzewa...

Zgodnie z raportem geologicznym istniały rozmaite możliwości rozwiązania problemu. Uśmiechnęła się. Nowa droga skróciłaby odległość między placem budowy a szosą. Tak, to miało sens. Musiała jednak przekonać firmę Jima Conklina, że powinien zrezygnować z transakcji z tartakiem...

Poczuła dłonie Cliffa na ramionach. Delikatnie masował jej mięśnie karku i barków. Zamknęła oczy. Powróciły wspomnienia magicznego wieczoru na pachnącej łące.

Magicznego? Skądże, całkiem realnego. Wmawiała sobie niezwykłość zdarzeń, aby nie oceniać własnego postępowania.

Cofnęła się gwałtownie. Cliff zajrzał jej przez ramię.

- Jak idzie praca, kobieto pierwotna? Niewinne pytanie. Gretchen powstrzymała złość.

- W porządku.

- Nad czym pracujesz?

- Usiłuję znaleźć sposób na uratowanie kilku drzew.

- Wydaje się, że rzecz jest warta zachodu - zauważył. Zerknął na elegancki złoty zegarek. - No, przekroczyliśmy normę, a przecież dziś sobota.

Trzecia trzydzieści? Nie do wiary, że już tak późno. Przejrzała jednak mnóstwo dokumentów i lwią część pracy miała za sobą. Mogła swobodnie dokończyć raport w poniedziałek rano, a po południu dać go do przepisania.

Co teraz począć z Cliffem? Jak się zachować? Gretchen postanowiła być szczerą. Poskładała papiery i odwróciła się.

- Słuchaj, Cliff, nie wiem, czy planowałeś coś na wieczór, ale jeśli tak... lepiej nie bierz mnie pod uwagę.

- Już zostałeś uwzględniona w moich planach. Wziął ją pod rękę i wyszli na korytarz.

- A może ja mam swoje plany na wieczór? - spytała Gretchen w windzie,

- Po prostu z nich zrezygnujesz - stwierdził krótko,

- Co ty właściwie wyprawiasz? Co starasz się udowodnić? - Nie mogła znieść faktu, że Cliff zachowywał spokój, a ona była kłębkim nerwów. - Jeszcze ci nie wywietrzały z głowy „cudowne chwile”? Naprawdę sądzisz, że pogoń za wzajemnym zaspokojeniem warta jest aż takiego zachodu i dręczenia mnie?

Spojrzał na nią uważnie.

- Uspokój się, G.S., nie zamierzam cię dręczyć.

- To co właściwie zamierzasz?

Takie słowa w jej ustach? Aż się zatrwożyła. Dobry Boże, takie pytanie padło podczas pamiętnej decydującej rozmowy z Jackiem, kiedy to namolnie, jak określił, domagała się ślubu.

Kiedy wreszcie nauczy się postępować z mężczyznami? Kiedy przestanie popełniać te same błędy? Ten człowiek na zawsze będzie jej się kojarzył z momentem słabości i nieodpowiedzialności, gdy odurzona atmosferą leśnej głuszy, straciła panowanie nad sobą.

Nagle ogarnął ją lęk. Sam na sam w windzie. Jak w pułapce. Na szczęście drzwi otworzyły się na parterze.

Pospiesznie ruszyła do wyjścia. Cliff dogonił ją w dwóch susach i chwycił za ramię.

- Gretchen - odezwał się cicho.

Popatrzyła na ruch uliczny za szklanymi drzwiami. Bezradnie opuściła ręce.

- Gretchen, naprawdę chcesz teraz rozmawiać o planach?

- Nie chcę. Odetchnął głęboko.

- Chodźmy. - W milczeniu dotarli do samochodu i wsiadli. Cliff uruchomił silnik. - Gretchen, wyznam szczerze, że wciąż nie wiem, co się tu, do diabła, dzieje, ale pominąwszy ostatnie dziesięć minut, szło nam wcale nieźle.

Unikała jego wzroku.

- Pewnie dlatego, że oboje byliśmy pochłonięci pracą.

Zmarszczył brwi i zacisnął dłonie na kierownicy. Bezbłędnie pokonał trasę do domu Gretchen. Zatrzymał się na podjeździe.

Natychmiast sięgnęła do klamki.

- Nie obchodzi mnie to, co powiedziałaś. Idę pobiegać.

- Gdzie?

- Wzdłuż plaży. Dziesięć kilometrów.

- Dobrze. Wróć tu za godzinę.

- Biegam bardzo wolno.

- W takim razie za półtorej - oświadczył. Zjawił się punktualnie, tak jak obiecał. Ledwie skończyła brać prysznic, kiedy zadzwonił do drzwi. Nie miała śmiałości otwierać w szlafroku. Postanowiła przetrzymać Cliffa na ganku. Włożyła czyste dżinsy i bawełniane podkoszulek. Rozczesała mokre włosy i przetarła twarz tomkiem kosmetycznym.

Nie mogła dłużej odkładać momentu zaproszenia gościa do domu. Otworzyła drzwi. Cliff wkroczył energicznie, niosąc dużą torbę z zakupami.

- Jak się udał bieg?

- Było strasznie gorąco - mruknęła.

Zwykle podczas biegania rozmyślała i planowała różne rzeczy, lecz tego dnia upał po prostu wyłączył jej mózg.

Na widok Cliffa ogarnęły ją sprzeczne uczucia. Z jednej strony, powoli dochodziła do wniosku, że ten mężczyzna, ambitny i wykształcony, jest w jej typie, z drugiej strony, wciąż uważała, że odszukał ją tylko po to, aby raz jeszcze przeżyć cudowne chwile.

Nie mogła go potępić ani zniechęcić. Dlaczego spytała o plany? Czyżby nie nauczyła się jeszcze, że współcześni mężczyźni boją się wymuszonych zobowiązań? Targały nią sprzeczne uczucia. Instynkt pchał ją ku Cliffowi, rozsądek zaś nakazywał opamiętanie.

Kątem oka zerknęła na powód swej rozterki. Czy ten człowiek nigdy się nie poci? Jego twarz zachowała świeżość, a koszula wyglądała jak dopiero co wyprasowana. Przystojny i odporny na lipcowy upał!

Cliff czuł się jak u siebie w domu. Od razu pomaszerował do kuchni. Zajrzał do szuflad.

- Będziemy potrzebowali paru rzeczy - oznajmił. - Szklanek, talerzy, serwetek.

- Po co?

Błyskawicznie znalazł szafkę z naczyniami i wyjął dwa talerze.

- Urządzimy sobie piknik na plaży. Potrzebny będzie koc albo prześcieradło, żebyśmy mieli na czym usiąść.

- Plażę zamykają o piątej - poinformowała Gretchen.

Spochnął, lecz natychmiast beztrudnie wzruszył ramionami.

- Zaryzykujemy. Jestem pewien, że policja ma inne sprawy na głowie niż aresztowanie pary przebywającej na plaży po zamknięciu. - Postawił na blacie dwie szklanki, dodał kilka serwetek. Uśmiechnął się. - Co z kocem?

Gretchen otworzyła pawlacz z pościelą. Dlaczego pozwalała mu na to wszystko? Dlaczego pomagała w przygotowaniach do pikniku? Czyżby dlatego, że nie widziała sposobu na pozbycie się intruza? A może zauroczył ją wyglądem, zahipnotyzował błękitnymi oczami?

Może naprawdę chciała z nim być? Westchnęła ciężko. Zdjęła z półki prześcieradło kąpielowe i dołączyła do Cliffa. Powierzył jej niesienie szklanek, sam zajął się talerzami i torbą z jedzeniem.

Płotek metrowej wysokości odgradzał chodnik od plaży. Cliff rozejrzał się na prawo i lewo. Wszystkie wejścia były zamknięte. Postawił bagaż po drugiej stronie ogrodzenia.

- Musimy przejść przez płot. Dasz radę? Gretchen wzruszyła ramionami.

- Co to dla mnie! Zdobyłam przecież szczyt Kata-hdin - przypomniała.

Cliff z łatwością pokonał przeszkodę. Wziął z rąk Gretchen prześcieradło i szklanki. Kiedy znalazła się na plaży, zdjęła sandały. Cliff ściągnął pantofle i skarpetki. Stąpali bosy po białym piasku. Wybrali miejsce niemal tuż nad wodą.

Cliff rozpostarł prześcieradło i wypakował smakołyki: schłodzone białe wino, plastry najlepszych serów, pudełko krakersów sezamowych, dwa piękne jabłka i marchewkę.

- To dla ciebie - oświadczył i podał ją Gretchen. Natychmiast ożyły wspomnienia ze szlaku. Marchewka wypadła jej z rąk.

- Po co to przyniosłeś? - szepnęła zakłopotana.

- Chciałem zobaczyć, jak jesz. Nie znam osoby, która jadłaby marchewkę z takim apetytem - zażartował.

Zaczerwieniła się. Zaciśnęła usta i odwróciła się. Utkwiła wzrok w spienionych falach. Tymczasem Cliff odkorkował wino i pokroił sery na mniejsze kawałki. Rozlał trunek. Trącili się szklankami i napili po łyku.

Jedli w milczeniu, wpatrzeni w linię horyzontu, gdzie zielononiebieskie morze stykało się z niebem.

Słona bryza owiewała twarze. Gretchen spostrzegła zdumiona, że apetyt jej dopisuje, a w miarę zaspokajania głodu znikają napięcie i zdenerwowanie.

Giff położył się na boku i oparł głowę na łokciu. Patrzył na nią badawczo.

- Jak doszło do tego, że zostałeś inżynierem?

- Byłam dobra z matematyki.

- I co dalej?

- Nie chciałam spędzić życia na wymyślaniu abstrakcyjnych teorii w jakimś zmurszałym laboratorium. Chciałam robić coś praktycznego, dającego namacalne efekty. Takie możliwości stwarza zawód inżyniera. Czasem mogę nawet uratować jakieś drzewo.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Dość nietypowe zainteresowania jak na kobietę. Założę się, że byłaś jedyną dziewczyną na roku.

Roześmiała się.

- Nie. Snuło się tam kilka takich kaczek dziwaczek.

- Nie mów tak! Przecierałyście szlak innym kobietom!

- Przecież nie jestem pierwszą kobietą inżynierem w dziejach  
- zaprotestowała.

- Może i nie, ale musisz przyznać, że był to z twojej strony akt odwagi.

- Za dziesięć lat świat będzie pełen kobiet po studiach politechnicznych.

- Za dziesięć lat, być może, świat będzie pełen kobiet, które odważnie wędrują same z plecakiem - odparł. - Dziesięć lat to długi okres. W każdym razie dla mnie to bardzo długo.

- Cliff... - zaczęła, nie patrząc mu w oczy - Cliff, przepraszam, że w twojej obecności jestem spięta. To nie twoja wina. Nic nie zrobiłeś, ale...

Zaśmiał się cicho.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, od początku ostrzegałaś mnie, że jesteś spięta.

- Zgadza się. To znaczy... to, co się zdarzyło na szlaku, było szaleństwem.

Znów się roześmiał.

- Nie ma nic szalonego w tym, że dwoje dorosłych ludzi idzie za głosem natury, Gretchen. Nie ma też w tym nic złego. To, co się zdarzyło, było po prostu piękne.

Zaśmiała się nerwowo.

- Użyłeś określenia „cudowne chwile”.

- W porządku. Cudowne chwile.

- Tak cudowne, że wróciłeś po więcej? Odważyła się wreszcie spojrzeć na Cliffa. Powiew wiatru potargał jej włosy. Cliff odgarnął niesforny kosmyk z policzka Gretchen.

- Chciałem udowodnić sobie, że jesteś taka piękna, jaką cię zapamiętałem. Zwłaszcza z rozpuszczonymi włosami. Dziękuję, że ich nie spięłaś.

Chciała powiedzieć, że po umyciu włosów zostawia je rozpuszczone, aby szybciej wyschły. Słowa uwięzły jej w gardle. Ręka Cliffa zanurzyła się w kasztanowe loki, tak jak wtedy, na polanie.

Może miał rację? Może nie powinna zadreć się wyrzutami sumienia z powodu jednego wspaniałego wieczoru? Ogarnęła ją tęsknota za tym, by znów poczuć cudowną swobodę.

Cliff doskonale widział, co się z nią dzieje. Pochylił się i musnął wargami jej usta. Zadrżała. Jej głowa opadła na prześcieradło, usta rozchyliły się. Znalazła się w innym świecie, w beczasie, w krainie rozkosznych doznań.

- Gretchen - szepnął - mógłbym cię całować aż do końca świata. Nie ma nic złego w tym, co czujemy do siebie. Rozumiesz to, prawda?

A ona nie mogła myśleć o niczym. Nie zdołała wykrztusić słowa. Usta poruszały się bezgłośnie. Liczył się tylko Cliff, król lasu.

- Patrzysz na mnie jak wtedy - powiedział półgłosem. - Masz w oczach ten sam blask.

- Moje oczy wcale nie błyszczą - zaproponowała bez przekonania.

- Błyszczą jak robaczki świętojańskie w nocy. Ucałował jej powieki z niewysłowioną czułością.

Gretchen poczuła, że ciało wymyka się jej spod kontroli. Przywarło do Cliffa, zdradzając kobiece tajemnice. Przyjął ten dar z wdzięcznością. Objął ją mocno i przesunął dłonią po policzku, szyi i niżej, aż do krągłej piersi. Jęknęła i zadygotała.

- Mój miłośniku natury - szepnęła, oplatając go ramionami.

- Mam na imię Cliff - szepnął tuż przy jej uchu.

- Nazwij mnie tak, Gretchen. Jesteśmy realnymi ludźmi, tu i teraz. Powiedz: Cliff.

Tu i teraz...? Otworzyła oczy. Niestety, nie leżała na łące nad jeziorem. Była na plaży, ona, realnie istniejąca Gretchen Sprague, która nie życzyła sobie żadnych cudownych chwil z Cliffem Powellem.

- Nie - zaprotestowała, odwracając wzrok od hipnotycznej siły jego oczu. - Cliff, proszę, nie rób mi tego.

Z trudem złapał oddech. Chwycił podbródek Gretchen i skierował jej twarz ku sobie.

- Czego nie robisz? - Nachmurzył się, zawiedziony.

- Nie pragniesz tego, co właśnie robimy?

Przestraszyła się, że wybuchnie gniewem.

- Nie. Nie chcę seksu z tobą, Cliff.

- Co tu się, do diabła, dzieje? Nie rozumiem cię, Gretchen. Na litość boską, wyjaśnij mi! Nie jesteś przecież płochliwą dziewczyną, bądźmy szczerzy!

- Nie - szepnęła, odsuwając jego ręce - ale nie wiesz, kim jestem.

- Powiedz mi zatem - domagał się gorzkim tonem. - Bezskutecznie usiłuję cię rozgryźć. Pomóż mi. Czy chodzi o to, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry? Nie spełniam twoich wysokich oczekiwań? Ale na szlaku, kiedy nie było nikogo innego w pobliżu, odpowiadałem ci! Tak?

Gretchen wpadła we wściekłość. Wymierzyła Cliffowi policzek. Cofnął się, zaskoczony, a ona wstała błyskawicznie i pobięła przed siebie. W niecałą minutę dopadł ją i powalił na plecy. Próbowwała się wyrwać, lecz zdecydowanym ruchem przyparł jej ramiona do piasku.

- Powiedz - szepnął łagodnie - powiedz, proszę, G.S., kim jesteś?

- Już wiesz. Kobietą nie marnującą żadnej okazji zabawienia się. Ale cóż to ma za znaczenie?

Począł, aż się trochę uspokoi, i rozluźnił uścisk.

- Gretchen, Gretchen... Nie przyjechałem tu, żeby z tobą walczyć.

- Wiem.

Westchnęła. Nic dziwnego, że Cliff był zdezorientowany. Przed paroma minutami płonęła z pożądania, przeniesiona w krainę fantazji. Rzeczywistość jednak okazała się silniejsza i brutalnie ściągnęła ją na ziemię. Z zewnątrz wyglądało to natomiast, jak gdyby grała z nim w kotka i myszkę.



Cliff podniósł się i pomógł wstać Gretchen. Wrócili po rzeczy. Bez słowa pozbiali naczynia, zwinęli prześcieradło. Kiedy szli do domu, myśli kłębiły się jej w głowie. Czy Cliff przypuszczał, że wszystko odbędzie się tak jak na polanie? Czy naprawdę sądził, że oddała mu się wtedy tylko z braku innego mężczyzny w okolicy?

A jeśli nawet miał lepsze zdanie na jej temat, cóż jej zaproponował? Zbliżenie fizyczne. Ugaszenie ognia żądz w jej ciele. Nic więcej. Gretchen to nie wystarczało. I nigdy nie będzie wystarczało. Nie mogła zaś prosić o więcej.

Stanęli ramię w ramię przy zlewku kuchennym. Ona zmywała talerze i szklanki, on je wycierał. Słońce już zaszło i wnętrze kuchni tonęło w mroku.

Cliff położył dłoń na ramieniu Gretchen i odwrócił ją ku sobie.

- Gretchen - odezwał się półgłosem - proszę, powiedz, czy zrobiłem coś nie tak?

- Nie.

- Czy postradałem zmysły? Czy uroiłem sobie to, co wtedy zaszło między nami?

- Nie, Cliff - westchnęła z bólem - ale minęło trochę czasu, zmieniła się sytuacja... Nie, nie byłam wobec ciebie nieuczciwa. Masz prawo snuć różne przypuszczenia na mój temat, ale... po prostu nie mogę.

- Z przykrością dostrzegła rozczarowanie na jego twarzy. - Może lepiej już idź.

Milczał przez chwilę.

- Teraz pójdę, ale wrócę tu jutro - odparł zdecydowanie.

Jakże miała z nim walczyć? Jakże miała walczyć z samą sobą? Bez względu na podszepty zdrowego rozsądku, ciało Gretchen było posłuszne woli Cliffa i on na pewno to czuł. Skorzystał z okazji na szlaku i mógł to znów zrobić.

- Jak długo zamierzasz zostać w New Haven?- spytała drżącym głosem.

- Ile będzie trzeba

Tak więc jej los był przesądzony. Cóż za różnica, kiedy Cliff osiągnie swój cel? Prędej czy później mu ulegnie.

Chwyła go za rękę i poprowadziła przez salon do sypialni.

- Załatwmy to jak najszybciej. A potem idź sobie wreszcie.

Cliff znieruchomiał na progu.

- Gretchen, co się z tobą dzieje?! - wybuchnął. Nogi się pod nią ugięły. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Jeśli tego chcesz, jeśli po to przyjechałeś, to bierz - szepnęła, podchodząc do materaca. - Nie pokonam cię, Cliff. Nie walczmy. Weź, czego pragniesz, i idź sobie.

Padła na materac i zakryła twarz dłońmi. Cliff, zdumiony, lecz wcale nie przerażony, nie ruszał się z miejsca. Patrzył na nią z dziwnym blaskiem w oczach. Po chwili wyszedł.

## ROZDZIAŁ 8

Odszedł. Po jej wczorajszym zachowaniu nie mógł postąpić inaczej. Gretchen wyglądała przez okno. Promienie porannego słońca wpadały do środka. Miała na sobie cienką koszulę nocną, lecz nie czuła chłodu. Nie spała przez całą noc.

Wiedziała, że odszedł. Poprzedniego wieczora postąpiła jak wariatka. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby Cliff przyjął jej szaleńczą propozycję.

Musiała jednak przyznać, że to do niego nie pasowało. Nie przestąpiłby progu jej sypialni. Nie wykorzystałby chwilowej słabości kobiety. Znalazł jedyne słuszne rozwiązanie: odszedł. Zostawił ją w spokoju i wyjechał z New Haven.

Zerknęła na budzik, stojący na podłodze. Po dziesiątej. Przeciągnęła się i bosą, w koszuli podeszła do drzwi wejściowych, aby zabrać poranną gazetę. Ziewając, otworzyła i... zamarła z wrażenia.

Na schodkach siedział Cliff i czytał wiadomości sportowe. Część gazety odłożył na bok. Widocznie lekturę pozostałych stron miał już za sobą. Podniósł wzrok.

- Dzień dobry, G.S.!

- O Boże - wykrzyknęła - co ty tu robisz?

Złożył gazetę i wstał. Wszedł do domu i natychmiast skierował się do kuchni. Otworzył lodówkę.

- Umieram z głodu - obwieścił. - Dobrze, że już wstałaś. Co się stało? Połknęłaś wieczorem końską dawkę aspiryny?

Przyznała w duchu, że aspiryna to dobry pomysł. Cliff, ubrany w obciste dżinsy i białą koszulę, przeglądał zawartość lodówki. Wyjął pomarańczę i obrał ją starannie nad koszem na śmieci.

- Czyżbym cię zapraszała? Czy pozwoliłam ci wziąć pomarańczę?

- Daj spokój, G.S. - powiedział z niesmakiem.

- Daj spokój! Rozluźnij się! Odpręż! Dzięki twoim dobrym radom zmienię osobowość!

- W takim razie mogłabyś też zaparzyć kawę. Podzielił pomarańczę na cząstki i podał jej jedną. Gretchen postanowiła zachować spokój. Zmieniła filtr w ekspresie do kawy, nalała wody do zbiornika. Z rękami założonymi na piersiach patrzyła na Cliffa, jedzącego pomarańczę.

- Mam pewne plany na dziś, więc musisz iść.

- Jakie plany? - spytał z uśmiechem. - Prywatka w koszuli nocnej?

Gretchen jak burza pognała do sypialni i włożyła szlafrok. Nie zważała na upał. Chciała tylko zakryć się przed wzrokiem nieproszonego gościa.

Tymczasem Cliff nasypał płatków kukurydzianych do dwóch misek.

- Może wolisz omlet? Znam restaurację, do której mógłbyś pójść na śniadanie - stwierdziła ironicznie.

- Wolę twoje towarzystwo - uciął dyskusję. Wlał mleko i zaniósł miski do salonu. Podążyła za nim bez przekonania. Usiedli na poduszkach i jedli w ciszy. Cliff postawił pustą miszkę na podłodze.

- Myślałem, że zaczniemy wszystko od początku, Gretchen.

- Co zaczniemy?

- Jedno z nas popełniło błąd. A może oboje. Pomóż mi to rozstrzygnąć. Ja jestem winien?

Gretchen utkwiała wzrok w pejzażu za oknem.

- Nie. To ja jestem winna.

- Na czym polegał twój błąd?

- Pozwoliłam ci... Dałam... - Przełknęła ślinę i zebrała się na odwagę. Spojrzała na Cliffa. - Nie wiem, jakie wyciągnąłeś wnioski z mojego zachowania... Nie winię cię za błędne mniemanie na temat mojej osoby, naprawdę, ale...

- Co to za pokrętna gadanina? - przerwał jej niecierpliwie. - Nie umiesz mówić po ludzku?

Odetchnęła głęboko i spróbowała ułożyć jedno pełne zdanie.

- Czy wszystkie kobiety w Nowym Jorku są zajęte? Wydawał się zdziwiony jej pytaniem.

- Mnie nie interesują wszystkie kobiety Nowego Jorku. Jestem zainteresowany wyłącznie tobą.

- Dlaczego? - zirytowała się Gretchen. Popatrzył na jej szczerą twarz, błyszczące gniewnie

oczy, zaciśnięte usta. Odezwał się cicho, z powagą:

- Kobieta tak odważna i niezależna, że wyrusza sama w leśną głuszę. Kobieta tak silna, że oburza się, kiedy proponuję poniesienie jej bagażu. Kobieta, która pisuje wierszyki w wiatkach turystycznych. Gretchen, nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego. Dlaczego uparłaś się mnie odpychać?

Zamknęła oczy. Cliff chyba wiedział, co mówi. Jej poczucie winy wcale jednak nie zniknęło. Pomyślał, że jest niezwykłą, kiedy się spotkali. A co ona pomyślała? Spostrzegła w nim jedynie silnego samca, zaś w ich romansie - tylko stronę fizyczne. Chciała znaleźć swobodę i zapomnienie.

Jak mu wyjaśnić, kim jest naprawdę i jakie wyznaje zasady?

- Cliff, mężczyzna, z którym mieszkałam... - Westchnęła i wbiła wzrok w podłogę. - On był pierwszym mężczyzną, którego pokochałam.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. Co dalej?

Znów westchnęła. Nie zrozumiał. Bo i jakże?

- Był pierwszym mężczyzną, z którym spałam - wyznała bez ogródek. - Pierwszym. Ty byłeś drugim.

Oczy Cliffa pociemniały.

- Żartujesz.

- Nie żartuję.

- Mamy koniec dwudziestego wieku, Gretchen - przypomniał.

- Jestem staroświecka. Tak mawiał Jack. Staroświecka i nie z tej epoki. Wiem, że odniosłeś inne wrażenie na szlaku, ale prawda wygląda właśnie tak.

Zamyślił się.

- Sądząc z twojego zachowania w lesie...

- Wiem, wiem. Zachowywałam się jak kobieta szukająca przygód i rozrywki. Zresztą, sam mi to wczoraj wypomniałeś.

- Trochę się broniłaś.

- Ale nie bardzo. Gdybym była nowoczesną kobietą, pewnie kochałabym się z tobą już pierwszego dnia.

- Jeśli sobie przypominam, to ja zadbałem, aby sprawy nie zaszły za daleko już pierwszego dnia.

Gretchen kiwnęła głową. Tak, Cliff się wycofał, a ona była tym rozczarowana.

- Wiem - stwierdziła zduszonym głosem. - Nie chciałam zdradzić ci imienia, żeby zupełnie odciąć się od swojej wstydlivej, pruderyjnej osobowości. Pragnęłam cię, Cliff. Od samego początku. To całkiem do mnie niepodobne, lecz pragnęłam cię.

Łza spłynęła po jej policzku. Odwróciła się, zakłopotana. Cliff, pogrążony w myślach, podrapał się po brodzie.

- No tak. Byłem drugim mężczyzną w twoim życiu i pragnęłam mnie.

- Wtedy cię pragnęłam - podkreśliła. - Byłam wtedy kimś innym, Cliff.

- I miałaś mnie.

- Tak - szepnęła. - Mieliśmy siebie.

- Czy zawiodłem cię, Gretchen? - spytał łagodnie.

- Zawiodłeś?

- Nie masz doświadczenia. Może oczekiwałaś czegoś innego? Może cię zawiodłem?

- Ależ nie, oczywiście, że nie. Tylko że... pojawiłeś się tutaj z nadzieją na więcej... Cliff, nie należę do kobiet, które lekko traktują te sprawy.

- Wcale tak cię nie oceniam. Muszę przyznać, że uznałem cię za kobietę nieco bardziej... doświadczoną - starannie dobierał słowa. - Ale nigdy nie sądziłem, że jesteś... łatwa.

- Naprawdę?

- Zapewniam cię. - Pochylił się i spojrzał jej prosto w oczy. - Gretchen, przeżyliśmy w lesie coś tak wspaniałego, że nie mogłem pozwolić, aby to się skończyło. Dlatego przyjechałem tu w ślad za tobą.

Potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

- Taki mężczyzna jak ty, Cliff, ma z pewnością kobiet na pęczki. Czemu tak się przywiązałeś do leśnych wspomnień?

- Wolę chodzić z plecakiem, niż uganiać się za kobietami i zaliczać je po kolei - odparł szczerze.

- Cóż to ma wspólnego z nami?

Gretchen po raz kolejny westchnęła. Dlaczego wszystko układało się nie po jej myśli? Dlaczego on tak wszystko skomplikował?

- Jesteś o wiele bardziej... obyty niż ja. Powinieneś wiedzieć, jak postąpić w takiej sytuacji. Ja nie wiem.

Wydawał się zaskoczony.

- Zazdrościsz mi mojego doświadczenia? Chciałabyś mówić o sobie, że kochałaś się z wieloma mężczyznami?

- Oczywiście, że nie - parsknęła, - Czemu mnie nie słuchasz, Cliff? Jack był pierwszy. I to dopiero, kiedy poprosił, żebym się do niego wprowadziła. Sądziłam, że... - zamknęła oczy i przełknęła ślinę - że się pobierzemy. Sądziłam, że łączy nas trwały związek.

- A potem zerwał z tobą?

- Chciał się spotykać także z innymi kobietami

- wyjaśniła ponuro.

- Ach, tak. - Cliff ważył każde słowo. - Trwały związek się rozpadł. Posłużyłem ci za pretekst do zemsty.

- Zemsty?

- Chciałaś się na nim odegrać, a może go odzyskać? Czy tak właśnie było?

- Nie. - Nerwowo związała róg szlafroka. - Nie użyłam cię jako narzędzia do odzyskania Jacka.

- A więc do jakich celów ci posłużyłem? - spytał chłodno.

- Nie posłużyłam się tobą do żadnych celów. To znaczy... Posłużyłam się - zaszlochała. - Myślałam, że jeśli przeżyję czysto fizyczne doznanie, bez uczuć, bez zobowiązań, to wyleczę się ze swoich staroświeckich uprzedzeń i przebrzmiałych zasad. Kiedy zakończyłam znajomość z Jackiem, czułam, że coś ze mną jest nie tak. Byłam zbyt zaborcza, spięta. Postanowiłam, że spróbuję czegoś nowego.

- Tak więc przeprowadziłaś na mnie eksperyment - podsumował Cliff z grymasem na twarzy.

- Tak - przyznała ledwie słyszalnym szeptem. Wyrzuty sumienia i wstyd nie pozwoliły jej spojrzeć Cliffowi prosto w oczy. - Pewnie mnie nienawidzisz. Postąpiłam w sposób niewybaczalny. Wiedziałam od razu, że nie powinnam sobie na to pozwalać, ale dopiero teraz zdałam sobie sprawę z przyczyn własnego zachowania.

Cliff siedział w milczeniu. Zastanawiał się nad sensem jej słów. Gretchen zadrżała. Zrozumiała, że nadużyła czyjogoś zaufania i sprawiła ból. Okazała się bezduszna, okrutna. Nic dziwnego, że wspomnienie leśnego romansu dręczyło ją od wielu tygodni.

Instynktownie wyciągnęła rękę i pogłaskała Cliffa po gładkim policzku.

- Bardzo cię przepraszam - szepnęła.

- Skrzywdzeni, rozgoryczeni ludzie czasem popełniają czyny, których wcale nie mieli zamiaru popełnić - odezwał się po dłuższej chwili. - Ten facet, Jack, skrzywdził cię, prawda?

- Przez niego czułam się jak przybysz z epoki średniowiecza. Do tego moja przyjaciółka Ruth... Myślałam, że powinnam w jakiś sposób pozbyć się wewnętrznego napięcia.

- Zamierzałaś wyjść za niego?

- Oczekiwałam, że zaproponuje mi małżeństwo. Wydawało mi się, że do tego zmierza nasz związek. Nigdy nie wprowadziłabym się do niego, gdybym nie nastawiała się na



trwały związek, oparty na wzajemnej wierności, bez żadnych skoków na boki. - Uśmiechnęła się gorzko. - Wziąwszy pod uwagę, jak to się skończyło, powinnam chyba dziękować Bogu, że się nie pobraliśmy.

- Wciąż go kochasz?

Jakżeby mogła kochać takiego drania jak Jack, skoro na świecie byli tacy mężczyźni jak Cliff?

- Nie - oznajmiła cicho, lecz stanowczo. - Już go nie kocham. Przestałam go kochać tego dnia, kiedy...

- Aż cisnęły jej się na usta słowa: kiedy spotkałam ciebie. - Tego dnia, kiedy wyruszyłam na wędrowną podróż z plecakiem.

Cliff wziął Gretchen za rękę. Przytulił ją, mocno otaczając ramieniem.

- Wiem, jak smakuje zawód miłośny - wyznał. - Raz sam się o mało nie ożeniłem.

- Naprawdę?

Spróbowała sobie wyobrazić miłośnika natury we fraku, stojącego przed ołtarzem u boku zapłonionej panny młodej. Roześmiała się. To zupełnie nie pasowało do kochającego wolność i przyrodę Cliffa.

- Zgadza się. Kiedy byłem w college'u. Zainteresowałem się pewną dziewczyną. Snuliśmy wspólne plany. Miałem zostać lekarzem, a ona panią doktorową.

- I co się stało?

Pograżał się we wspomnieniach. Dopiero po kilku minutach podjął opowieść.

- Znalazłem się w Wietnamie. Miałem wiele szczęścia, że wcielono mnie do służb medycznych. Marny byłby ze mnie żołnierz. - Znów przerwał i zamyślił się. - Widziałem rzeczy, o jakich się nie śniło ludziom wiodącym bezpieczne życie w Ameryce. Nauczyłem się, co to znaczy przeżyć. Budzić się z radosnym odkryciem: jeszcze żyję! Człowiek czuje się w takiej chwili, jak gdyby wzlatywał do gwiazd. Dlatego uwielbiam

wędrować pieszo po odludnych okolicach. Jestem wtedy sam na sam ze wszechświatem. Czuję, że żyję.

- O, tak, rzeczywiście. - Gretchen rozumiała go doskonale. Po zerwaniu z Jackiem była jak ranny wojownik, który ocalał z bitwy. Podświadomość poradziła jej, aby wyruszyła na szlak i w kontakcie z przyrodą wyleczyła się ze świeżych ran. - A co się stało z twoją narzeczoną?

Cliff długo zwlekał z odpowiedzią. Powrót do wspomnień sprawiał mu ból.

- Jenny... nie była w stanie zrozumieć, przez co przeszedłem. Kiedy wróciłem z Wietnamu, sądziła, że jestem tym samym człowiekiem, z którym się żegnała. Sądziła, że pójde na studia medyczne, zajmę się wykładami, pracą w laboratoriach... A ja nie potrafiłem. Wiedziałem, że wkuwanie wiedzy w czterech ścianach nie da mi radości życia. Wiedziałem, że w pełni odczuję radość życia, gdy będę mógł maszerować pod gołym niebem lub kąpać się nago w górskim strumieniu. Rozumiesz, o co mi chodzi, Gretchen? Wiem, że rozumiesz. Widzę to w twoich oczach.

A więc dlatego ją odnalazł i przyjechał do New Haven. Zdobył się na szokującą szczerość.

Gretchen gorączkowo szukała tematu, który odciągnąłby Cliffa od analizy przykrych przeżyć.

- Mówiłeś, że pojechałeś do Nowego Jorku na studia - zaczęła inny wątek.

- Nie od razu. Przez dwa lata po prostu podróżowałem, dźwigając cały dobytek w plecaku. Wiodłem żywot włóczęgi. Nikt mnie nie rozumiał. Ani matka, ani ojczym, ani Jenny... Na pewno nie Jenny - podkreślił z goryczą w głosie. - Bo i jakże mogła mnie zrozumieć? Musiałem wciąż utwierdzać się w przekonaniu, że żyję. Nie: wegetuję, lecz: cieszę się życiem.

Odetchnął głęboko.

- Wylądowałem w Nowym Jorku, ponieważ akurat tam skończyły mi się pieniądze. Znalazłem pracę, poznałem nowych

przyjaciół i postanowiłem zostać. Przez długi czas w ogóle nie ruszałem się z miasta. Musiałem na nowo nauczyć się funkcjonowania w cywilizowanej rzeczywistości. - Zanurzył palce we włosy Gretchen. - Jenny i ja próbowaliśmy wszystko naprawić, ale nie udało się. Zbyt daleko odeszliśmy od siebie. To przykre, G.S., lecz tak właśnie się stało. Pracowałem w sklepie z artykułami sportowymi. Doszedłem do wniosku, że poprowadziłbym sklep lepiej niż jego właściciel. Tak więc skończyłem studia handlowe i zacząłem działać na swój rachunek. Ot i reszta historii.

Nie przestawał pieścić jej włosów.

- Dobrze mi się powodzi - stwierdził. - Nie mam powodów do narzekań. Czasem jednak, kiedy nie jestem pewny, czy nadać cieszę się życiem, znów wyruszam na szlak. Idę, dźwigam swój ciężar i odnajduję radość życia.

Musnął ustami włosy Gretchen.

- Pewnego razu - szepnął - miałem wielkie szczęście. Spotkałem kobietę, która tak jak ja zapuściła się w leśną głąszkę, aby sprawdzić, czy życie jeszcze sprawia jej radość. To było niesamowite. Może nawet wykorzystałaś mnie, ale to zaledwie część prawdy. Między nami zaszło coś o wiele ważniejszego.

- Tak. O wiele ważniejszego - powtórzyła jak echo.

- Dlatego tu jestem.

- No tak.

Nic nie zostało do dodania. Siedzieli przytuleni w promieniach słońca, oświetlających pokój. Czas stanął w miejscu. Liczyli się tylko oni dwoje. Gretchen i miłośnik natury, poeta duszy, Cliff Powell. Tu i teraz, w realnym świecie.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Cliff niechętnie wypuścił ją z objęć. W pierwszym odruchu Gretchen postanowiła nie otwierać, ale ktoś czekający przy wejściu nie dawał za wygraną. Wprawdzie nie wiedziała, ile godzin przesiedzieli na podłodze, lecz kiedy się podniosła, nogi i kark miała zupełnie sztywne.

Podeszła do drzwi i otworzyła. Na progu stała Ruth, ubrana w eleganckie, drogie džinsy, różową koronkową bluzkę i pantofle na szpilkach. Twarz pokrywał staranny makijaż, zaś szyję zdobiło kilka srebrnych łańcuszków.

- Cześć, Gretch - rzuciła i natychmiast wkroczyła do domu. - Wiem, że przyszłam za wcześnie, ale jeśli zrobisz mi filiżankę kawy, opowiem ci o fantastycznym facecie, którego spotkałam w piątek w klubie „Toad's Place”. Dziewiętnastolatek! Wiesz, po dwudziestce mężczyźni zaczynają tracić klasę...

Trajkotała bez opamiętania. Nagle spostrzegła Cliffa, który wynurzył się z salonu. Gretchen uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Ruth, to jest Cliff Powell. Cliff, to moja najlepsza przyjaciółka, Ruth Lawrence.

Cliff uściśnął dłoń przybyłej.

- Bardzo mi przyjemnie. Czy to prawda, że mężczyźni po dwudziestce tracą klasę?

- Jestem pewna, że istnieją wyjątki od tej reguły - bąknęła Ruth niepewnie.

Popatrzyła zaintrygowana na Gretchen, oczekując wyjaśnienia.

Gretchen nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. W obecności Ruth zawsze czuła się trochę onieśmielona. Postanowiła więc wysunąć przyjaciółkę na pierwszy plan.

- Ruth, wejdź do salonu i opowiedz o tym nastolatku, którego poderwałaś.

- Nie chciałabym przeszkadzać...

- W niczym nie przeszkadzasz - zapewnił Cliff. Pozbierał naczynia po śniadaniu i zaniósł je do kuchni. Po chwili Gretchen usłyszała szum wody w zlewie. Zmywał talerze!

- Kim on jest? - spytała szeptem Ruth. - Co się tu dzieje? Poznałaś go w piątek?

- To długa historia - westchnęła Gretchen. - Nie mam teraz nastroju do opowiadania.

- Wyobrażam sobie. - Ruth posłała jej złośliwy uśmieszek. - Boże, ale facet! Nieważne, ile ma lat. I tak jest w kwiecie wieku. Co za klasa!

- Ruth, proszę cię! - przerwała jej Gretchen. Czuła, że powinna stanąć w obronie Cliffa. Nie chciała, aby padł ofiarą pieprzonych dowcipów. Powell dołączył do rozmawiających w salonie kobiet.

- Może poszłabyś się ubrać, Gretchen? - zaproponował. - Zrobię twojej przyjaciółce kawę, a ona opowie mi o swoim młodzieńcu i jego niepowtarzalnej klasie.

Ruth oblała się rumieńcem. Nigdy przedtem Gretchen nie widziała jej czerwonej z zakłopotania. Zadowolona, poszła do łazienki.

Nie spieszyła się z kąpielą. Starannie umyła włosy szamponem, chociaż myła je przecież poprzedniego dnia. Wtarła w skórę pachnący olejek. Nagle stwierdziła, że zależy jej na jak najlepszym wyglądzie ze względu na Cliffa.

W sypialni wysuszyła włosy suszarką. Kasztanowe miękkie fale spływały luźno na ramiona. Założyła obcisłą bluzeczkę i kwiecistą spódnicę. Podkreśliła oczy cieniem do powiek. Musnęła różem policzki.

Kiedy wróciła do salonu, Ruth i Cliff siedzieli na podłodze, chichocząc jak starzy znajomi.

- Zrobiłem cały dzbanek kawy, Gretchen. Nalej sobie w kuchni filiżankę.

Dołączyła do nich po chwili. Cliff wskazał poduszkę leżącą obok niego, tam więc usiadła. Natychmiast otoczył ją ramieniem.

Ruth uniosła brwi i z aprobatą uśmiechnęła się do przyjaciółki.

To wszystko było jak sen. Przytulona do Cliffa, we własnym domu, piła kawę. A przedtem - cudowne chwile na leśnej polanie. A może tak właśnie wygląda rzeczywistość? Może bliskość Cliffa zamieniała rzeczywistość w sen?

- Cliff powiedział, że poznałaś go podczas wędrowki. Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałaś?

- Ponieważ... - Gretchen przygryzła wargę-ponieważ nie przyszło mi to do głowy.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Ruth. - Zapomniałaś o takim facecie?!

Cliff usprawiedliwił ją z uśmiechem.

- Chyba zgubiłem się w mrokach jej pamięci.

- Dosyć! - Gretchen energicznie zmieniała temat. - Opowiedz nam o piątkowej wyprawie po skarby.

- O, przepraszam - obrazila się Ruth. - Działałam w majestacie prawa. Niczego nie zrabowałam, a skarb sam wpadł mi w ręce. On jest mechanikiem. Rzucił studia i uczy się w szkole mechaniki samochodowej.

Ruth relacjonowała szczegóły najnowszego romansu z rozbrajającą szczerością. W wielu sprawach była podobna do Powella. Oboje zachowywali się swobodnie. Kochali życie. Robili, co chcieli. Brali to, co chcieli i kogo chcieli. Gdyby młodzienaszek Ruth zapragnął nagle samotnej wędrowki, ona pobiegłaby za nim dziesiątki kilometrów, tak jak Cliff poszedł w ślad za autorką wierszyków o pogodzie.

- Dosyć już opowieści o moim życiu miłosnym -obwieściła wreszcie Ruth. Spojrzała na zegarek i zerwała się na nogi. - Już po drugiej! Nie wiem, Gretchen, czy jesteś nadal zainteresowana przyjęciem u Witherspoonów. Mówiłam Jeffowi, że przyjdiesz, ale... - Spojrzała znacząco na Cliffa. - Przyjęcie ma, oczywiście, charakter otwarty, i jeśli Cliff zechce na nie pójść, będzie z pewnością serdecznie powitany.

Wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

Gretchen poczuła się lekko rozczarowana. Miała nadzieję, że Cliff odmówi i spędzi z nią całe popołudnie. Chciała po prostu posiedzieć i pomilczeć razem, tak jak rano. Ale nie mogli

zatrzymać wskazówek zegara ani cofnąć biegu czasu aż do chwili kąpieli wśród rumianków, unoszących się na wodzie.

- Pojedziemy za Ruth moim samochodem - zaproponował, kiedy wyszli przed dom.

Ruth westchnęła z zazdrością na widok eleganckiego auta i wsiadła do swojej dwumiejscowej sportowej corvetty. Ruszyła z takim impetem, że zadrzały płyty chodnika pod stopami. Cliff uniósł brwi z żartobliwą dezaprobatą.

- Czy Ruth cię zaszokowała? - spytała Gretchen, kiedy ruszyli.

Uśmiechnął się, zdziwiony.

- Zaszokowała?

- Robi się niemożliwa, kiedy zaczyna mówić o mężczyznach.

- Myślę, że jest świetna.

Poczuła irracjonalny przypływ zazdrości, lecz natychmiast się opanowała. Jakże mogła sobie rościć jakiegokolwiek prawa do Cliffa? Czyżby miała popełnić ten sam błąd co z Jackiem? Czy znów zamierzała żądać zdeklarowania się, złożenia podpisu na małżeńskim cyrografie?

Cliff zwierzył jej się rano z przeżyć osobistych, o jakich nigdy nie rozmawiała z Jackiem. Powinna być mu wdzięczna za okazane zaufanie.

- Nie jesteście specjalnie podobne do siebie, prawda?

- Cóż... - Gretchen parsknęła śmiechem - chyba nie. Ale podziwiam ją. Jest taka... - szukała słowa - wyzwolona. Chciałabym być bardziej do niej podobna.

- Idziesz w dobrą stronę - zauważył. - Jak doszło do tego, że zostaliście przyjaciółkami?

- Kiedy przyjechałam do New Haven, zostałyśmy sąsiadkami z jednego korytarza. Zbliżyła nas wspólna akcja przeciwko właścicielowi domu, który zwlekał z naprawami instalacji w łazienkach. Okazało się, że mamy podobne zainteresowania.

- Z pewnością nie należy do nich turystyka piesza - stwierdził.

- Ruth użyła określenia: „brudna rozrywka”. Powiedziałem jej

na to, że dbaliśmy o czystość, pływając nago w górskich jeziorach.

- Naprawdę tak jej powiedziałeś?. Zmierzył ją wzrokiem.

- Przecież nie kłamałem, kobieto pierwotna. Po co to ukrywać?

Ponieważ nigdy przedtem nie pływała z mężczyzną nago w górskim jeziorze. Ponieważ w ogóle nigdy nie pływała nago. Gretchen ogarnęło zakłopotanie.

Cliff nie mylił się. Powoli stawała się coraz swobodniejsza. Porzucała przesady i zahamowania. Przecież nie mogła się zadrećzać tylko dlatego, że opowiedział jej najlepszej przyjaciółce o wspólnej kąpieli.

Jechali na północ, do Woodbridge, tuż za ryczącą corvetta Ruth, która w pewnym momencie skręciła na długi podjazd, pełen parkujących samochodów. Na jego końcu stał masywny dom z cegły. Wokół rosły drzewa owocowe i rododendrony.

- Kim są ci ludzie? - szepnął Cliff, kiedy ruszyli za Ruth do wejścia. - Twój przyjaciele?

- Większość z nich to współpracownicy Ruth - odparła Gretchen. - Bankierzy, finansiści...

- Czy to znaczy, że muszę zaprezentować nienaganne manieri?

- Za domem jest niewielki staw. Będę wdzięczna, jeśli nie ściągniesz ubrania i nie wskoczysz do wody - poprosiła.

Roześmiał się, ubawiony.

Obeszli dom. Po patio i przyległym doń wypielegnowanym trawniku spacerowało co najmniej dwadzieścia pięć osób. Po jednej stronie patio urządzono bar, po przeciwnej natomiast ustawiono rożen. Jeff Witherspoon, siwowłosa mężczyzna po pięćdziesiątce, ze szklanką rumu w dłoni, pospieszył na powitanie nowo przybyłych gości.

- A, Gretchen! - Cmoknął ją w policzek. - Nie widziałem cię od... chyba od przyjęcia bożonarodzeniowego u Ruth.



- To już tyle czasu? Jeff. chciałabym ci przedstawić Cliffa Powella.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Gospodarz wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Cóż, moi drodzy, zapraszam na drinki do baru. Widzę, że Ruth już tam jest. Nawet się nie przywitała! Ponieważ widujemy się codziennie w pracy, więc chyba jej wybaczę.

Po drodze do baru zatrzymywali ich różni znajomi Gretchen, którym musiała przedstawiać Cliffa. Wreszcie osiągnęli cel. Cliff wziął dwie butelki piwa, otworzył je i odciągnął Gretchen na bok.

- G.S., czy mi się wydaje, czy ci wszyscy ludzie gapią się na mnie?

Błysnęła zębami w uśmiechu.

- Gapią się na ciebie, to jasne - potwierdziła.

- Dlaczego?

Powoli sączyła schłodzone piwo.

- Dziwią się, że przyszedłam w twoim towarzystwie. Dość długo byłam z Jackiem i pojawialiśmy się razem na wielu przyjęciach.

- Tak go lubili? Przecież nie wkroczyłem tu z odbezpieczoną spluwą.

Popołudniowe słońce oświetliło jego opaloną, przystojną twarz. Gretchen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Jestem z tobą. Uśmiechnął się szeroko.

- Postaram się nie przynieść ci wstydu.

Cliff oszołomił ją swoją zdolnością nawiązywania kontaktów. Swobodnie gawędził z nieznanymi.

Rozmawiał i o rezerwach finansowych banków, i o krachu na giełdzie.

Jakże się myliła co do niego! Oceniała go na podstawie fizycznego wyglądu, cielesnego piękna. Może tak było wygodniej z jej punktu widzenia? Może nie chciała przyznać, że potrafi go pokochać?

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym lepiej rozumiała własne uczucia. Zakochała się w nim. Kochała go za jego dobroć, wrażliwość, wyrozumiałość. Kochała go za to, że się do niej nie zraził i że ją odnalazł. Opiekował się nią na szlaku. Był wspaniałym towarzyszem i prawdziwym przyjacielem. I kochał się z nią tak delikatnie, czule...

Odkryła bolesną prawdę: kochała Cliffa od początku. Broniła się przed tą miłością instynktownie. Wmawiała sobie, że pragnie zasmakować seksu bez uczucia. Udowodniła natomiast coś wręcz przeciwnego. Oddała się Cliffowi, mimo że nie знаła jego imienia. Chociaż nic o nim nie wiedziała, pokochała go.

Obserwowała go z podziwem i przyjemnością. Promieniał czarem i wdziękiem. Dyskutował i o gospodarce i najlepszych gatunkach win. Wreszcie dołączył do Gretchen.

- Gdzie ten staw? Chciałbym się ochłodzić. Uśmiechnęła się i odstawiła piwo. Wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę ogródka skalnego. Wąska ścieżka wiodła do małego stawu, w którym pluśkały się rybki.

- Biedactwa - mruknął Cliff. - Płyną w jedną stronę, zawracają i płyną z powrotem.

- Zawsze to lepsze niż akwarium. W każdym razie większe.

- Ale co to za życie!

Wsunął dłoń pod jej włosy i pogłaskał kciukiem kark. Gretchen westchnęła i zadrżała. Zareagował każdy mięsień, każdy nerw jej ciała.

Kochała go i już nie chciała odtrącić. Przywarła do niego mocno, przytuliła policzek do szerokiej męskiej piersi. Wydawał się mile zaskoczony tym wybuchem czułości.

- A co to się stało? - spytał cicho.

- Cliff, może pójdziemy?

- To zależy od ciebie, Gretchen. Chcesz iść?

- Chcę.

- Dobrze.

Wziął ją pod ramię i przeszli do patio. Gretchen zastanawiała się, czy wszyscy goście dostrzegają ogień trawiący jej ciało i błyszczący wzrok.

Pożegnali gospodarzy. Dziewczyna dodała w duchu podziękowanie dla Ruth za to, że powstrzymała się od dowcipów na temat tego, dokąd i po co tak szybko wychodzą.

Na podjeździe Cliff zatrzymał się i spojrzał Gretchen prosto w oczy.

- Czy wiesz, co robisz, G.S.? Czy nie zamierzasz mnie znów wodzić za nos?

- Nie - przyrzekła.

- I nie uderzysz mnie w twarz? Nie wylejesz na mnie kawy?

- Zapewniam cię, że nawet nie mam przy sobie noża.

- W porządku, kobieto pierwotna. Wsiedli do samochodu.

## ROZDZIAŁ 9

Gałęzie drzew pokryte bujnym listowiem tworzyły baldachim nad szosą. Wiał lekki wiatr, przesycony zapachem trawy i morza. Wreszcie dotarli do domu Gretchen.

Ledwie wysiedli z samochodu, otoczył ją ramionami i obsypał pocałunkami jej włosy.

- Powiedz, że to nie sen, G.S. - szepnął. - Tak bardzo cię pragnę.

- Ja też cię pragnę.

Czy czytał miłość z jej oczu, warg, oddechu? Odpowiedział na to nieme pytanie gorącym pocałunkiem. Objęci, uśmiechnięci wkroczyli do domu.

Przez otwarte okna wpadało świeże, morskie powietrze. Udali się prosto do sypialni. Gretchen pamiętała swoje zachowanie poprzedniego wieczora, kiedy, zmęczona, chciała się poddać. Cliff nie przyjął wymuszonego daru. Proponowała mu przecież tylko ciało. Dziś dawała wszystko. Ciało i duszę.

Odgarnął włosy z twarzy Gretchen i znów ją pocałował, niespiesznie wędrując ustami centymetr za centymetrem po szyi, policzku, uchu.

- Cliff - jęknęła, kurczowo chwytając się jego koszuli.

- Moja wspańska kobieto pierwotna - szepnął, sięgając do guzików bluzki. Zaskoczył go fakt, że nie nosiła biustonosza. Pożądliwie patrzył na jędrne półkule piersi i twardniejące brodawki.

Pochylił się i musnął językiem różowy sutek. Gretchen zamknęła oczy. Nie broniła się przed falą pożądania. Ugięły się pod nią kolana.

- Istniejesz naprawdę - odezwał się półgłosem, rozpinając jej spódnice. - Bywały chwile, kiedy myślałem, że istniejesz tylko w mojej wyobraźni, Gretchen. Ale tak mi się tylko wydawało, prawda?

- Tak. Ja istnieję naprawdę.

Spódnica opadła na podłogę, a za nią - majteczki i bluzka. Mężczyzna cofnął się i oglądał ją w milczeniu. Nie czuła wstydu, bo i dlaczego? Kochała Cliffa i chciała okazać mu miłość.

Palce Gretchen powędrowały do guzików męskiej koszuli. Rozpięła je. Dotknęła miękkiego owłosienia na piersi. Powróciły wspomnienia. Las, jezioro... Ale odsunęła je. Liczyło się tu i teraz.

Pogładziła brodawki mężczyzny i sprężysty, płaski brzuch. Rozpięła pasek spodni, suwak. Stał przed nią realny, nie wymyślony, król lasu, wcielenie naturalnego piękna. Objął ją mocno i pocałował namiętnie. Wzdychając, powtarzała jego imię.

Położyli się na materacu. Cliff wargami poznawał jej skórę, całując ramiona, ręce, szyję, piersi. Rozpalił w niej żądzę. Zaczarował ją. Posiadł nad nią władzę absolutną.

Uniósł głowę i wyczytał w jej oczach, że pragnie go całego, do wspólnego osiągnięcia rozkoszy.

Zanurzył dłoń we włosy dziewczyny i ułożył je na kształt pachnącej aureoli wokół głowy.

- Nie mam dla ciebie kwiatów - przeprosił cicho.

- Nie potrzebuję kwiatów. Uśmiechnął się.

- Racja, kobieto pierwotna. Nie potrzebujesz.

- Mów do mnie: Gretchen - szepnęła w uniesieniu. - Jesteśmy realnymi ludźmi. Mamy imiona.

- Gretchen - powtórzył, jak gdyby odmawiał modlitwę. - Gretchen.

Wsunął udo między jej nogi. Uklęknął.

- Ogotowałaś nogi - zauważył.

- Mówiłam ci na szlaku, że gotę nogi - przypomniała, gładząc go po policzku. - Ty też się ogoliłeś.

- Ale nóg nie ruszałem! - roześmiał się. Nagle spowaźniał.

- Masz piękne nogi. Nogi biegacza, silne i zgrabne...

Musnął ustami kolano Gretchen, a potem zaczął pieścić językiem wnętrze ud. Jeszcze nikt jej w ten sposób nie całował. Zareagowała gwałtownie, szaleńczo. Był na niej, w niej, coraz głębiej.

W szczytowym momencie z jej piersi wydarł się szloch swobody, ulgi.

- Cliff!

Powoli otworzyła oczy. Miała nad sobą twarz Cliffa. Patrzyły na nią błyszczące, zachwycone oczy. Podniosła dłoń, aby go pogłaskać. Chwycił jej palce i pocałował.

Położył się na plecach. Jedno ramię podsunął pod głowę Gretchen. Wiatr, który wiał przez otwarte okno, przyjemnie chłodził ich ciała.

- Nie ma zasłon - zauważył. - Podoba mi się to. Gretchen zarumieniła się, zawstydzona.

- Chciałbyś urządzić przedstawienie dla moich sąsiadów?

Uśmiechnął się czule.

- Lubię budzić się i widzieć nad sobą niebo i słońce. Przecież wiesz. Po cóż zasłaniać okna, skoro można się budzić ze słońcem na twarzy?

- Romantyk - mruknęła w odpowiedzi. - Jesteś prawdziwym poetą, Cliff.

- Ja? Poetą? - zaśmiał się. - Mógłbym wyrecytować parę pieprznych wierszyków, ale...

Przytknęła koniuszki palców do ust mężczyzny, aby go uciszyć. Chciała mu powiedzieć, że jest poetą duszy, ale nie wiedziała, jak zrobić, aby nie zabrzmiało to sentymentalnie.

- Jesteś cudowny, miłośniku natury.

Z niekłamanym zadowoleniem przyjął komplement.

- Ty też jesteś niezła, G.S.!

Przytulił ją i zamyślił się. Wbił wzrok w sufit. Nie uśmiechał się już. Gretchen wsłuchiwała się w jego oddech. Obserwowała rytmiczne falowanie klatki piersiowej. Nagle Cliff przestał głaskać ją po włosach i oparł się na łokciu.

- To, co zaszło między nami... wiele dla ciebie znaczy, prawda?

Nie wiedziała, dlaczego zadał to pytanie, lecz odpowiedziała szczerze, żarliwie.

- Oczywiście, bardzo wiele.

Czekała, że Cliff coś doda. Milczał. Pragnęła sama spytać go, o czym myśli, co czuje. Chciała pytać i mówić o własnych odczuciach. A jednocześnie bała się.

Jack zarzucał jej upór i naiwność. Pewne sprawy trzeba ukryć, zataić. Każdy człowiek ma do tego prawo. Kiedy Cliff uzna za stosowne, podzieli się z nią swymi myślami. A kiedy ona uzna, że pora po temu, wyzna mu miłość.

Przez długą chwilę leżeli w ciszy, nieruchomo. Wtem Cliff pochylił się i pocałował ją. Zaczął pieścić jej ciało, tym razem powoli, delikatnie, cierpliwie czekając na przebudzenie kobiecości.

Dotykał piersi, gładkiego brzucha, krągłych bioder, zgrabnych kolan, jedwabistych włosów na łonie. Posiadał ją dłońmi, ustami, wreszcie całym ciałem.

Kiedy z krainy rozkoszy wrócili na ziemię, Gretchen, rozmarzona, przytuliła się mocno do Cliffa. Ciepło bijące od niego i błogi uśmiech były dowodem, że to nie sen, że ukochany istnieje naprawdę.

Nie rozmawiali. Po prostu leżeli razem na materacu. Wiatr przepojony zapachem morza chłodził ich rozpalone ciała. Zachodzące słońce rzucało różowy blask. Cliff usiadł i sięgnął po spodnie.

Gretchen wolałaby jeszcze poleżeć w jego objęciach, lecz wiedziała, że ta chwila nie może trwać wiecznie. Doszła do wniosku, że Cliff musi umierać z głodu. Sama była głodna.

- Co byś powiedział na kolację? - zaproponowała. Stał zamyślony przy oknie, ale słysząc pytanie Gretchen, odwrócił się, uśmiechnięty.

- Świetny pomysł.

Ubrali się i ruszyli do kuchni na poszukiwanie produktów, które nadawałyby się do zjedzenia. Gretchen znalazła w zamrażalniku pieczonego kurczaka. Włożyła go do kuchenki mikrofalowej. Szybko przyrządziła sałatkę, a Cliff zadbał o jej -doprawienie. Zanieśli talerze do salonu.

- Zamierzasz kiedyś umeblować ten pokój? - spytał, usadowiwszy się na poduszce.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba powinnam, ale... Czasami sędzę, że wolę jeść i spać na podłodze. To prawie jak na biwaku.

Cliff roześmiał się tak dźwięcznie i radośnie, że jego wesołość udzieliła się Gretchen. Zerknęła znad talerza. Czuła wręcz fizycznie, jak miłość do niego wypełnia każdą komórkę jej ciała.

Nie żywiła takich uczuć wobec Jacka. Dopiero teraz zrozumiała, że to co nazywali miłością, było zaledwie przywiązaniem. Zdecydowali się żyć pod jednym dachem i spędzać czas ze sobą, lecz to nie była miłość.

Miłość przeradza się w przywiązanie, lecz na odwrót - to chyba niemożliwe. Zbyt późno zdała sobie z tego sprawę. Nie wątpiła, że Jack ją lubił, i nadal lubi, ale trudno nazwać to uczucie miłością. Ona natomiast szukała w swych emocjach potwierdzenia i usprawiedliwienia dla faktu, że sypiali razem. Nie miało to nic wspólnego z radosną, wyzwalającą miłością do Cliffa.

Po kolacji zanieśli naczynia do kuchni. Gretchen zmywała, Cliff wycierał. Przypomniała sobie podobną chwilę na szlaku, nad strumieniem, kiedy zmywali po jedzeniu. Wyobrażała sobie wtedy, że znajdują się razem w jej domu, otoczeni magiczną aurą, tak jak w lesie. To był jedyny raz, kiedy dopuściła do siebie myśl, że się zakochała.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Było, minęło. Teraz kochała Cliffa na dobre i na złe, bez względu na miejsce, w którym akurat przebywali.



Kiedy doprowadzili kuchnię do porządku, Cliff wziął ją w ramiona i pocałował w czoło.

- Ciężko to wyznać, ale muszę już iść.

- Iść?

Gretchen nie brała pod uwagę możliwości nawet chwilowego rozstania.

Kiwnął głową ze smutkiem.

- Muszę wracać. Mam różne sprawy do załatwienia. Wiesz przecież, że prowadzę firmę.

- Ale... sądziłam... - Gretchen westchnęła i usiłowała się opanować. Co się z nią działo? Oczywiście że Cliff musiał wrócić do domu. Czegóż właściwie oczekiwała? - Rozumiem - oświadczyła sztucznie wesołym tonem, kryjąc rozczarowanie. - Cóż, czeka cię długa jazda.

- Nie taka długa - odrzekł. Znow musnął wargami jej czoło. Rozpromienił się. Szeroko uśmiechnięty, spojrzał na nią. - Jeśli będę tu mile witany, przyjadę niebawem.

- Na pewno będziesz mile witany - obiecała, czując, jak ogarnia ją smutek.

- Zadzwoń do ciebie.

Odprowadziła go do wyjścia. Długo trwał pożegnalny pocałunek na ganku. A potem Cliff szybkim krokiem podszedł do samochodu i odjechał.

Kiedy zielone auto zniknęło za rogiem, Gretchen niespiesznie zamknęła drzwi. Dom wydawał jej się teraz pusty. Zyskała jednak coś bardzo ważnego: miłość. Pomyślała, że nie będzie sama w czterech ścianach, czekając na powrót ukochanego.

W poniedziałek rano wstała z łóżka świeża i wypoczęta, zdumiona rozpierającą ją energią. Zjawiła się w biurze za kwadrans dziewiąta, gotowa zająć się raportem o zakładach chemicznych, przygotowywanym dla Jacka.

Z zadowoleniem spostrzegła, że w sobotę udało jej się wykonać lwią część pracy, co było sukcesem, zważywszy jej zdenerwowanie obecnością Cliffa. Raport jak gdyby sam się

napisał! Cyfry wskoczyły do odpowiednich rubryk, nowa trasa dojazdowa na miejsce budowy sama wytyczyła się na mapie. Wielkie stare drzewa mogły ocaleć. Wszystko było w absolutnym porządku.

Tuż po przerwie śniadaniowej zadzwonił Jack z pytaniem o stan raportu. Gretchen wyjaśniła, że po południu maszynistka przepisze tekst i jeśli Jack bardzo chce, podrzuci mu gotowy dokument po drodze do domu. Przyjął jej propozycję ze zdziwieniem i wdzięcznością.

O czwartej trzydzieści jedna z sekretarek przyniosła przepisany raport. Gretchen odłożyła kopie dla siebie i archiwum firmy. Wyszła z budynku i ruszyła w stronę biura Martella, które mieściło się w wysokim gmachu z brunatnego piaskowca, nad rzeką. Wspólnik Jacka, Harvey Benton, właśnie wychodził. Zmierzył wzrokiem zgrabną sylwetkę w wydekoltowanej bawełnianej sukience i uśmiechnął się, zaskoczony.

- Dzień dobry, piękna nieznajoma. Cóż cię sprowadza w nasze niskie progi?

Gretchen zawsze umiała radzić sobie z Harveyem, chociaż uważała go za wyniosłego obłudnika.

- Mam raport dla Jacka. Bardzo zależy mu na czasie, więc w ramach przysługi dostarczam dokument osobiście.

- Przysługi? - Ton głosu Harveya sugerował, że podejrzewa inne motywy. - Czy to znaczy, że znów się zesłiście?

Dziewczyna westchnęła.

- Nie ma po co sklejać rozbitego dzbana, Harvey. Przepraszam cię, ale robi się późno.

Skinęła mu głową na pożegnanie i weszła do budynku.

Sekretarka firmy Benton i Martell, siwiejąca, dostojna pani, wydawała się równie zdziwiona widokiem Gretchen, jak przedtem Harvey.

- Gretchen! - powitała ją, uśmiechając się ciepło. - Jak wspaniale znów cię widzieć! - Z wahaniem zerknęła na

zamknięte drzwi gabinetu i znów przeniosła wzrok na interesantkę. - Czy Jack cię oczekuje?

- Tak. - Gretchen nie zdawała sobie sprawy, że jej zerwanie z Jackiem spotkało się z żywą reakcją wśród współpracowników Martella, była jednak w zbyt dobrym humorze, aby sobie tym zaprzętać głowę. - Mam dla niego raport.

- W takim razie wejdz. - Sekretarka wskazała drzwi w głębi korytarza. - Dam mu znać przez telefon, że już idziesz.

Rozbawiona formalnościami, Gretchen z trudem stłumiła uśmiech. Zastukała i otworzyła drzwi.

Jack natychmiast podniósł się ze stołka przy desce kreślarskiej. Gretchen bywała w tym gabinecie dziesiątki razy, lecz kiedy rozejrzała się po wysokim, elegancko i schludnie umebLOWANYM pomieszczeniu, poczuła się obco, niczym podczas projekcji dawno nie oglądanego filmu.

Napotkała wzrok Jacka, ale uczucie obcości wcale nie zniknęło. Nie pojawiła się obojętność, która towarzyszyła Gretchen podczas ostatniej ich rozmowy. Tym razem potrafiła się zdobyć na wspaniałomyślność wobec byłego narzeczonego. Uważała go za kogoś z przeszłości, kogoś, z kim spędziła miłe i niemiłe chwile, i komu teraz... współczuła.

Jack nigdy nie wzbudził w niej wspaniałej, bezgranicznej miłości, jaką czuła do Cliffa. Nawet tego nie próbował. Współczuła mu, że dobrowolnie ograniczał siebie i skalę swych uczuć.

- Wyglądasz fantastycznie - odezwał się na powitanie. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Ciekawe, co się za tym kryje?

Gretchen zaśpiewała w duchu: jestem zakochana. Jej oczy nigdy nie błyszczały miłością do Jacka. Zrobiło jej się go żal.

- Cieszę się, że mam za sobą pracę nad tym raportem - odparła, kładąc kilka kopii na biurku. - Udało mi się nawet ocalić od zagłady stare drzewa.

- Założę się, że praca pomieszała ci szyki - zachichotał, kartkując jeden z egzemplarzy. - Trzeba to uczcić, Gretchen. Co byś powiedziała na drinka i kolację?

- Nie, dziękuję - odmówiła grzecznie. - Już późno, Jack, więc pójdę.

Chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie. Uniósł brwi i przyglądał się jej szeroko otwartymi oczami. Nie rozumiał jej reakcji.

- Co cię ugryzło? - spytał z żartobliwym wyrzutem. - Zachowujesz się jak dama pędząca po autostradzie szczęścia. Do czego się spieszysz?

Zakłopotana, opuściła wzrok.

- Chyba rzeczywiście pędzę po autostradzie szczęścia, Jack - odparła nieśmiało. - Ładnie to ująłeś.

- Co się stało? Zdradzisz tajemnicę dawnemu kochankowi?

Zaskoczyło ją, że użył określenia „kochanek” w stosunku do samego siebie. Odetchnęła głęboko, aby opanować wzbierający gniew.

- Znalazłam nowego kochanka - poinformowała chłodno.

- Aha. - Pokiwał głową i odgarnął z czoła przyprószone siwizną włosy. - Cóż. Nie znaczy to, że nie możemy od czasu do czasu zjeść wspólnie kolacyjki. Na przykład dziś, co?

Zaśmiała się.

- Jack, czy ty mnie w ogóle nie znasz? Jestem kobietą, która trzyma się jednego mężczyzny. Taka byłam i taka będę zawsze.

Potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

- Chyba tak. Szczęśliwy ten facet, którego wybrałaś. Mam nadzieję, że wreszcie trafiłaś na swego.

Cmoknęła Jacka w policzek.

- Ja też mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz - szepnęła z przekonaniem. - Uważaj na siebie.

Odwróciła się na pięcie i tanecznym krokiem wyszła z gabinetu. Jakże cudownie się czuła! Nie była już niewinną dziewczyną, skrzywdzoną przez los. Kochała dojrzałą, pełną

miłością. Nie szukała deklaracji, gwarancji ze strony mężczyzny. Po prostu ufnie pędziła w przyszłość po autostradzie szczęścia.

Cliff nie zadzwonił do niej wieczorem, lecz obiecała sobie, że nie poczuje się rozczarowana. Związek z Jackiem nauczył ją wielu rzeczy. Tego na przykład, że nie wolno żądać od innych jakiegoś zachowania tylko dlatego, że samemu jest się gotowym tak właśnie postąpić. Cliff dał jej coś o wiele ważniejszego niż zaproszenie do zmiany adresu. Otworzył przed nią swoją duszę i odważył się zajrzeć w jej duszę. Nie pytała go o drobnostki, o sprawy oczywiste, a do tego sprowadzały się jej rozmowy z Jackiem.

Nie straciła dobrego humoru, kiedy nie zadzwonił także we wtorek wieczorem, lecz w środę jej cierpliwość zaczęła się wyczerpywać. Czy nie mógł chociażby powiedzieć dobranoc przez telefon? Powiedzieć, że tęskni za swoją kobietą pierwotną... Czy było to dla niego tak kłopotliwe?

A może stawała się na powrót pełną obaw i zahamowań dawną Gretchen? Czekala na słowa, potwierdzenia... Nie wystarczyła wiara w uczucie, w dobre intencje.

Otrząsnęła się z tych myśli. Kiedy Cliff będzie gotowy, na pewno zadzwoni.

Zdecydował się w czwartek wieczorem. Kiedy usłyszała w słuchawce jego głos, zapomniała o czterech dniach niepewności. Nie chciała też, aby w jej głosie zabrzmiała ulga. Przywitała go wesoło, swobodnie.

- Cześć, miłośniku natury. Jak tam życie w dzikich ostępach Nowego Jorku?

- Bez zmian.

Wyczuła w jego głosie jakiś smutek.

- Czy coś się stało? - spytała. Nie odpowiedział od razu.

- Miałem nadzieję, że zobaczymy się w czasie weekendu...

Cała energia uleciała z Gretchen w ułamku sekundy. Ona też miała nadzieję na spotkanie. Nawet więcej niż nadzieję, niemal pewność.

- Ale? - Ledwie kryła rozczarowanie.

- Obawiam się, że nie mogę. W sklepie w Filadelfii wystąpiły jakieś trudności. Muszę tam pojechać i sprawdzić wszystko osobiście na miejscu.

- Jeśli musisz, to jedź. - W duchu powiedziała sobie, że powinna się cieszyć samą nadzieją na spotkanie. - Na tym polega przecież twoja praca.

- No właśnie - zgodził się.

- Głowa do góry - spróbowała go pocieszyć. - Byłam parę razy w Filadelfii. To miasto ma niepowtarzalny urok.

- Ale to nie cudowne lasy w stanie Maine - odrzekł cicho.

- Zadzwońię po powrocie do Nowego Jorku.

- W porządku. Życzę miłej podróży.

- Trzymaj się, kobieto pierwotna.

Ostatnie słowa dźwięczały jej w uszach jak echo. Cliff nie rozczulał się zbyt w krótkiej rozmowie telefonicznej, ale nazwał ją kobietą pierwotną. I to jej wystarczyło.

Starła się uciec od smutku i rozczarowania. Spędziła weekend, chodząc po sklepach meblowych. Kupiła wreszcie okrągły stół do kuchni i stanowiące z nim komplet krzesła.

Zastanawiała się nad kupnem firanek, lecz pamiętała, co Cliff mówił o budzeniu się ze słońcem na twarzy i zrezygnowała z zasłaniania okien. Budzić się z widokiem nieba przed oczami znaczyło teraz: żyć pełnią życia.

Na uporządkowanie dokumentów sklepu w New Haven Cliff potrzebował jednego dnia, więc Gretchen przypuszczała, że równie szybko upora się z interesami w Filadelfii. Kiedy nie zadzwonił w poniedziałek, wtorek i środę, zaczęła się denerwować.

W czwartek wieczorem wybrała się na morderczy bieg brzegiem plaży. W głowie zaświtała jej pewna przerażająca myśl.

Cliff nie miał zamiaru zadzwonić!

Z niepokojem odtworzyła po kolei w pamięci przebieg wydarzeń podczas weekendu, który spędzili razem. Nareszcie zdała sobie sprawę, dlaczego tak ją zaskoczyła wiadomość, że on musi wyjechać w niedzielny wieczór.

Przecież poprzedniego dnia oświadczył, że chce zostać z nią „tak długo, jak będzie trzeba”. Gdyby nie kochali się w niedzielę, zostałby do poniedziałku, potem do wtorku... „Tak długo, jak będzie trzeba”. A trzeba było tylko do niedzieli. Później mógł spokojnie wyjechać.

Polował na nią tylko w jednym celu: chciał znów przeżyć cudowne chwile. A kochali się naprawdę cudownie.

Odruchowo zatrzymała się i rozejrzała. Była już pięć kilometrów od domu i nie czuła się na siłach, aby zawrócić i pobiec tą samą drogą.

- Jakże mogłam być taka głupia - zaszlochała cicho. Łzy zmieszane z potem płynęły po policzkach. - Jak mogłam...

Jej brat zawsze ją ostrzegał, co się zdarzy, jeśli nie zachowa ostrożności. Wielu mężczyzn gotowych jest zrobić dosłownie wszystko, aby osiąść fizycznie upragnioną kobietę. Steve twierdził, że kobiety słabe i bezbronne, takie jak Gretchen, powinny mieć się na baczności. Ta teoria potwierdziła się w przypadku Jacka. Nie odczytała zawczasu jego intencji i oddała mu serce bez żadnych gwarancji na stały związek.

Nie знаła intencji Cliffa. Chciała, żeby tym razem wszystko było inaczej. Chciała kochać i być kochana, a on skorzystał z okazji, a potem... zniknął.

Zmusiła się do zawrócenia. Otarła twarz chusteczką i ruszyła w stronę domu. Za plecami miała słońce, chylące się ku zachodowi. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. W parnym powietrzu ciężko było oddychać, a co dopiero myśleć.

Cliff wcale nie zamierzał dzwonić. To, że zwierzył się z osobistych przeżyć, nie miało znaczenia. Ot, jeden ze sposobów, aby ją uspokoić i wzbudzić zaufanie, zlikwidować opory. Sposób skuteczny jak każdy inny. Jack zastosował metodę równie skuteczną: poprosił Gretchen o wprowadzenie się.

Dopiero po trzech kwadransach dotarła, zziębnięta, do domu. Przez otwarte okno dobiegał dzwonek telefonu. Zaczęła gorączkowo szukać kluczy w kieszeni szortów. Otworzyła drzwi i pobiegła do salonu.

- Słucham. - Bez tchu podniosła słuchawkę.

- Gretch? Tu Jack. Osunęła się na podłogę.

- Ach, to ty... Cześć, Jack.

- Przepraszam, że cię niepokoję w domu, ale wynikły nieprzewidziane okoliczności.

- Co mianowicie? - fuknęła zniecierpliwiona. Nie chciała mieć nic wspólnego z Jackiem. Współczucie, jakie ją ogarnęło w jego gabinecie w pamiętny poniedziałek, wyparowało bez śladu. Gretchen sama zasługiwała teraz na współczucie. - Cóż takiego nagle wynikło?

- Chodzi wyłącznie o interesy, kochanie - zapewnił. - Próbowałem cię złapać w Urban Designs, ale już wyszłaś, a Liz dała mi telefon do domu. Tylko się na nią nie wściekaj, złotko. To wyjątkowa sytuacja.

- Wyjątkowa? - mruknęła sceptycznie, ocierając wilgotne policzki.

- Można tak powiedzieć. Wydział transportu robi trudności Jimowi Conklinowi.

- Komu?

- Jimowi Conklinowi. Pamiętasz swój raport na temat zakładów chemicznych?

- Tak. - Gretchen usiłowała otrząsnąć się z myśli na tematy osobiste. - A coż on ma wspólnego z wydziałem transportu?



- Utrzymują, że jeśli firma wytycza nową drogę dojazdową, musi zapłacić za instalację sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu z szosą.

- I co z tego? Gdyby poszerzali starą drogę, prawdopodobnie również musieliby instalować światła.

- Tak, ale Jim twierdzi, że za drewno sprzedane tartakowi otrzymaliby sumę, pokrywającą koszty przebudowy drogi.

- Na litość boską! - wybuchnęła. - Wydają miliony dolarów na budowę zakładów, a żałują paru centów?

- Posłuchaj, złotko. - Jack przemówił łagodnie, świadomy irytacji swojej rozmówczynie. - Jesteś rozsądna. Jim Conklin na razie nie kieruje się rozsądkiem. Za piętnaście minut jestem z nim umówiony na kolację i pomyślałem, że gdybyś też była obecna, przekonałabyś go do swojego rozwiązania.

- Za piętnaście minut? Jack, właśnie wróciłam po codziennym biegu.

- Dzwonię do ciebie od godziny. Już sądziłem, że Liz podała mi zły numer. Przyjdź, proszę. Chodzi o interesy. Chcesz ocalić kilka drzew?

- W porządku - ustąpiła, wzdychając. Gdyby udało się ocalić piękne stare drzewa, oceniające drogę, może nie uważałaby całego swego życia za katastrofę. - Gdzie się spotykacie?

- W „The Winery” - wymienił restaurację w centrum New Haven. - Kiedy się tam pojawisz?

- Przyjadę, to będę - rzuciła bez ogródek. - Najpierw wezmę prysznic. W takim stanie, w jakim się obecnie znajduję, nie wpuszczono by mnie do restauracji.

- Pamiętam, jak wyglądasz po bieganiu - skomentował. - Rusz się, Gretch. Do zobaczenia.

I odłożył słuchawkę.

Westchnęła ciężko. Z pewnością nie miała nastroju na wieczorne pogawędki z Jackiem i przedstawicielem firmy chemicznej. Wolałyby wejść pod kołdrę i zostać sam na sam ze swoim smutkiem. Skoro Cliff jej nie kochał, czy mogła się

zajmować ratowaniem drzew? Jak zdoła uprzejmie i profesjonalnie rozmawiać z klientem, skoro czuła się jak najgłupsza przedstawicielka płci pięknej kiedykolwiek chodząca po ziemi?

Z drugiej jednak strony, spotkanie z Jackiem i Jimem Conklinem mogło jej pomóc zapomnieć o bólu. Podniosła się z podłogi i poszła do łazienki. Cóż, na odbywaniu takich spotkań polegała jej praca. Zaś jej pasją było ratowanie drzew przed zakusami chciwych przedsiębiorców budowlanych. Wiedziała, że musi iść na spotkanie.

Odkręciła kran z zimną wodą. Z prysznicą popłynął odświeżający deszcz. Zmywał pot, rozluźniał mięśnie. W porządku. Cliff odszedł. Przeżył cudowne chwile, na których tak mu zależało, i odszedł. Nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z tym faktem.

Próbowała kochać na różne sposoby. Stworzyła sztuczny, utrzymywany na siłę związek z Jackiem. Potem rzuciła się w ramiona nieznajomego, aby przeżyć erotyczną przygodę. Za trzecim razem postąpiła najgorzej. Pragnęła trwałego, uczciwego związku z Cliffem, ale nie chciała go wystraszyć wysuwaniem żądań.

Może nie była stworzona do miłości? Może miała nieodpowiedni temperament?

Nie, nie bała się wystraszenia Cliffa. Nie żądała deklaracji, ponieważ była pewna, że łączy ich miłość i zaufanie. Przypomniła sobie wszystko, co mówił o sobie, o swojej drodze życiowej, o zasadach, które wyznawał, o radości życia.

Jakże mogła dać się tak zwieść? Poeta duszy, doprawdy! Wygadany mistrz pokrętej mowy. Kiedy nie mówił o radości życia, rozprawiał o zadowoleniu. Sama była wszystkiemu winna. Jako kobieta zakochana słyszała tylko to, co chciała usłyszeć. Cliffa interesował jedynie weekendowy romans, połączony z załatwianiem interesów w New Haven.

Może oszukiwał ją świadomie, aby odegrać się za jej zachowanie na szlaku? A przecież nie zrobiła nic złośliwie i nigdy nie zamierzała sprawić mu bólu. Targały nią wtedy sprzeczne emocje, nie znane wcześniej pragnienia. Nie mogła uwierzyć, że Cliff ją oszuka, wiedziony chęcią zemsty. Nie zraniła go aż tak poważnie.

Dzielenie włosa na czworo nic w tej chwili nie da. Zakręciła kran i chwyciła ręcznik. Spieszyła się na spotkanie w sprawach zawodowych. Potem dopiero przyjdzie pora na rozpamiętywanie własnego nieszczęścia.

Wytarła ciało i pobiegła do sypialni, aby dokonać szybkiego przeglądu garderoby. Błyskawicznie znalazła odpowiednią sukienkę z jasnozielonego lnu. Włożyła sandały i wyszczotkowała włosy. Nie traciła czasu na układanie ich w węzeł na karku.

Zerknęła na swe odbicie w lustrze i jęknęła. Usta wykrzywione grymasem gorczy, zmarszczki przecinające czoło, puste, smutne oczy... Natychmiast odwróciła wzrok. Złapała jeszcze torebkę, klucze i wyszła w pośpiechu.

Kiedy wkroczyła do restauracji, Jack i Jim Conklin już tam byli, tak jak się spodziewała. Studiowali menu. Kelner zaprowadził Gretchen do stolika. Na jej widok mężczyźni grzecznie podnieśli się z miejsc. Usiadła obok Jacka. Spostrzegła, że w oczekiwaniu na jej przybycie zamówili drinki. Nietknięty gin z tonikiem czekał na nią.

Spojrzała z wyrzutem na Martella.

- Sądziłem, że zaraz nadejdiesz, więc zamówiłem w twoim imieniu. Gin z tonikiem to nadal twój ulubiony drink, prawda?

Gretchen przygryzła wargi. Nie miała nic przeciwko drinkowi. Właściwie była w nastroju na topienie smutków w kieliszku. Pewność siebie Jacka napawała ją jednak niesmakiem.

Upiła trochę trunku, aby opanować nerwy. Nie mogła sobie pozwolić na nie kontrolowane reakcje. Liczyły się tylko

interesy. Odstawiła szklanę i z wymuszonym uśmiechem zwróciła się do Jima Conklina.

- Jack mówi, że chcecie zniszczyć te wspaniałe drzewa - zaczęła.

Jim roześmiał się niepewnie.

- Ująłbym to zupełnie inaczej, pani Sprague. Osobiście nie mam nic przeciwko drzewom, rozumie pani. To po prostu kwestia dokładnego obliczenia kosztów.

Nadszedł kelner. Gretchen zamówiła stek, nawet nie zaglądając do menu. Nie czuła apetytu i podejrzewała, że i tak niewiele przełknie.

Poprosiła Conklina o wyjaśnienie, na czym polegają trudności z wydziałem transportu i jakie jest stanowisko szefów jego firmy. Udzielił wyczerpującej odpowiedzi. Jack wtrącał się od czasu do czasu z dodatkowymi informacjami.

Gretchen słuchała uważnie, wdzięczna obu mężczyznom, że odciągają jej myśli od Cliffa.

- Pozwólcie, że zdradzę publiczną tajemnicę - odezwała się, kiedy Jim skończył. - Większość społeczeństwa nie lubi zakładów chemicznych. Z pewnością ludzie używają waszych produktów i cieszą się, że dajecie zatrudnienie, ale nie lubią zatruwania środowiska, szkodliwych oparów i ścieków...

- Moja firma bardzo dba o ochronę środowiska - oznajmił Jim z nadętą miną. - Mamy świetną opinię.

Gretchen poszła za ciosem.

- W takim razie co z drzewami? To też część środowiska naturalnego.

- Pani Sprague - westchnął Jim - wycięcie kilkunastu drzew to nie to samo co wlanie do rzeki trujących substancji. Rozumie pani.

- Znacznie więcej niż kilkunastu. Poszerzenie drogi wymagałoby usunięcia co najmniej kilkudziesięciu drzew. Wiem - uprzedziła jego ewentualny argument - że chcecie sprzedać drewno do tartaku. Mówimy jednak o opinii

publicznej, panie Conklin. Skoro pierwszym posunięciem pana firmy jest wycięcie oceniających drogę drzew, co pomyśli o was społeczeństwo?

Kelner przyniósł zamówione dania. Podczas jedzenia Conklin zastanawiał się nad tymi słowami. Jack wspomniiał o tym, z jaką pasją Gretchen Sprague walczy o ochronę przyrody.

- Rozumiem pani troskę o opinię publiczną. - Jim Conklin powrócił do tematu. - Nie mogę czynić żadnych obietnic, ale, oczywiście, nie chcielibyśmy zadzierać z miejscową społecznością. Jeśli rzeczywiście uważa pani, że takie posunięcie postawi nas w niekorzystnym świetle, warto z pewnością zdecydować się na dodatkowe koszty i zmienić plan.

Zatem nie wszystko stracone! Gretchen zdobyła się na zwycięski uśmiech. W miłości okazała się beznadziejną idiotką, lecz w sprawach zawodowych spisała się bez zarzutu. Nie uchroniła siebie przed zawodem miłosnym, lecz ocaliła wiele drzew przed zagładą.

Jim obiecał Jackowi, że zadzwoni nazajutrz, pożegnał się i wstał od stolika. Zostali sami. Gretchen, wyczerpana, osunęła się na oparcie krzesła. Chciała już iść. Czekiła, aż Jack ureguluje rachunek, on natomiast wpadł na inny pomysł.

- Proszę jeszcze jeden gin z tomkiem i koniak - zamówił.

Kelner skinął głową. Gretchen spojrzała z irytacją.

- Jeśli zamierzasz wypić oba drinki, lepiej poszukaj taksówki, żeby odwiozła cię bezpiecznie do domu - ostrzegła ironicznie.

- Gin z tonikiem zamówiłem dla ciebie, złotko - odparł, kładąc rękę na jej dłoni. - Uczcimy zwycięstwo w walce o ocalenie twoich ukochanych drzew. Zgoda?

Wzrok Jacka nie wyrażał niczego innego poza przyjaźnią. Gdyby wróciła do domu, wtuliłaby się pewnie w wąski materac w sypialni i przeplakałaby pół nocy. Jeden niewinny drink odwróciłby ten moment.

Kelner postawił przed nimi kieliszki. Jack uśmiechnął się i wznosił toast. Przyjrzał się bacznie twarzy Gretchen. Dostrzegł przygnębienie w oczach, bruzdy wokół ust.

- Co u ciebie? - spytał.

- Świetnie.

- A jak twoje życie miłosne? Zmierzyła go wzrokiem. Wypiła łyk ginu.

- Rewelacyjnie - odrzekła szorstko. - A twoje?

- Nieźle. Byłoby o wiele lepsze, gdybyś stała się jego częścią.

- Jaką częścią? Jedną szóstą? Jedną dziesiątą? Zaciśnęła usta, aby się pohamować. Za późno. Jack wyczuł jej wściekłość i ból, ukryte pod maską dobrego nastroju. Uśmiech zamarł mu na ustach.

- Kiedy cię widziałem ostatnio, Gretch, wprost unosiłaś się nad ziemią z radości. Co się stało?

- Nic się nie stało. Powinam już iść... Uścisnął jej rękę.

- Daj spokój. Porozmawiajmy jak przyjaciele. Wiem, że nie jesteśmy już kochankami, ale wolno mi chyba martwić się o ciebie. Co się stało? Nie wyszło ci z nowym związkiem?

- Jakim związkiem? - burknęła. - Nie wyszło, Jack, ale to nie znaczy, że...

- Że chcesz do mnie wrócić - dokończył za nią.

- Wiem, Gretch. Ty i ja dążymy w życiu do różnych celów. Nie po drodze nam, niestety. - Przełknął łyk koniaku. - Co się stało? Czy twój nowy kochanek także szuka czegoś innego niż ty?

O dziwo, Jack wydawał się teraz Gretchen bliższy niż w czasie wspólnego życia. Po raz pierwszy w ich znajomości zatroszczył się o jej uczucia. Postanowiła mu zaufać.

- Myślę, że dostał wszystko, czego szukał - wyznała cicho.

Współczująco pokiwał głową.

- Zawsze uważałem, że twoja niewinność stanowi dla mężczyzn wyzwanie. No i cię skrzywdzono...

- Znów pokręcił głową. - Jesteś już dużą dziewczynką, Gretch. Najwyższa pora poznać parę życiowych prawd.

- Na przykład...?

- Związki między mężczyzną a kobietą opierają się na umowie. Mężczyzna czegoś chce, a kobieta informuje go, ile to kosztuje. Wtedy mężczyzna podejmuje decyzję, czy to, czego pragnie, warte jest proponowanej ceny. Czasem próbuje się targować, i, dajmy na to, zamiast małżeństwem płaci tylko wspólnym zamieszkaniem. - Tu pokazał zęby w cynicznym uśmiechu. - Negocjuje najniższą cenę i bierze to, czego chciał.

- Bezdenna głupota! - wybuchnęła.

Wykład Jacka zadziwiająco przypominał jej jednak przestrogi brata. Nie chciała uwierzyć, że Jack i Steve mają rację. Jej własne doświadczenie potwierdzało jednak słusność ich słów. Jack pragnął Gretchen i stargował cenę. Ona też czegoś od niego żądała, więc zgodziła się na mniej korzystne warunki. Cliff nawet nie musiał się targować. Nigdy nie zasugerowała mu ceny.

Dlaczego? Ponieważ bała się popełni ten sam błąd co na początku znajomości z Jackiem. A może i z tego powodu, że chciała obalić teorie Jacka i Steve'a, dotyczące związków między mężczyzną a kobietą. A może pragnęła go tak bardzo, że była gotowa zapłacić każdą cenę, aby go mieć?

Nagle zrobiło jej się zimno. Wypiła duszkiem gin i odetchnęła głęboko.

- Może... - Usiłowała opanować drżenie głosu.

- Może czasem tak bywa, Jack. Ale ja jestem idealistką. Myślę, że istnieją związki oparte na czymś innym...

- Jesteś naiwna.

- Nazywaj mnie, jak ci się podoba. Taka właśnie jestem. Staroświecka, uparta... i idealistka. Nie zamierzam się zmienić.

- Cóż... - Dopił koniak i wzruszył ramionami.

- Twoja wierność zasadom zasługuje na podziw, aczkolwiek nie ma z niej pożytku. Pięć punktów za konsekwencję, Gretch.

- Dziękuję bardzo - mruknęła i zaśmiała się ponuro. - Wiesz, Jack, co mi się podoba w wędrówkach z plecakiem?

- Pęcherze? - przypomniał ich wcześniejszą rozmowę.

Zachichotała i potrząsnęła głową.

- W leśnej głuszy wszystko jest proste. Potrzebne rzeczy niesiesz na plecach. Idziesz, jesz, śpisz. Nie musisz się targować i negocjować. Jesteś tylko ty i przyroda. Znika społeczeństwo. Możesz być idealistą. Możesz iść za głosem serca.

- A dookoła same drzewa - podsumował Jack z gorzkim uśmiechem. - Obawiam się, Gretchen, że szukasz czegoś, co nie istnieje. Życzę ci jednak powodzenia.

- Dziękuję - odparła szczerze. - Muszę już iść. Odprowadził ją do wyjścia i pocałował w policzek.

- Trzymaj się - szepnął.

- Ty też.

Był ciepły wieczór. Na ulicach panował gwar i ruch. Migotały światła na skrzyżowaniach. Gretchen nie zwracała na nic uwagi. Pograżona w myślach, szła do zaparkowanego samochodu.

Może to nie ona, lecz Cliff porywał się na to, co niemożliwe? Odnalazł ją, przyjechał, próbował wskrziesić to, co przeżyli na szlaku. Może to właśnie on postąpił naiwnie i rozczarował się reakcją Gretchen?

Tyle że ona była tą, która cierpiała. Czuła się zdradzona, porzucona, wykorzystana. Dlaczego znów się okazało, że nie powinna iść za głosem serca?



## ROZDZIAŁ 10

Prawie nie spała tej nocy. Sierpniowy upał sprawiał, że czuła się w domu jak we wnętrzu rozpalonego pieca. Nie było klimatyzacji i nawet morski wiatr, wpadający przez otwarte okna, niewiele mógł zdziałać.

Rano wzięła szybki chłodny prysznic. Nałożyła biały bawełniany kostiumik i rudą jedwabną bluzkę bez rękawów. Zaplotła warkocz i upięła go w węzeł. Zapięła białe skórzane sandały i wyszła do biura. Cieszyła ją perspektywa spędzenia całego dnia w klimatyzowanym budynku.

Nie mogła się jednak skupić na pracy. Na biurku piętrzył się, jak zwykle, stos dokumentów, lecz myśli Gretchen krążyły wokół ostatniej rozmowy z Jackiem i Cliffa, mężczyzny, którego kochała i który wymknął się z jej życia. Kiedy sekretarka powiedziała, że dzwoni Ruth Lawrence, ucieszyła się. Nareszcie jakaś odmiana.

- Będziesz wolna w porze obiadu? Muszę wypłakać się w czyichś ramionach - obwieściła przyjaciółka. - Zerwałam z Tonym.

- Z Tonym?

- Z moim ukochanym małym. Co ty na to? Spotkamy się w południe. Ja stawiam.

- Ruth - westchnęła Gretchen - nie wiem, czy znajdziesz we mnie dobrą pocieszycielkę... - Głos jej się załamał. Z trudem powstrzymywała płacz.

- Hej, hej, Gretchen! - Ruth od razu zapomniała o swoich problemach. - Droga przyjaciółko, co się dzieje?

- To, co zwykle - stwierdziła ponuro. - Wielka naiwniaczka wkracza do akcji. Chyba znów popełniłam głupstwo. Ja go kocham, a on już więcej nie zadzwonił.

Albo Ruth nie wiedziała, o czym mówi Gretchen, albo puściła jej słowa mimo uszu.

- Pogadamy przy obiedzie - zdecydowała. - Gretchen - dodała macierzyńskim tonem - wciąż nie potrafisz spadać na cztery łapy, prawda? W południe u Shermana, dobrze?

- Jesteśmy umówione.

Za kwadrans dwunasta Gretchen zamknęła skoroszyt, którego treść usiłowała zgłębić od rana, i wyszła z gabinetu. Zjawiły się w restauracji niemal równocześnie. Zajęły zaciszny stolik pod ścianą. Ruth od razu zamówiła drink pod dowcipną nazwą „Południowe pocieszenie”.

- Powinnas też wypić szklaneczkę - poradziła przyjaciółce, która zamówiła wodę mineralną. - „Południowe pocieszenie” to obowiązkowy napój kobiety o złamanym sercu.

- Ale nie tych kobiet, które mają takiego szefa jak ja - zauważyła Gretchen pośepnie.

Ruth wzruszyła ramionami i wytarła serwetką szminkę z ust, zanim zaczęła pić.

- W porządku. Teraz powiedz, co się stało.

- Nie jestem jeszcze przygotowana na taką rozmowę - zaprotestowała Gretchen. - Najpierw ty opowiedz swoją historię.

- Niewiele tu do opowiadania. - Ruth westchnęła dramatycznie. - Wziął mnie na prywatkę do swoich przyjaciół. To było wstrętne. Tłum szesnastolatek, a ja wśród nich niczym czyjaś babcia. Ohyda. Wszyscy palili trawkę.

- To cię zaszokowało?

- Czulałam się jak dinozaur. Powinnam wcześniej się z tego wycofać, ale on był taki dobry w łóżku, Gretch...

Przerwała na widok kelnera. Kiedy przyjął zamówienia i odszedł, Ruth ciągnęła opowieść.

- Sama nie wiem... Chyba i tak mój związek z Tonym nie miał przyszłości. Nie wiem, dlaczego to tak przeżywam, ale...

- Od kiedy myślisz w kategoriach przyszłości, Ruth?

- Od chwili, kiedy zobaczyłam w niedzielne popołudnie, jak Cliff patrzył na ciebie. - Gretchen wzdrygnęła się na wspomnienie Cliffa. Spozstrzegawcza przyjaciółka poklepała ją

po ramieniu. - Przypuszczam, że masz smutne wieści, ale uwierz mi, widziałam, jak on na ciebie patrzy. Na mnie mężczyźni tak nie patrzą. Jak sądzisz, dlaczego? Coś jest ze mną nie tak?

- Do diabła, świetnie się orientujesz, co jest z tobą nie tak. Zadajesz się z niewłaściwymi mężczyznami. Nie uznaję się, oczywiście, za eksperta...

- Oczywiście - zgodziła się Ruth. - Mężczyźni, z którymi się spotykam, są przynajmniej...

- Dobrzy w łóżku - dokończyła Gretchen. Znow pomyślała o Cliffie. Czy zakochała się w nim,

zauroczona jedynie jego talentami jako kochanka? Nie. To by jej nigdy nie wystarczyło. Słuchając Ruth, zrozumiała, że i jej przyjaciółce nie wystarczają łóżkowe przygody. Powiało optymizmem. Ruth brała pod uwagę stały związek z mężczyzną. Może Gretchen nie była więc dziwaczką? Może postawa Ruth poniosła klęskę?

- No cóż, było, minęło - podsumowała tradycyj-. nie Ruth i wzniosła toast. - A teraz przyznaj się, co ci zrobił ten wysoki blondyn?

- Nic mi nie zrobił. To ja zrobiłam.

- Cóż takiego?

Gretchen przełknęła kęs kanapki i odetchnęła głęboko.

- Pozwoliłam sobie zakochać się w nim. Nie dał mi nic w zamian. Nigdy o nic nie prosiłam, a on niczego nie obiecywał. Mimo wszystko odważyłam się pokochać go. Odszedł.

- Skąd wiesz, że odszedł?

- Nie dzwoni do mnie. Zadzwoił tylko raz, tydzień temu, żeby powiedzieć, że nie możemy się spotkać podczas weekendu. Od tej pory cisza.

- Dlaczego ty do niego nie zadzwonisz? - spytała dość rozsądnie Ruth.

Gretchen, zaskoczona, uniosła wzrok. Rzeczywiście dlaczego?

- Nie mam numeru telefonu. Zapisał mi raz, ale spaliłam kartkę.

- Zadzwoń do informacji.

- I co? Spytam o numer pana Powella, mieszkającego na Manhattanie? Na Manhattanie żyją pewnie dwa miliony Powellów.

- Musisz więc zadzwonić do dwóch milionów mężczyzn. Dlaczego chcesz stracić to, co jest do uratowania? Widziałam, jak on na ciebie patrzy. Widziałam też, jak ty na niego patrzysz. Nie wiem, o co wam poszło, ale Cliff jest na pewno wart odszukania, prawda? Skoro dałaś mu serce, a on nie wie, co z nim zrobić, lepiej je odbierz. W przeciwnym razie będziesz się wyładowywać na mnie albo znów polecisz włóczyć się po dżungli.

Gretchen zastanawiała się nad propozycją Ruth. Racja, nie miała nic do stracenia. Cliff odszukał ją w New Haven, ponieważ czegoś od niej chciał. Jeśli ona pragnęła czegoś od niego, choćby wyjaśnienia, powinna go odnaleźć.

Gwałtownie odstawiała szklanę.

- Masz absolutną rację. Kocham cię, Ruth. Gdybyś była mężczyzną, chyba oddałabym ci serce.

- Drobnostka - zachichotała zakłopotana przyjaciółka. - Nie jestem w twoim typie. Ty uważasz, że zdrowo jest się wypocić. Ja natomiast twierdzę, że zdrowie to miękka skóra na piętach. Znajdź tego faceta i daj mu w kość. Jak będzie trzeba, napluj mu w twarz. Ja na wszelki wypadek zaczekam na ciebie z „Południowym pocieszeniem”.

- Chyba nie usiedzisz w domu - zażartowała Gretchen. - Pobiegniesz do „Toad's Place” wypatrywać nowego kochasia.

Ruth uśmiechnęła się tajemniczo.

- Może tak, może nie. Może dam sobie na razie spokój i przeczytam parę książek? Szukaj mnie w domu, jeśli będziesz potrzebowała.

Ruth zawsze łatwo znaleźć. Cliffa o wiele trudniej, lecz nie trudniej niż bezimienną kobietę poznaną w leśnej głuszy. Skoro jemu się udało, Gretchen również się powiedzie! Powinna iść za głosem serca, nawet w realnym, cywilizowanym świecie. Ruth podkreśliła przecież, że nie ma nic do stracenia.

Po powrocie do biura zamknęła drzwi swojego gabinetu na klucz, aby nikt jej nie przeszkadzał, i połączyła się z informacją w Nowym Jorku.

- Poproszę numer telefonu pana Powella, mieszkającego na Manhattanie.

Telefonistka była przerażona.

- To całe trzy strony w książce telefonicznej!

- Na imię ma Cliff.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko szelestem przewracanych kartek.

- Clifton Powell, ulica West Tenth.

- Czy to w pobliżu Lincoln Center? - spytała Gretchen z nadzieją w głosie.

Telefonistka zdenerwowała się.

- Przepraszam, ale chyba nie mogę pani pomóc. W książce jest kilka kolumn C. Powellów.

- No cóż. - Gretchen westchnęła, ale w głowie zaświtała jej pewna myśl. - A numer telefonu „Wielkiej włączki”?

- Słucham? - zniecierpliwiła się kobieta z informacji.

- To nazwa sklepu. Czy może pani znaleźć? Telefonistka podała numer biura centrali sieci handlowej i wyłączyła się.

Gretchen natychmiast wykręciła numer.

- „Wielka włączka”, czym mogę służyć? - odezwała się sekretarka.

Gretchen wzięła głęboki oddech, aby opanować drżenie głosu.

- Chciałabym mówić z panem Cliffem Powellem.

- Pani nazwisko?

- Gretchen Sprague.

- Pana Powella dzisiaj nie ma. Jeśli pani sobie życzy, przekażę wiadomość.

- Nie, nie, dziękuję.

Położyła słuchawkę na widełki i westchnęła ciężko. A więc porażka! Sekretarka najpierw spytała, kto dzwoni, a dopiero potem powiedziała, że Cliffa nie ma. Czyżby zostawił jej instrukcje na wypadek telefonu od Gretchen? Nie mogła uwierzyć w taką perfidię.

Znów westchnęła i omiotła wzrokiem pokój. Przypomniała sobie dzień, kiedy pracowali tu razem. Pochylił się nad nią, masował jej kark... A przedtem przysłał bukiet rumianków. Stał przez jeden dzień na blacie. Nazajutrz wyrzuciła go do śmieci.

Cliff odnalazł ją, chociaż odmówiła podania imienia. Odnalazł i przysłał kwiaty. I mimo że wzgardziła rumiankami i spaliła liścik, przyjechał do niej.

Dlaczego tak łatwo straciła wiarę w siebie? Przecież była równie silna, jak on. Niosła plecak prawie tak samo ciężki, jak plecak Cliffa. Uważał ją za tygrysięcę, za poe tkę, za najtwardszą i najodważniejszą kobietę, jaką spotkał w życiu. Cóż, właśnie dała pokaz twardości i odwagi...

O drugiej odsunęła analizę renowacji terenów zielonych, nad którą pracowała. Zdjęła żakiet z oparcia krzesła, wyjęła torebkę z szuflady i wkroczyła do gabinetu szefa.

- Ralph, muszę dzisiaj wyjść wcześniej. Mam sprawę do załatwienia w Nowym Jorku.

Mężczyzna podniósł wzrok znad biurka.

- A co z projektem Greenfielda? Chyba pracujesz nad nim?

Gretchen zawahała się.

- Wezmę się do tego w poniedziałek - zapewniła. - Mam naprawdę bardzo ważną sprawę. Zresztą, dwa tygodnie temu pracowałam w sobotę nad raportem dla Bentona i Martella - przypomniała.

Ralph zastanawiał się tak intensywnie, aż twarz mu poczerwieniała.

- Hm, ważna sprawa... W porządku, Gretchen. Jedź i rozerwij się. Do zobaczenia w poniedziałek.

Jadąc windą, pomyślała, że najtrudniejszą przeszkodę pokonała.

Na szczęście, godzina szczytu jeszcze się nie zaczęła. Dokuczał tylko upał. Kiedy dotarła na przedmieścia Nowego Jorku, nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd się skierować. Tylko parę razy była w centrum i zawsze ktoś jej towarzyszył. Jak przez mgłę pamiętała, gdzie znajduje się gmach Lincoln Center. Zapytany przechodzień udzielił dodatkowych wskazówek.

Zaparkowała w podziemiach i poprosiła strażnika o wypożyczenie książki telefonicznej. Zdumiał się trochę, ale uprzejmie wpuścił ją do swojej budki. Przyznała w duchu rację telefonistce, która nie chciała odczytywać wszystkich C. Powellów, figurujących w spisie. Znalazła za to adres „Wielkiej włóczęgi”.

Strażnik poradził, aby wzięła taksówkę. Zdecydowała jednak, że taki zapalony piechur jak ona może odległość dziesięciu przecznic pokonać na własnych nogach, i to szybciej niż taksówką.

Powietrze było gorące i zadymione. Asphalt lepił się do butów. Gretchen nie mogła pojąć, jak Cliff, miłośnik natury, może mieszkać w tak zatłoczonym, hałaśliwym mieście. W porównaniu z Manhattanem, New Haven wydawało się po prostu wsią.

Sklep „Wielka włóczęga” zajmował parter drapacza chmur. Biuro sieci handlowej znajdowało się pod tym samym adresem.

Gretchen wkroczyła do sklepu. Dziwnie się czuła w żakiecie. Sprzedawczynie były ubrane w lekkie czerwone fartuszki, zaś klienci - w szorty i koszulki.

Podeszła do najbliższego stoiska i spytała o biuro.

- Główne biuro handlowe, tak? Proszę wejść w drzwi obrotowe po prawej stronie i wjechać na drugie piętro.

Gretchen podziękowała. Błogosławiła klimatyzację, zainstalowaną w holu i w windzie. W mgnieniu oka znalazła się w przestronnym korytarzu, mieszczącym administrację sieci sklepów „Wielka włóczęga”.

Recepcjonistką okazała się zadbana starsza kobieta. Na widok interesantki uśmiechnęła się. Gretchen dumnie uniosła głowę. Sądziła, że w ten sposób doda sobie odwagi.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Powellem - oświadczyła tonem budzącym, jak przypuszczała, zaufanie.

- A kim pani jest?

Zbita z tropu, przygryzła wargę. Pamiętała, że sekretarka nie chciała połączyć telefonu od Gretchen Sprague. Jeśli teraz się przedstawi, recepcjonistka powie, że Cliffa nie ma.

Wpadła na pewien pomysł.

- Jestem jego narzeczoną.

- Kim? - Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

- Pan Powell nie jest zaręczony.

- Teraz nie - brnęła Gretchen. - Ale kiedyś był. Przed paru laty. Mam na imię Jenny.

Skoro Cliff podał się za jej brata, czemu nie miałyby udawać jego dawnej dziewczyny?

- Jenny? - Recepcjonistka z ciekawością zmierzyła ją wzrokiem. Czyżby to imię coś jej mówiło? Na szczęście, nie zadawała dalszych pytań. - Strasznie mi przykro, ale pana Powella nie ma.

Zatem Cliff jej nie unikał.

- Czy istnieje szansa, że uzyskam od pani jego domowy adres? Nie widzieliśmy się od lat, a właśnie jestem przejazdem w Nowym Jorku i nie zniósłabym myśli, że się z nim nie spotkam... Zamierzaliśmy się pobrać... i po tylu latach...

Oto Gretchen Sprague, kłamiąca jak z nut! Sama nie mogła się sobie nadziwić.

Recepcjonistka uwierzyła w tę wersję. Uśmiechnęła się szeroko.



- Tylko proszę nie mówić, że to ode mnie - szepnęła konspiracyjnie. - Nie stanę na drodze starej miłości. Mieszka na Riverside Drive. - Zanotowała adres na karteczce i zwinęła ją, niczym tajny meldunek.

- Powodzenia, moja droga. To dobra partia. Może go pani odzyska?

- Czy ja wiem? - odparła cicho Gretchen i podziękowała.

Sprzedawca włoskich lodów na rogu ulicy gapił się na Gretchen jak na przybysza z innej planety. Wreszcie pokazał jej drogę na Riverside Drive. Musiała przebyć tę samą trasę, którą dotarła do „Wielkiej włóczęgi”.

Na rondzie Columbus zatrzymało ją czerwone światło. Niespodziewana przerwa w marszu stworzyła okazję do zastanowienia się nad tym, co robi. Czy jej pomysł był szalony? Czy była idiotką, dlatego że tropiła Cliffa na zadymionych, rozpalonych ulicach Nowego Jorku? Miała potargane włosy, pogniecione ubranie. Na jej widok mógłby po prostu zatrzaskać drzwi.

Pamiętała jednak, że Cliff nie spoczął, dopóki jej nie odnalazł. Ta myśl dodawała jej sił. Dziarsko ruszyła dalej.

Pod adresem podanym przez recepcjonistkę stała piękna secesyjna kamienica, której okna wychodziły na rzekę Hudson i przyległy park.

Nie tracąc czasu, Gretchen śmiało wkroczyła przez szklane drzwi do chłodnego, mrocznego holu. Portier w uniformie zatrzymał ją i spytał, kogo zamierza odwiedzić.

- Pana Cliffa Powella - oświadczyła ze zdumiewającą pewnością siebie.

- Nie ma go teraz w domu. - Mężczyzna wyjrzał przez szybę.  
- Ale proszę poczekać, właśnie idzie.

Gretchen cofnęła się. Nie mogła wprost oderwać oczu od wysokiego blondyna, otwierającego bagażnik zielonego sportowego samochodu. Wyjął plecak, zarzucił go na ramiona i zatrzaskał klapę. Odwrócił się i napotkał wzrok Gretchen.

Mimo upału poczuła ciarki na plecach. Nie golił się od kilku dni, sądząc ze złotego zarostu pokrywającego silnie zarysowaną szczękę. Miał na sobie starą bawełnianą koszulę, wygodne spodnie koloru khaki i pionierki. Gretchen natychmiast zrozumiała, że wracał z pieszej wędrówki.

Patrzyli na siebie przez chwilę długą niczym wieczność. A potem Cliff popędził jak sprinter i już był przy niej, trzymał ją w ramionach.

- Och, Gretchen, Gretchen... Kobieto pierwotna - szeptał cicho prosto do jej ucha. - Jesteś tutaj.

Wreszcie, ociągając się, wypuścił ją z objęć. Portier wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak się udał biwak, panie Powell? - zagadnął, przyglądając się ciekawie Gretchen.

- Doskonale. Zwłaszcza zakończenie okazało się wspaniałe. Potem odbiorę pocztę.

Zaprowadził Gretchen do windy. Jechali w milczeniu. Uśmiechnięty Cliff patrzył na nią z niedowierzaniem i zachwytem zarazem. Gretchen miała mętlik w głowie. Dlaczego, skoro tak się ucieszył na jej widok, nie zadzwonił? I dlaczego, na litość boską, powiedział, że wyjeżdża w interesach, skoro wybrał się na wędrówkę z plecakiem? Chociaż wzruszyła się serdecznym powitaniem, była nadal czujna. Nie chciała pozwolić, aby znów zbił ją z tropu.

- Jak mnie znalazłaś?

- Przez recepcjonistkę z twojego biura.

- Betty? Ona nigdy nie zdradziłaby mojego adresu.

- Ale zdradziła twojej byłej narzeczonej. - Gretchen uśmiechnęła się ironicznie. - Powiedziałam, że jestem Jenny.

- Naprawdę podałaś się za nią? - Uznał ten pomysł za zabawny. - Cóż, nie mam siostry, więc wybrałaś dobry wariant.

- A zatem twoi współpracownicy słyszeli o Jenny? Winda zatrzymała się. Wyszli na przytulny korytarz. Cliff otworzył jedno z drzwi. Potrząsnął głową.

- Nie widziałem jej od lat. Nie miałem też żadnych wiadomości. Gdybyś powiedziała Betty, że jesteś moją byłą narzeczoną imieniem Gretchen, też by w to uwierzyła. To prawdziwa romantyczka.

Z przedpokoju weszli do obszernego salonu. Z wysokich okien rozpościerał się widok na rzekę. Gretchen od razu zauważyła brak firanek.

Cliff zdjął plecak i, zamyślony, zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem cię. Dlaczego właściwie nie przedstawiłaś się prawdziwym nazwiskiem?

Zanim odpowiedziała, rozejrzała się po salonie. Trzy donice z kwiatami pod oknem, istic spartańskie umeblowanie: kilka nowoczesnych skórzanych foteli, szklany stolik, tkany ręcznie dywan na parkiecie.

- Nie podałam prawdziwego nazwiska, ponieważ sądziłam, że mnie unikasz - odrzekła cicho.

- Unikam cię? - Zbliżył się i położył dłonie na jej ramionach. Ciało Gretchen natychmiast odpowiedziało na jego dotyk. Poczula, że zalewa ją fala gorąca.

- Dlaczegoż miałbym cię unikać? - spytał, zdziwiony.

- Nie mam pojęcia - mruknęła, cofając się o krok.

- Twierdziłeś, że jedziesz w interesach do Filadelfii i zadzwonisz zaraz po powrocie, tymczasem widzę, że włączyłeś się po lasach.

- Naprawdę załatwiałem interesy w Filadelfii i zamierzałem do ciebie zadzwonić, tyle że mnie ubiegłaś, przyjeżdżając do Nowego Jorku.

Przygarnął ją do siebie i musnął ustami jej czoło.

- Załatwiałeś interesy z plecakiem i nie ogolony? - odezwała się z powątpiewaniem w głosie.

- Byłem w Filadelfii do poniedziałku, a później spędziłem parę dni w Poconos.

- Dlaczego?

Pod powiekami Gretchen wzbierały łzy. Bardzo chciała mu wierzyć, lecz nie potrafiła. Jeszcze nie. Nie po tych dniach rozpaczliwego czekania na telefon.

Odepdnęła go lekko. Chciała zachować dystans, aby zebrać myśli.

- Gretchen... - westchnął. - Musiałem wyrwać się na parę dni, to wszystko. Musiałem wrócić na łono przyrody, żeby przemyśleć kilka spraw.

- Co, mianowicie? - Nienawidziła samej siebie za taką postawę. Była dociekliwa, natrętna, spięta. - Co musiałeś przemyśleć w leśnej głuszy? Nasze cudowne chwile, tak?

- Tak - odparł krótko.

Szczerłość Cliffa zaszokowała ją. Głos uwiązał jej w gardle. Cudowne chwile. Tylko to się liczyło dla niego. Nie kochał jej.

Spostrzegł przestrach i ból w oczach dziewczyny. Zrobił dwa kroki naprzód. Cofnęła się.

- Gretchen, weekend, który spędziliśmy razem w New Haven... Boże, kiedy o tym myślałem, kiedy usiłowałem rozgryźć, co te dni znaczyły dla ciebie...

- Chyba co innego niż dla ciebie - wybuchnęła, resztką sił powstrzymując szloch.

- Spokojnie, G.S., pozwól mi skończyć - upomniał łagodnie. - Może tak, może nie. To było dla ciebie coś nowego. Niezwykłe doświadczenie dla kobiety szukającej przeżyć. Zastanawiałem się nawet, czy nie traktowałaś tego wszystkiego jak wielkiego eksperymentu. Po prostu nie wiedziałem.

- Ależ, Cliff...

- Tak więc zaszyłem się w lesie, gdzie mogłem spokojnie pomyśleć. Ludzie wykorzystują się nawzajem, lecz nie zniósłbym, gdybyś ty też tak postąpiła.

- Przecież wyjaśniłam ci, dlaczego tak się zachowałam na szlaku. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Dlaczego pomyślałeś, że cię wykorzystuję?

- Bo niczego ode mnie nie żądałaś. Nie należysz do tego typu kobiet, które oddają się i nie proszą o nic w zamian. A tak postąpiłaś wobec mnie. Pomyślałem, że... - odetchnął głęboko - że niczego ode mnie nie chcesz.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Nie zrozumieli swoich intencji...

- Cliff, pragnę wszystkiego. Wytropiłam cię, nakłamałam i odważyłam się tu przyjść. Gdybym cię nie pragnęła, czy zadałabym sobie tyle trudu?

- Nie - przyznał z uśmiechem.

Wreszcie padli sobie w objęcia i całowali się długo, namiętnie.

- Nie przyniosłem ci rumianków.

- Nie potrzebuję kwiatów. Mam ciebie. Rozplótł jej warkocz. Kasztanowe włosy spłynęły na plecy.

- Jak długo zostaniesz ze mną? - spytał, zsuwając żakiet z ramion kobiety.

- Na zawsze.

Po omacku rozpiął guziki bluzki Gretchen, umieszczone na plecach.

- Rzuciłaś pracę?

Westchnęła, kiedy zaczął głaskać jej ramiona.

- Masz mnie do niedzieli po południu.

- Musimy coś z tym zrobić - zauważył, zdejmując jej stanik. - Może znajdziemy jakieś miejsce położone w pół drogi między Nowym Jorkiem a New Haven;

- Co masz na myśli?

- Stały związek. Ty i ja razem. Naprawdę. Nie chcę przelotnego romansu, G.S., kobieto pierwotna. Czy i ty pragniesz związać się ze mną na stałe?

- Tak. - Rozpromieniła się. - Widzę, że nie obędzie się bez przyrzeczeń i zobowiązań.

Palce Cliffa szukały suwaka spódnicy.

- Na razie cudowne chwile. A potem reszta. Może ślub na łonie natury, wśród kwiatów, przy wodospadzie?

- Na szlaku występowaliśmy jako nowożeńcy - przypomniała Gretchen.

Spódnica opadła na podłogę. Cliff zajął się własnym ubraniem.

- Wrócimy na szlak, aby spędzić miodowy miesiąc. Przedtem załatwimy wszystko w cywilizowany sposób. Ceremonie, dokumenty i tak dalej.

Ściągnął spodnie i buty. Przytulił Gretchen. Nie odrywając warg od jej ust, zaniósł ją do sypialni. Czekają ich cudowne chwile - teraz, potem, zawsze.

RS